

U. M. K.
Toruń

GUY DE MAUPASSANT
HISTORIA
PEWNEGO ŻYCIA

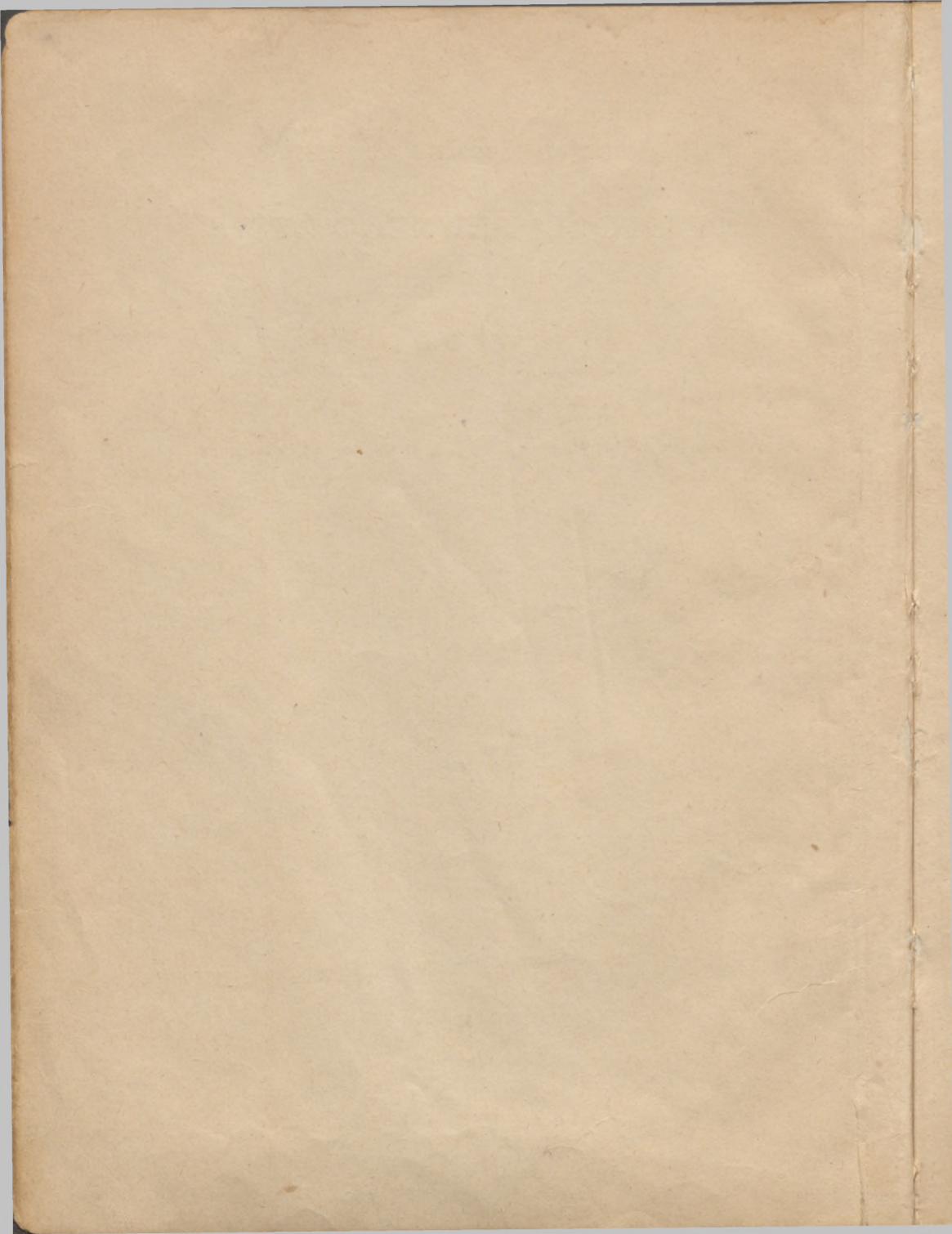


· KSIĄŻKA i WIEDZA ·

GUY DE MAUPASSANT

*

HISTORIA PEWNEGO ŻYCIA



GUY DE MAUPASSANT

HISTORIA
PEWNEGO ŻYCIA



• KSIĄŻKA i WIEDZA •

WARSZAWA 1950

„Książka i Wiedza“, Warszawa
Printed in Poland
Kwiecień 1950 rok

*

Przekład
MARII KREZOWSKIEJ

*

Przejrzała
KRYSTYNA DOLATOWSKA

*

Okładkę projektował
JAN SŁOMCZYŃSKI



154116

B-1-10719

Tłoczono 10.000 + 500 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza“, Warszawa
Objętość 14 $\frac{1}{2}$ ark. Papier dzielony V kl. 80 g. format 61 x 86 cm
Zam. 4925 — Oddano do składu 6.III.50. Druk ukończono 8.V.50

I

Janina skończyła pakować walizki i podeszła do okna — deszcz nie ustawał.

Nisko wiszące niebo zdawało się pękać od nadmiaru wody i wylewać swą zawartość na ziemię, robiąc z niej rzadką papkę, rozpuszczając ją jak cukier. Chwilami zrywał się gorący, duszny wiatr. Na pustych ulicach huczały przepelnione ścieki, domy jak gąbki nasiąkały wilgocią, która przenikała do ich wnętrza, osiadając kroplistym potem na ścianach, od piwnic aż po strychy.

Janina, wczoraj zaledwie opuściwszy klasztor, wreszcie wolna, żądna tych wszystkich radości życia, o których marzyła od tak dawna, lękała się teraz, czy ojciec zechce wyjechać, jeśli się nie rozpogodził, i już chyba po raz setny od rana spoglądała na niebo.

Wtem spostrzegła, że zapomniała włożyć do torby podróźnej swój kalendarz. Zdjęła ze ściany karton, podzielony podług miesięcy i ozdobiony u góry rysunkiem, pośrodku którego widniała wydrukowana złotymi literami cyfra 1819.

Następnie wykreśliła ołówkiem w pierwszych czterech kolumnach wszystkie imiona świętych aż do drugiego maja, dnia opuszczenia klasztoru.

Za drzwiami odezwał się głos:

— Janinko!

— Wejdz, tatusiu — odpowiedziała i w progu ukazał się jej ojciec.

Baron Szymon-Jakub Le Perthuis des Vauds był typem arystokraty. Dziwak i człowiek o czułym sercu, entuzjastyczny wy-

znawca Jana Jakuba Russeau, rozkochany w przyrodzie, polach, lasach i zwierzętach.

Jako arystokrata, instynktownie wzdrygał się na myśl o roku 93, lecz — filozof z upodobania, a liberał dzięki wychowaniu — nienawdził tyranii, nienawiścią deklamatorską i nieszkodliwą.

Jego najmocniejszą i najslabszą jednocześnie stroną była dobroć, dobroć, której nigdy nie dość było rąk, aby pieścić, obdarowywać, obejmować uściskiem, dobroć twórcy, rozrzutna i niepohamowana, niby jakiś paraliż woli, zanik energii, niemal że nałóg.

Jako człowiek teorii, obmyślił cały plan wychowania córki, pragnąc uczynić ją szczęśliwą, dobrą, prawą i czułą.

Do dwunastu lat chowała się w domu, po czym, mimo łez matki, oddał ją do klasztoru Sacré-Coeur.

Trzymał ją tam w surowym zamknięciu, w klasztornym odosobnieniu, w nieświadomości życia i jego spraw. Chciał odebrać ją stamtąd w siedemnastym roku życia, aby samemu zanurzyć ją wtedy, niby w kąpiel, w poezji pełnej rozsądku: stąpając po płodnej ziemi, pośród pól, miała otworzyć swą duszę, otrząsnąć się z odrętwienia i niewiedzy na widok naiwnej miłości, prostej pieśzoty zwierząt, pogodnych praw życia.

Wychodziła teraz z klasztoru, promienna, pełna radości, spragniona szczęścia i czarownych wydarzeń, o których marzyła w ciągu bezczynnych dni, długich nocy, w samotności wyczekiwania.

Wyglądała jak portret Weroneza: miała lśniące blond włosy, których jasność zdawała się znajdować swe odbicie w jej arystokratycznej karnacji; jej ciało, zlekka tylko zaróżowione, ocienione lekkim meszkiem, dostrzegalnym jedynie w słońcu, przypominało blady aksamit, a nieprzejrzysty błękit jej oczu przywodził na myśl holenderskie figurki z fajansu.

Na lewym nozdrzu miała jeden pieprzyk, a drugi, po prawej stronie brody, osłonięty był paroma włoskami, zupełnie zlewającymi się z barwą skóry, tak że były prawie niewidzialne. Była rosła, o kształtnej piersi i falującej kibici. Jej czysty głos

miał chwilami brzmienie zbyt ostre, lecz jej szczery śmiech rozsiewał radość naokół. Często podnosiła do skroni obydwie ręce ruchem bezwiednym, jakby chciała przygładzić włosy.

Podbiegła do ojca i ściskając go zapytała:

— Jedziemy, prawda?

Uśmiechnął się, potrząsnął długimi, siwymi już włosami i rzekł wyciągając rękę ku oknu:

— Jakże chcesz jechać w taką niepogodę?

Ona jednak zaczęła prosić go przymilnie:

— Och, ojczulku, jedźmy, błagam cię. Po południu na pewno się wypogodzi.

— Ależ matka nie zgodzi się na to żadną miarą.

— Zgodzi się, bądź spokojny, już ja to biorę na siebie.

— Jeśli potrafisz nakłonić matkę, to ja jestem gotów.

Usłyszawszy to pobiegła zaraz do pokoju baronowej, z coraz większą bowiem niecierpliwością wyczekiwała dnia odjazdu,

Od chwili wstąpienia do Sacré-Coeur nie wyjeżdżała z Rouen, gdyż ojciec nie pozwalał jej na żadne rozrywki przed ustalonym przez siebie terminem. Dwa razy jedynie zabrano ją na dwa tygodnie do Paryża, ale to było miasto, a ona marzyła o wsi.

Miała teraz spędzić lato w posiadłości rodziców, w starym zamku Peuples, wznoszącym się na urwistej skale koło Yport; już teraz potrafiła wyobrazić sobie jaki urok będzie miało to swobodne życie nad brzegiem morza. Wiedziała również, że wychodząc za mąż otrzyma tę posiadłość w posagu i zamieszka tam na stałe.

Deszcz, padając bez przerwy od kilkunastu godzin, był pierwszą jej wielką przykrością życiową.

Po kilku minutach wybiegła z pokoju matki, wołając na cały dom:

— Ojczulku, mama się zgadza; każ zaprzęgać!

Ulewa nie ustawała, wydawało się nawet, że przybrała jeszcze na sile, kiedy powóz zajechał przed bramę.

Janina gotowa już była do drogi, kiedy baronowa zeszła ze schodów, podtrzymywana z jednej strony przez męża,

z drugiej przez rosłą, po męsku zbudowaną pokojówkę. Była to Normandka z okolic Caux, wyglądająca co najmniej na lat dwadzieścia, chociaż nie miała więcej jak osiemnaście. Baronostwo traktowali ją prawie jak drugą córkę, gdyż była mleczną siostrą Janiny. Nazywała się Rozalia.

Głównym jej zajęciem było prowadzenie pod rękę swej pani, chorobliwie od kilku lat otyłej naskutek hipertrofii serca.

Baronowa przystanęła zadyszana na tarasie starego pałacu i, rzuciwszy okiem na zalany wodą podwórzec, szepnęła:

— To doprawdy nie ma sensu.

Baron uśmiechnięty odparł:

— Samaś tego chciała, pani Adelajdo.

Miał on zwyczaj poprzedzać pompatyczne imię żony pełnym ironicznego nieco szacunku „pani“.

Baronowa uczyniła jeszcze parę kroków i z trudem wsiadła do powozu, którego resory ugięły się pod jej ciężarem. Baron usiadł obok niej, a Janina z Rozalią naprzeciw.

Kucharka Ludwina wyniosła mnóstwo okryć, którymi otuliła nogi siedzących w powozie, i dwa kosze, które ustawiła w głębi; następnie siadła na koźle obok starego Szymona i owinęła się kocem, tak że nie było jej spod niego widać. Stróż i żona jego żegnali odjeżdżających zamykając drzwiczki powozu; baron udzielił im jeszcze ostatnich wskazówek co do wysłania kufrow i konie ruszyły.

Stary Szymon, furman, z pochyloną głową i zgiętymi w kałbłąk plecami, ginął w swym płaszczu o trzech pelerynach. Ulewny deszcz uderzał jękliwie o szyby powozu, zatapiał gościniec.

Konie szły wyciągniętym klusem i pojazd, zatoczywszy półkole, znalazł się na drodze biegnącej brzegiem morza, minął las statków wyciągających smutnie ku ociekającemu wodą niebu nagie konary masztów, rej i lin i wjechał na długi bulwar Riboudet.

Niebawem otoczyły ich łąki; od czasu do czasu jakaś moknąca na deszczu wierzba, o gałęziach opuszczonych z trupią martwością, zarysowywała się niewyraźnie poprzez mgłę. Podkowy koni uderzały z pluskiem w wodę, a koła rozpryskiwały błoto.

Wszyscy milczeli, nawet umysły wydawały się przemokłe jak ziemia. Mateczka wsparła głowę o poduszki i przymknęła powieki. Baron spoglądał przygasłym wzrokiem na tonące w strumieniach deszczu, bliźniaczo do siebie podobne wsie. Rozalia, z paczką na kolanach, zapadła w bezmyślną zadumę wieśniaków.

Jedna tylko Janina czuła, że pod wpływem tego ciepłego dżdżu odżywa niby roślina od długiego czasu trzymana w zamknięciu, którą wreszcie wystawiono na powietrze; wewnętrzna radość, niby gęste listowie chroniła jej serce przed otaczającym ją smutkiem. Milczała, ale miała ochotę śpiewać, wyciągnąć rękę przez okno, nabrać w nią deszczu i wypić. Szybkość jazdy, widok opustoszałych pól i świadomość, że ona sama znajduje się w bezpiecznym schronieniu pośród tej powodzi, napełniały ją poczuciem błogości.

Nad lśniącymi od deszczu zadami koni unosiła się para.

Baronowa zapadała powoli w sen. Jej twarz w obramieniu sześciu regularnie opadających loków pochylała się coraz niżej, zlekka podtrzymywana trzema dużymi fałdami szyi, ginącymi ostatecznie w pełnym morzu jej obfitej piersi. Jej głowa, podnosząca się za każdym oddechem do góry, opadała napowrót; policzki się wydymały, a z na wpół rozwartych ust wydobywało się chrapanie. Mąż nachylił się nad nią i delikatnie wsunął jej do rąk, skrzyżowanych na wypukłości brzucha, mały skórzany portfel.

To dotknięcie zbudziło ją; spojrzała na włożony jej do rąk przedmiot nieprzytomnie, ogłupiałym wzrokiem człowieka wyrwanego ze snu. Portfel spadł i otworzył się. Złote i papierowe monety rozsypały się po karecie. Baronowa rozbudziła się do reszty, a Janina wybuchnęła wesołym śmiechem, dając upust swej radości.

Baron pozbierał pieniądze i, kładąc je żonie na kolanach, powiedział:

— Oto, moja droga, wszystko co pozostało z folwarku d'Életot. Sprzedałem go, by odrestaurować Peuples, gdzie będziemy teraz często przebywać.

Baronowa przeliczyła pieniądze — sześć tysięcy czterysta franków — i włożyła je spokojnie do kieszeni.

Z trzydziestu jeden folwarków, odziedziczonych po rodzicach, był to już dziewiąty, jaki sprzedawali. Mieli jeszcze około dwudziestu tysięcy renty rocznej w posiadłościach ziemskich, które przy dobrej administracji, mogłyby z łatwością przynieść im trzydzieści tysięcy franków rocznie.

Przy ich skromnym trybie życia dochód ten byłby wystarczający, gdyby nie ich dobroć. Osuszała ona ich kieszenie, jak słońce osusza bagna. Pieniądze przeciekały im przez palce, płynęły, znikwały. W jaki sposób? Nikt tego nie wiedział. Co chwila któreś z nich mówiło:

— Zupełnie nie wiem, na co poszło mi dziś całe sto franków.

Ta łatwość dawania była zresztą jedną z wielkich radości ich życia i oboje zgadzali się pod tym względem w sposób wzruszający i cudowny.

— Ładny jest teraz mój zamek? — zapytała Janina.

— Zobaczysz, córeczko — odparł wesoło baron.

Ulewa przycichła i w powietrzu unosił się teraz rodzaj mgły, delikatny pył deszczowy. Sklepienie chmur podniosło się jakby, nabrało jaśniejszej barwy i nagle przez jakąś niewidoczną szparę, padł na łąki długi, ukośny promień słońca.

Chmury rozdarły się na dwoje, odsłaniając błękit firmamentu, coraz to szerszym pasmem wyglądający spomiędzy nich, niby spomiędzy rozsuwającej się zasłony, aż wreszcie rozpostarło się nad światem niebo czyste, pogodne i niebieskie.

Świeży, łagodny wietrzyk powiał nad polami, niby błogie westchnienie ziemi, a od ogrodów i lasów dolatywał od czasu do czasu radosny śpiew ptaków, suszących swe piórka.

Zapadał wieczór. W karecie wszyscy już spali oprócz Janiny. W czasie drogi dwukrotnie zatrzymywano się w oberżach, aby dać wytchnąć koniom, napoić je i dać im owsa.

Słońce zaszło; w dali słychać było dzwony. W jakiejś małej wiosce zabłysły latarnie, a niebo roziskrzyło się mrowiskiem gwiazd. Tu i ówdzie ukazywały się oświetlone domy, ognistymi punktami przebijając ciemności; nagle spoza wzgórza, po-

przez gałęzie jodeł, wyjrzał księżyc, ogromny, krwawy i jakby znieruchomiał we śnie.

Było tak ciepło, że szyby karety pozostawały spuszczone. Janina, znużona marzeniami, syta wizji szczęścia, odpoczywała. Od czasu do czasu, kiedy dokuczyło jej siedzenie nieruchomo, otwierała oczy i wyglądała oknem, dostrzegając, pośród jasnej nocy, uciekające do tyłu kępy drzew lub krowy, leżące na pastwisku i leniwie podnoszące łby. Zmieniwszy pozycję usiłowała podjąć przerwany wątek marzeń, lecz nieustanny turkot kół przeszkadzał jej i po chwili na nowo przymykała powieki czując, że jest zmęczona duchowo i fizycznie.

Wtem kareta przystanąła. Jacyś ludzie podeszli do drzwi czek trzymając zapalone latarnie. Podróż była skończona. Janina, nagle rozbudzona, wyskoczyła szybko z powozu. Ojciec z Rozalią, którym przyświecał jeden z dierzawców, prawie że nieśli baronową, wyczerpaną i pojękującą cichutko:

— Ach Boże! moje dzieci! — Nie chciała nic jeść ani pić, położyła się do łóżka i natychmiast zasnęła.

Janina i baron zasiedli do kolacji we dwoje.

Uśmiechali się, patrząc na siebie, wyciągali do siebie ręce poprzez stół, a w pewnej chwili ogarnięci dziecinną radością, ruszyli na oglądanie odnowionego zamku.

Była to jedna z owych wysokich przestronnych siedzib normandzkich, mających w sobie coś ze zwykłej fermy i coś z pałacu, zbudowana z białego kamienia, który poszarzał, i tak obszerna, że mogłaby pomieścić w sobie cały ród.

Ogromna sień dzieliła dom na dwie części. Po dwu jej przeciwnych stronach znajdowały się drzwi wejściowe, od których biegły w górę schody, łączące się dopiero na wysokości pierwszego piętra i tworzące niby most, zawieszony nad próżnią westibulu.

Na parterze, po prawej stronie, mieścił się olbrzymi salon, którego ściany pokryte były tapetami w liście i ptaki.

Obicia mebli były żywą ilustracją bajek la Fontaine'a. Janina drgnęła z radości na widok ulubionego w dzieciństwie krzesła, przedstawiającego historię lisa i bociana.

Obok salonu znajdowała się biblioteka, pełna starych ksiąg i dwa inne pokoje, nieużywane, a po lewej stronie jadalnia, wykładana nową boazerią, pokój, w którym trzymano bieliznę stołową, kredens, kuchnia i mały pokoik, w którym stała wanna.

Wzdłuż pierwszego piętra biegł korytarz, na który, niby na aleję, wychodziło dziesięcioro drzwi z dziesięciu pokoi. Przy samym jego końcu, na prawo, mieścił się pokój Janiny. Weszli tam. Baron kazał go całkowicie odnowić, zużytkowując do tego celu obicia i meble stojące bezużytecznie na strychu.

Stare gobeliny flamandzkie zaludniały to miejsce dziwacznyimi postaciami.

Na widok swego łóżka dziewczyna wydała okrzyk radości. Po czterech rogach, cztery duże ptaki z drzewa dębowego, czarne i lśniące, podtrzymywały łożę, niby strażnicy. Jego boki pokryte były rzeźbami, przedstawiającymi kwiaty i owoce, ułożone w girlandy, a cztery drobno żłobkowane kolumny o korynckich głowicach podtrzymywały gzyms, opleciony różami i amorkami.

Łoże to wznosiło się pośrodku pokoju monumentalne, a jednak pełne wdzięku, mimo surowej powagi pociemniałego od starości drzewa.

Kołdra i baldachim ze staroświeckiego, szafirowego jadvabiu w lilie, haftowane złotem, iskrzyły się niby dwa firmamenty.

Kiedy dość im się już napatrzyła, Janina podniosła lampę, aby przyjrzeć się gobelinom.

Jakiś dostojny młodzian i jakaś dama, ubrani dziwacznie w szaty zielone, czerwone i żółte, toczyli rozmowę pod niebieskim drzewem, obwieszonym białymi owocami. Duży królik, tego samego koloru ogryzał kępkę szarej trawy.

Tuż nad tymi postaciami, bez zachowania perspektywy widniało pięć okrągłych domków o spiczastych dachach; a wysoko, niemal na niebie, rysował się czerwony wiatrak.

Całość poprzeplatana była wieńcami kwiatów.

Dwa dalsze gobeliny podobne były do pierwszego z tą różnicą, że z okrągłych domków wychodziły cztery małe postacie z rękami wzniesionymi ku niebu na znak najwyższego zdziwienia i gniewu.

Ostatnie panneau przedstawiało scenę dramatyczną. Obok królika, wciąż jeszcze szczypiącego trawę, młodzieniec leżał na ziemi jak martwy. Młoda dama, patrząc nań, przeszywała mieczem swą pierś, a owoce na drzewie stały się czarne.

Janina na próżno usiłowała zrozumieć, co wyobrażał ów gobelin, kiedy nagle w samym jego rogu, dostrzegła mikroskopijnej wielkości stworzonko, które królik, gdyby był żywy, mógłby był schrupać jak żdźbło trawy. Tymczasem miał to być lew.

Pojęła wówczas, że ma przed sobą Pirama i Tysbe i ich żalodne dzieje, a chociaż naiwność rysunków wywoływała w niej uśmiech, to jednak ucieszyła się bliskością tej historii miłosnej, która będzie przemawiać do niej stale językiem nadziei, drogich jej sercu, i otaczać ją, na jawie i we śnie, atmosferą miłości antycznej i legendarnej.

Reszta mebli była w jak najróżnorodniejszym stylu. Znajdowały się tu sprzęty pozostałe w rodzinie po wielu pokoleniach, co starym domostwom nadaje wygląd muzeów, gdzie wszystko można znaleźć. Wspaniała komoda w stylu Ludwika XIV, ze lśniącymi ozdobami z metalu, stała pomiędzy dwoma fotelami w stylu Ludwika XV, pokrytymi staromodnym jedwabiem w bukiety. Sekretarzyk z różanego drzewa stał naprzeciw kominka, na którym, pod krągłym kloszem, umieszczony był zegar w stylu Cesarstwa.

Był to ul z brązu zawieszony na czterech marmurowych kolumnkach, ponad ogrodem złotych kwiatów. Maleńkie wahadło, wysuwające się z ula przez podłużny otwór, przesuwawało nieustannie nad tym klombem pszczołę o emaliowanych skrzydłach.

Tarcza zegara, umieszczona w ścianie ula, była z kolorowego fajansu.

Wybiła jedenasta. Baron ucałował córkę i poszedł do swego pokoju.

Janina z żalem zaczęła układać się do snu.

Ostatnim spojrzeniem ogarnęła pokój i zgasiła świecę. Lecz z lewej strony łóżka, wezglowiem przytykającego do ściany, znajdowało się okno, przez które napływała fala światła księżycowego rozbryzgując się na podłodze.

Jego odbłyски delikatną pieśczętą obejmowały nieruchomą parę kochanków na ścianie.

Przez drugie okno, naprzeciw łóżka, Janina widziała wysokie drzewo, całe skąpane w łagodnej poświacie. Odwróciła się na bok i przymknęła oczy, ale po kilku minutach znów je otworzyła.

Zdawało jej się, że odczuwa jeszcze kołysanie powozu, którego turkot ustawicznie brzmiał jej w uszach. Z początku leżała nieruchomo, mając nadzieję, że spoczynek sprowadzi nareszcie sen, lecz niepokój myśli wkrótce udzielił się całemu ciału.

Uczuła skurcz w nogach i potęgujące się rozdrażnienie. Wstała więc, i bosa, z gołymi rękoma, w długiej koszuli, nadającej jej wygląd widziadła, przestąpiła kałużę światła, rozlaną na posadzce, otworzyła okno i wyjrzała.

Noc była tak jasna, że dziewczyna mogła bez trudu poznać krajobraz, który pokochała będąc dzieckiem.

Tuż przed nią rozpościerał się duży trawnik, żółty niby masło w poświacie nocy. Dwa olbrzymie drzewa wznosiły się strzeliście przed zamkiem, platan od północy, a lipa od południa.

Trawniki kończył się gajem, zamykającym tę posiadłość, osłoniętą od wichrów pięcioma rzędami starych wiązów, pokręconych, poszarpanych, przyciętych stromo jak dach, przez wiecznie szalejące wiatry morskie.

Ów rodzaj parku otaczały po dwu stronach dwie długie aleje olbrzymich topoli, oddzielając siedzibę właścicieli od dwóch przylegających do niej ferm, z których jedną zajmowała rodzina Couillard, a drugą rodzina Martin.

Od owych topoli pochodziła nazwa zamku. Poza ich obrębem rozpościerała się szeroka, leżąca odłogiem równina, porośła jałowcem, nad którą dniem i nocą świszczął i harcował wiatr. Dalej, brzeg opadał nagle stromo w dół, stumetrowej wysokości biała ścianą, o którą uderzały fale.

Janina spoglądała na widniejącą w oddali migotliwą powierzchnię wód, jakby uśpioną w świetle gwiazd.

Noc była pełna woni. Z dołu napływał odurzający oddech jaśminów, rosnących pod oknami, pomieszany z zapachem młodych liści. Od czasu do czasu lekki podmuch wiatru przynosił ze sobą ostrą woń morza i wodorostów.

Dziewczyna oddychała pełną piersią; otaczający ją spokój krajobrazu podziałał na nią jak orzeźwiająca kąpiel.

Półmrok nocy pulsował bezgłośnym życiem tych wszystkich stworzeń, które budzą się z nadejściem wieczoru i kryją w ciemnościach. Wielkie ptaki unosiły się milcząco w powietrzu, niby ruchome plamy lub cienie, a czasem wpadało w ucho bzykanie niewidzialnych owadów; po zwilżonej rosą trawie i piasku opustoszałych dróg odbywały się bezszelestne wędrówki.

I tylko kilka melancholijnych ropuch słało ku księżycowi swe wezwania krótkie i monotonne.

Janinie zdawało się, że jej serce się rozszerza, równie, jak ten jasny wieczór, pełne szeptów i niespokojnych pragnień, podobnych do nocnych stworzeń, których drżenie ją otaczało. Jakaś cząstka tej żywej poezji była w niej samej i w miękkiej jasności nocy czuła, jak przebiegają ją nieziemskie dreszcze, jak pulsują w niej nieuchwytnie nadzieje, jak owiewa ją tchnienie szczęścia.

I zaczęła marzyć o miłości.

Miłość! Jej zbliżanie się, od dwóch lat przejmowało ją trwożą coraz większą. Teraz wolno jej już było kochać! *Jego* jeszcze tylko nie spotkała.

Jakież on będzie? Nie wiedziała tego dokładnie i nawet nie zastanawiała się nad tym. Będzie *nim*, oto wszystko.

Wiedziała tylko, że będzie go ubóstwiać całą duszą, a on będzie ją kochać z całych sił. Będą się przechadzać w wieczory, podobne do dzisiejszego, w świetlnym pyłe gwiazd. Przytuleni do siebie będą szli trzymając się za ręce, wsłuchani w bicie swych serc, czując ciepło ramion, łącząc swą miłość z łagodną przejrzystością letnich nocy, tak zespoleni ze sobą, że samą mocą uczucia zdołają przeniknąć najgłębszą tajemnię swych myśli.

I ta wędrówka trwać będzie w nieskończoność, w pogodnej atmosferze, której nic nie zdoła zniweczyć.

Wydało jej się nagle, że czuje go tuż obok siebie i nieokreślony dreszcz przebiegł ją od stóp do głów. Bezwiednym ruchem przytuliła ręce do piersi, jakby pragnęła objąć uściskiem swe marzenia, a jej ust wyciągniętych ku nieznanemu, dotknęło muśnięcie, od któregoomal nie zemdląła; wydało jej się, że podmuch wiosenny złożył na nich miłosny pocałunek.

Wtem, na drodze za zamkiem, usłyszała czyjeś kroki wśród nocy. I w szalonym uniesieniu, w porwywie wiary w rzeczy niemożliwe, w cudowne przypadki, w niewytłumaczone przecucia, w romantyczne zrządenia losu, pomyślała: „A jeśli to on?“ Wsłuchiwała się trwożnie w rytmiczny odgłos kroków idącego, pewna, że zatrzyma się on u bram, prosząc o gościnę.

Kiedy minął zamek, uczuła smutek, jakby doznała rozczerwania. Zaraz jednak uśmiechnęła się, uświadamiając sobie swą egzaltację.

Uspokoiwszy się nieco oddała się marzeniom bardziej rozsądnym, starając się odgadnąć przyszłość, naszkicować w myśli dalsze swoje życie.

Będzie z nim żyła tutaj, w tym zamku cichym, wznoszącym się nad brzegiem morza. Będzie mieć dwoje dzieci: syna dla niego, a córkę dla siebie. I wyobrażała je sobie, jak uganiają się po trawie, pomiędzy platanem a lipą, a ojciec i matka wodzą za nimi oczarowanym wzrokiem, zamieniając ponad ich głowami spojrzenia pełne namiętnej miłości.

Długo, długo stała tak zatopiona w marzeniach, a tymczasem księżyc, kończąc swą podróż, pogrążał się w morzu. Robiło się

chłodno. Od wschodu widnokrąg stawał się coraz bledszy. W fermie po prawej stronie zapiał kogut i zaraz odpowiedziały mu inne z fermy przeciwległej. Ich schrypnięte głosy zdawały się płynąć z bardzo daleka, poprzez ściany kurników; na ogromnym sklepieniu nieba, niepostrzeżenie pojaśniałym nie widać już było gwiazd.

Najpierw trwożliwy, a potem coraz śmielszy, coraz bardziej rozedrgany i radosny świergot rozległ się pośród listowia.

Janinę zaległa fala nagłej jasności; kiedy podniosła głowę, ukrytą dotąd w dłoniach, musiała przymknąć oczy, oslepiona blaskiem jutrzeńki.

Kłębowisko purpurowych chmur, ukryte częściowo za aleją topolową, rzucało krwawe błyski na budzącą się ze snu ziemię.

I powoli, rozdzierając połyskliwe obłoki, zionąc ogniem na drzewa, równiny, ocean i widnokrąg cały, wyłoniła się olbrzymia kula płomienna.

Janina szalała ze szczęścia. Niepohamowana radość, bezmierne wzruszenie na widok tej wspaniałości świata, zalewały jej serce. Oto było jej słońce! Jej jutrzeńka! początek jej życia! świt jej nadziei! Wyciągnęła ramiona ku pełnym blasku przestworzom pragnąc uścisnąć słońce; chciała coś powiedzieć, wykrzyknąć coś równie pięknego jak ten rozkwitający poranek, lecz trwała niema w bezsilnym zachwycie. Objęła dłońmi czoło, uczuła jak oczy napełniają się jej łzami i rozplakała się słodko. Kiedy podniosła głowę, olśniewający przepych budzącego się dnia przygasł już. A i ona sama czuła się teraz spokojna, nieco znużona, jakby ostygła. Zostawiła okno otwarte i położyła się do łóżka. Przez chwilę marzyła jeszcze, a potem zasnęła tak głęboko, że o godzinie ósmej nie usłyszała wołania ojca i zbudziła się dopiero, kiedy wszedł do jej pokoju.

Chciał jej pokazać, jak kazał upiększyć zamek, *jej* zamek.

Fasadę wychodzącą na pola oddzielało od drogi obszerne podwórze, na którym rosły jabłonie. Droga ta, zwana gminną, biegła pomiędzy wiejskimi zagrodami, łącząc się o pół mili dalej z gościńcem wiodącym z Hawru do Fécamp.



Środkiem podwórza, od drewnianej bramy aż do ganku, prowadziła prosta aleja, a po obu jej stronach, wzdłuż rowów, dzielących je od przyległych ferm, ciągnęły się dwoma rzędami zabudowania gospodarskie z kamieni morskich, kryte słomą.

Dach położony był na nowo; wszystkie drewniane części budowlu zostały odrestaurowane, mury naprawione, pokoje wytafetowane, całe wnętrze odmalowane. Poszarzały od starości dwór połyskiwał teraz plamami srebrno-białych okiennic i świeżo tynkowanych ścian.

Przeciwległa fasada, od tej strony, na którą wychodziło jedno z okien Janiny, zwrócona była ku morzu, widniejącemu w dali, za gajem i za ścianą poszarpanych przez wichry wiązów.

Janina i baron, ujawszy się za ręce, obejrzeni wszystko, nie pomijając żadnego kącika, a potem przechadzali się powoli długimi alejami topolowymi, zamykającymi tak zwany park. Trawa, rosnąca pośród drzew, słała się wokół zielonym kobiercem. W głębi, gaj zachwycał swymi krętymi ścieżkami, oddzielonymi jedna od drugiej ścianą listowia.

W pewnej chwili dziewczyna przestraszyła się na widok zająca, który wyskoczył nagle spod krzaka, jednym susem przesadził z boku i zniknął w sitowiu nadbrzeżnym.

Po śniadaniu, kiedy pani Adelajda, wyczerpana, oświadczyła, że położy się jeszcze, baron zaproponował córce, aby we dwoje wybrali się do Yport.

Ruszyli, mijając najpierw po drodze wioskę Étouvent, na terenie której znajdował się zamek. Jakichś trzech wieśniaków ukłoniło im się, jak gdyby znali ich od dawien dawna.

Baron i Janina zagłębili się następnie w lasy, krętą linią zstępującą ku morzu.

Niebawem wyłoniła się przed ich oczyma wieś Yport. Kobiety, siedzące na progach i zajęte łątaniem ubogiej odzieży, spoglądały za nimi, kiedy przechodzili.

Środkiem spadzistej uliczki biegł rynsztok, a sterty piętrzących się przed domami odpadków wydawały ostrą woń solo-

nych ryb. Brunatne sieci, na których tu i ówdzie połyskiwały łuski, niby krążki srebra, suszyły się na drzwiach nędznych domostw, w których gnieździło się po kilka rodzin i skąd dołatywały niemiłe zapachy.

Kilka gołębi przechadzało się nad rynsztokami szukając pożywienia.

Janina przyglądała się temu wszystkiemu z zainteresowaniem, jakby to były jakieś dekoracje teatralne.

Aż nagle, minawszy jakiś mur, ujrzała morze, którego błękit, matowy i gładki, ciągnął się aż po skraj horyzontu. W dali przesuwwały się żagle jak białe skrzydła ptaków. Na prawo i na lewo wznosiły się olbrzymie skały nadmorskie. Z jednej strony wzrok zatrzymywał się o rodzaj przylądka, z drugiej natomiast linia wybrzeża wydłużała się w nieskończoność, niknąc w oddali.

W jednej z jego wyrw, widać było jakiś port i domy; pianista grzywa drobnych fal rozbijała się o głazy.

Wyciągnięte na brzeg barki leżały bokiem na okrągłych kamieniach, wystawiając ku słońcu pyzate policzki, pociągnięte smołą. Kilku rybaków przygotowywało je do nocnego połowu.

Jeden z nich zbliżył się, mając ryby na sprzedaż, i Janina kupiła suma, którego chciała sama zanieść do Peuples.

Rybak zaofiarował jej swe usługi, gdyby chciała kiedyś przejechać się po morzu. Powtarzał przy tym raz po raz swoje nazwisko, żeby dobrze wryło się w ich pamięci:

— Lastique, Józef Lastique.

Baron przyrzekł mu, że nie zapomni.

Wkrótce potem udali się w powrotną drogę.

Duża ryba ciążyła Janinie, nadziała ją więc na laskę ojca i nieśli ją razem, ująwszy każdy za przeciwny koniec laski. Wstępowali ochoczo pod górę, gawędząc beztrosko jak dwoje dzieci, z twarzami podanymi pod wiatr, z oczyma błyszczącymi, a sum tłustym ogonem zamiatał trawę.

II

Dla Janiny zaczęło się teraz życie pełne swobody i uroku. Czytała książki, rozmyślała, odbywała samotne spacer. Wolnym krokiem przemierzała okoliczne drogi, zatopiona w marzeniach, lub też zbiegała w podskokach krętymi ścieżkami wiodącymi w dolinę ze szczytu dwóch pagórków, uwieńczonych złotym runem kwiatów janowca. Ich silna i słodka woń upajała ją jak aromatyczne wino, a daleki szum fal kołysał jej myśli.

Czasem kładła się na gęstej trawie, ogarnięta nagłą omdlałością, a czasem, kiedy w obramieniu zieloności dostrzegła niespodziewanie błękitny trójkąt morza, połyskującego w słońcu i daleki żagiel na horyzoncie, ogarniała ją niewytłumaczona radość, jakgdyby musnął ją w przelocie powiew zbliżającego się szczęścia.

Coraz chętniej przebywała w samotności pośród tych wzgórz, tchnących łagodną świeżością i falistą linią zamykających widnokrąg; potrafiła przesiadywać tam tak długo, że dzikie króliki oswojone z jej widokiem, przemykały w podskokach koło jej stóp.

A czasem zrywała się i biegła na wybrzeże, podniecona morskim powietrzem, którym tak lekko jest oddychać, cała drżąca od radości, że może poruszać się bez zmęczenia, jak ryba w wodzie, lub jaskółka w przestworzu.

Wszędzie rozsiewała wspomnienia, jak ziarna rzucone w ziemię, wspomnienia, których korzenie dopiero śmierć jest w stanie wyrwać. Zdawało jej się, że w każdą bruzdę tych wzgórz rzuca jakąś cząstkę swego serca.

Ogromnie polubiła kąpiele. Wypływała hen, na morze, silna, śmiała i nieświadoma niebezpieczeństwa. Dobrze się czuła w tej wodzie zimnej, przejrzystej i niebieskiej, która unosiła ją kołysząc. Kiedy była już daleko od brzegu, kładła się na plecy, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, i wpatrywała się w ciemny lazur nieba, po którym przemykały jaskółki i białoskrzydłe mewy.

Nie dochodził tutaj żaden dźwięk, prócz dalekiego plusku fal, uderzających o kamienie wybrzeża i słabych odgłosów dolatujących od lądu, niewyraźnych, prawie że nieuchwytnych. Janina unosiła się do góry i, w radosnym uniesieniu, wydawała przenikliwe okrzyki bijąc w wodę rękami.

Niekiedy, gdy zapuściła się zbyt daleko, wysyłano po nią łódkę.

Wracała do zamku, pobladła z głodu, lecz lekka, ożywiona, z uśmiechem na ustach i szczęściem w oczach.

Jeżeli chodzi o barona, to rozmyślał on nad przedsięwzięciami na wielką skalę: chciał przeprowadzić pewne doświadczenia, pchnąć gospodarkę rolną na drogę postępu, wypróbować nowe maszyny, aklimatyzować zagraniczne rasy bydła; część dnia spędzał na rozmowach z wieśniakami, którzy słuchali go z niedowierzaniem potrząsając głowami.

Często również wyjeżdżał na morze z rybakami z Yport. Kiedy zwiedził już wszystkie groty, źródła i szczyty skalne w całej okolicy, przyszła mu chęć łowić ryby.

We dnie, kiedy wiatr wydymał żagle, a puciołowate barki sunęły po grzbietach fal, zostawiając za sobą dwie długie smugi, sięgające aż do dna, baron w trwożnej dłoni trzymał linkę, która drgała, ilekroć schwytana ryba zaczynała się trzepotać.

Wyruszał na morze przy świetle księżyca, wyciągając sieci, założone poprzedniego dnia. Lubił słuchać, jak trzeszczą maszty, i wdychać świeże podmuchy wiatru, wiejącego ze świstem, a po długich godzinach poszukiwania unoszących się na powierzchni wody pływaków, przy czym pomagano sobie obierając jako punkt orientacyjny wierzchołek jakiegoś wzgórza, dach dzwonnicy lub latarnię morską Fécamp, rozkoszował się

wschodami słońca, w którego promieniach połyskiwały na pomoście statku oślizgłe grzbiety płaszczyk i tłuste brzuchy turbotów.

Przy każdym posiłku opowiadał z entuzjazmem o swoich wyprawach, zaś mateczka odwzajemniała mu się opowiadaniem o tym, ile razy przebyła długą aleję topolową, tę po prawej stronie, przylegającą do fermy Couillardów, bo ta druga ma za mało słońca.

Ponieważ zalecono jej „używać ruchu“, spacerowała zapamiętale. Ledwie tylko minął chłód nocy, schodziła do parku, wsparta na ramieniu Rozalii, otulona mantylą i dwoma szalami, z głową szczelnie osłoniętą czarnym kapturkiem, na który kładła jeszcze czerwoną wełnianą chustkę.

Powłócząc lewą nogą, której ślad biegł wzdłuż alei, w jedną i drugą stronę, dwiema piaszczystymi bruzdami, rozpoczynała niekończącą się wędrówkę od węgla zamku, aż po pierwsze zarosła gaju. U początku i końca tej trasy kazała ustawić ławeczki i, przystając co pięć minut, mówiła do podtrzymującej ją cierpliwie biednej pokojówki:

— Usiądźmy, moje dziecko, jestem trochę zmęczona.

Za każdym razem zostawiała na ławce to chustkę, to jeden, to drugi szal, to kapturek, to wreszcie mantylę, co po obu końcach alei tworzyło dwa spore stopy odzieży, którą Rozalia brała na rękę, kiedy wracały na śniadanie.

Po południu baronowa rozpoczynała od nowa ten sam spacer, tylko teraz szła krokiem wolniejszym, zatrzymywała się na dłużej, a nawet czasem drzemała godzinę na szezlongu, który dla niej wnoszono.

Nazywała te przechadzki „swoim ćwiczeniem“, podobnie, jak zwykła mawiać: „moja hipertrofia“.

Lekarz, do którego udała się przed dziesięcioma laty, ponieważ miewała duszności, orzekł, że cierpi na hipertrofię serca. Od tego czasu słowo to, którego znaczenia nie rozumiała, utkwilo jej w głowie.

Co chwila prosiła barona, Janinę lub Rozalię, aby dotknęły jej serca, którego nikt nie był już w stanie wyczuć pod fałda-

mi tłuszczu, lecz energicznie broniła się przed wezwaniem doktora, z obawy, że mógłby stwierdzić u niej inne jakieś choroby, i tak często mówiła o „swojej hipertrofii“, iż wydawało się, że ta dolegliwość stanowi jej wyłączny przywilej, do którego nikt inny nie ma prawa.

Baron mawiał: „hypertrofia mojej żony“, Janina: „hypertrofia mamusi“, jakby mówili: suknia, kapelusz czy parasol.

W młodości swej baronowa była bardzo ładna i wiotka jak trzcina. Najpierw tańczyła z oficerami Cesarstwa, a później rozczytywała się w „Korynnie“, wylewając nad nią łzy; książka ta pozostawiła na niej swe piętno.

W miarę, jak kibić jej stawała się coraz grubsza, jej dusza oddawała się wzlotom coraz to poetyczniejszym, a kiedy otyłość przygwoździła ją do fotela, snuła w myśli romantyczne historie, których bohaterką była ona sama. Kilka tych opowieści specjalnie sobie upodobała i wciąż powracała do nich w marzeniach jak katarynka, która — kiedy pokręcić korbę — wygrywa bez końca tę samą melodię. Wszelkiego rodzaju tęskne romanse, w których mowa była o brankach i jaskółkach, wyciskały łzy z jej oczu; lubiła nawet niektóre nieprzyzwoite piosenki Bérangera, ponieważ wyrażały uczucie żalu.

Czasem spędzała całe godziny nieruchomo, zatopiona w marzeniach; Peoples bardzo jej się podobało, gdyż stanowiło odpowiednie tło dla romantycznych przeżyć jej duszy, przypominało jej swymi lasami, pustymi wydmami i sąsiedztwem morza powieści Waltera Scotta, w których rozczytywała się od kilku miesięcy.

Kiedy padał deszcz, zamykała się w swym pokoju, aby przejrzeć swoje „relikwie“, jak mawiała. Były to listy od matki i od ojca, od barona z czasów narzeczeństwa i inne.

Trzymała je w mahoniowym sekretarzyku, przyozdobionym na rogach mosiężnymi sfinksami i mówiła do swej pokojówki specjalnym tonem:

— Rozalio, moje dziecko, przynieś mi szufladę z „pamiętkami“.

Pokojówka otwierała sekretarzyk, wyjmowała szufladkę, stawiała ją na krześle obok swej pani, która zabierała się do odczytywania tych listów, powoli, jeden za drugim, od czasu do czasu roniąc łzy.

Janina zastępowała niekiedy Rozalię i prowadziła mateczkę, która opowiadała jej swe wspomnienia z dzieciństwa. Dziewczyna odnajdywała w tych dawnych historiach siebie samą i dziwiła się podobieństwu myśli i pokrewieństwu pragnień matki i swoich; każdemu sercu zdaje się bowiem, że ono pierwsze zadrgało pod naporem uczuć, które w rzeczywistości rozpieły serca pierwszych ludzi i będą żyć jeszcze w sercach ostatnich mężczyzn i kobiet.

Powolny rytm ich kroków odpowiadał powolnemu tokowi opowieści, przerywanych czasami atakami duszności; myśli Janiny ulatywały wówczas ku przyszłości, opromienionej radością, pławiąc się w nadziei.

Pewnego popołudnia, kiedy wypoczywały na ławce w głębi parku, ujrzały nagle u wylotu alei otyłego księdza, który szedł w ich stronę.

Uklonił im się z daleka, przybrał uśmiechniętą minę, uklonił się raz jeszcze i wykrzyknął:

— I cóż, jakże się miewamy, pani baronowo?

Był to miejscowy proboszcz.

Mateczka, urodzona w wieku filozofów, wychowana za dni Rewolucji przez ojca oziębłego w sprawach wiary, nie chodziła do kościoła, chociaż, posłuszna instynktowi religijnemu kobiet, lubiła księży.

Najzupełniej zapomniała o księdzu Picot, proboszczu ich parafii, i zaczerwieniła się na jego widok. Zaczęła się usprawiedliwiać, że nie złożyła mu pierwsza wizyty. Poczciewicz nie wydawał się jednak tym dotknięty; spojrzął na Janinę, pogratulował jej, że dobrze wygląda, położył na kolanach trójgraniasty kapeluszyk i otarł sobie czoło. Był bardzo gruby, bardzo czerwony i pot spływał z niego strumieniami.

Co chwila wyjmował z kieszeni olbrzymią chustkę w kratę i ocierał nią sobie twarz i szyję, ale zanim wilgotna chustka

zdążyła zniknąć w czarnej czeluści sukni duchownej, nowe krople potu występowały mu na skórę i spadając na sutannę, opinającą wystający brzuch, tworzyły na niej, razem z kurzem polnych dróg, małe okrągłe plamki.

Był to prawdziwy ksiądz wiejski: wesoły, gadatliwy i wyrozumiały. Opowiadał rozmaite historie, mówił o sąsiadach i zdawało się, że nie zauważył tego, że dwie jego owieczki nie były jeszcze na żadnym nabożeństwie. U baronowej przyczyniała się do tego jej ociężałość, połączona z oziębłością w sprawach wiary, a Janina przesycona nadmiarem uroczystości religijnych, którymi karmiono ją w klasztorze, szczęśliwa była, że może się wreszcie od nich uwolnić.

Nadszedł baron. Jego panteizm czynił go obojętnym wobec dogmatów. Był uprzejmy dla proboszcza, którego znał ze słyszenia, i zatrzymał go na obiedzie.

Ksiądz umiał zyskiwać sobie sympatię dzięki owej mimowolnej przebiegłości, jaką praca nad kształtowaniem dusz wyrabia w ludziach, najbardziej nawet przeciętnych, którym zbieg okoliczności oddał w ręce władzę nad równymi sobie.

Przy deserze proboszcz wpadł w doskonały humor i począł sypać facecjami, podniecony dobrym obiadem.

I nagle, jakby jakaś szczęśliwa myśl zaświtała mu w głowie, wykrzyknął:

— Zapomniałem, że mam nowego parafianina, którego muszę państwu przedstawić — wicehrabia de Lamare!

Baronowa, znając na pamięć cały herbarz prowincji, spytała:

— Czy to z tych Lamare'ów z Eure?

Ksiądz skinął potakująco głową:

— Tak, pani baronowo, to syn zmarłego przed rokiem wicehrabiego Jana de Lamare.

Wówczas pani Adelajda, mając kult dla arystokracji, zaczęła zasypywać proboszcza pytaniami i dowiedziała się, że po spłaceniu długów ojca i sprzedaniu rodzinnego zamku, młody człowiek osiadł chwilowo w jednym ze swych trzech folwarków, należących do gminy Étouvent. Dobra te przedstawiała

pięć do sześciu tysięcy rocznej renty, lecz wicehrabia był oszczędny i rozsądny i postanowił przez dwa lub trzy lata żyć całkiem skromnie, aby zebrać trochę kapitału i bez zaciągania długów lub obciążania folwarków hipoteką, wrócić do towarzystwa i dobrze się ożenić.

— Czarujący chłopak, a przy tym stateczny i spokojny. Ale nudzi mu się tu na wsi — dodał jeszcze ksiądz.

— Niech go ksiądz proboszcz do nas przyprowadzi, od czasu do czasu będzie miał rozrywkę — rzekł baron.

I rozmowa przeszła na inny temat.

Kiedy po czarnej kawie towarzystwo przeszło do salonu, ksiądz zapytał, czy może przejść się trochę po ogrodzie, gdyż po obiedzie zwykł używać nieco ruchu. Baron wyszedł z nim razem. Przechadzali się powoli wzdłuż białej fasady zamku, zawracając tam i napowrót. Ich cienie — jeden chudy, a drugi okrągły, w kapeluszu z rondem, towarzyszyły im, raz z przodu, a raz z tyłu, zależnie od tego, czy księżyc mieli za sobą, czy przed sobą. Ksiądz żuł jakieś cygareto, wydobyte z kieszeni. Ze szczerością wieśniaka wyjaśnił:

— To doskonale robi na trawienie.

A potem spojrzawszy na niebo, po którym płynęła świetlista kula, dodał:

— Ten widok nigdy się człowiekowi nie znudzi.

I wrócił do zamku pożegnać się z paniami.

III

Następnej niedzieli baronowa i Janina, wiedzione uczuciem szacunku dla proboszcza, poszły na mszę.

Po skończonym nabożeństwie zaczęły, aby zaprosić go na czwartek na obiad. Wyszedł z zakrystii z eleganckim młodym człowiekiem, który poufale prowadził go pod ramię. Na widok pań, ksiądz zrobił ruch, wyrażający zdziwienie i radość, i wykrzyknął:

— Co za zbieg okoliczności! Pozwolą panie, że przedstawię im sąsiada, pana wicehrabiego de Lamare.

Wicehrabia skłonił się, zapewniając, że od dawna pragnął zawrzeć tę znajomość, i nawiązał rozmowę ze swobodą człowieka, doskonale obeznanego z formami towarzyskimi. Miał twarz z rodzaju tych, o jakich marzą kobiety, a jakich nie lubią mężczyźni. Gładkie czoło, ogorzałe od słońca, ocieniały wijące się czarne włosy, gęste brwi o łukach tak regularnych, że wyglądały jak namalowane, nadawały ciemnym oczom o białkach lekko błękitnych wyraz głębi i łagodności.

Namiętna wymowa jego wzroku budziła niepokój zarówno w sercach wyniosłych dam w salonie jak i służących, idących z koszykiem ulicą.

Tęskny czar spojrzenia kazał wierzyć w głębię myśli tego człowieka i przydawał wagi najbliższemu jego słowom.

Bujny zarost, lśniący i miękki łagodził zbyt może twardą linię szczęk.

Po wymianie wielu uprzejmości pożegnano się.

W dwa dni później, pan de Lamare złożył pierwszą wizytę.

Przybył w chwili, kiedy wypróbowywano właśnie drewnianą ławkę, ustawioną tego ranka pod dużym platanem, naprzeciw okien salonu. Baron chciał umieścić drugą taką samą pod lipą, lecz mateczka, nieprzyjaciółka symetrii, sprzeciwiała się temu. Wicehrabia, zapytany o zdanie, poparł baronową.

Potem zaczął mówić o okolicy nazywając ją „bardzo malowniczą“ — podczas samotnych przechadzek odkrył mnóstwo czarujących zakątków. Od czasu do czasu oczy jego, niby przypadkiem, spotykały się z oczami Janiny; te ukradkowe spojrzenia, wyrażające pieszczotliwy podziw i sympatię, budziły w niej dziwne uczucia.

Zmarły przed rokiem ojciec pana de Lamare znał serdecznego przyjaciela państwa Cultaux, rodziców mateczki. Odkrycie tej znajomości stało się źródłem niekończącej się rozmowy na temat koligacji, związków pokrewieństwa, dat. Baronowa dokonywała prawdziwych wyczynów pamięci ustalając przodków i potomków innych rodzin, krążąc z zadziwiającą pewnością siebie po tym zawiłym labiryncie genealogii.

— Powiedz mi pan, wicehrabio, czy słyszałeś kiedy o rodzinie Saunoy de Varfleur? Najstarszy syn, Gontran, ożenił się z jedną z moich kuzynek, panną Roche-Aubert, spowinowacaną z Crisange'ami. Otóż pan Crisange był przyjacielem mego ojca i musiał zapewne znać pańskiego.

— Tak jest, pani baronowo. Czy to nie ten Crisange, który wyemigrował, a którego syn stracił cały majątek?

— Ten sam. Starał się o moją ciotkę po śmierci jej męża, hrabiego d'Éretry, ale go nie chciała, ponieważ zażywał tabakę. A czy nie wie pan, co się stało z rodziną Viloise? W 1813 na skutek niepowodzeń majątkowych wyjechali oni do Owernii i od tej pory nic o nich nie słyszałam.

— Zdaje mi się, że stary markiz zabił się, spadłszy z konia. Jedna z jego córek wyszła za mąż za Anglika, a druga za niejakiego Bassole'a, bogatego kupca, który ją podobno uwiódł.

Nazwiska, zasłyszane niegdyś w rozmowach starszych i zapamiętane w dzieciństwie, rozbrzmiewały teraz na nowo. Ko-

ligacje pomiędzy owymi rodami nabierały znaczenia wielkich wydarzeń publicznych. O ludziach, których nigdy nie widzieli, mówili jak o dobrych znajomych, a ci ludzie, gdzie indziej, w ten sam sposób mówili o nich; chociaż oddaleni, wszyscy oni byli sobie bliscy: czuli się sprzymierzeńcami, przyjaciółmi niemal przez sam fakt, że równi byli sobie pochodzeniem i należeli do tej samej klasy społecznej, do tej samej kasty.

Baron, z natury raczej nietowarzyski i wychowany w takim duchu, że obce mu były kategorie myślenia i przesady ludzi jego sfery, nie znał wcale okolicznej arystokracji i wypytywał o nią wicehrabiego.

— Och, niewiele tu mamy arystokracji w powiecie — powiedział pan de Lamare takim tonem, jakby mówił, że mało jest zajęcy w pobliskich lasach, po czym objaśnił dokładniej kto — z osób należących do towarzystwa — mieszka w najbliższym sąsiedztwie: markiz de Coutelier, niejako głowa arystokracji normandzkiej, wicehrabiostwo de Briseville, potomkowie znakomitego rodu, żyjący jednak raczej w odosobnieniu, i wreszcie hrabia de Fourville, rodzaj straszaka, o którym mówi, że dręczy żonę. Zapamiętały myśliwy, osiadł w zamku Vrillete, zbudowanym pośrodku stawu.

Było jeszcze kilka rodzin parweniuszy, którzy tu i ówdzie nabyli posiadłości wiejskie. Nie utrzymywano jednak z nimi stosunków i wicehrabia nie znał ich.

Pożegnał się, ostatnie, bardziej poufałe i bardziej wymowne spojrzenie śląc Janinie.

Baronowa orzekła, że jest on czarujący i doskonale ułożony.

— Tak, niewątpliwie, to bardzo dobrze wychowany młodzieniec — odparł ojczulek.

Zaproszono wicehrabiego na obiad na następny tydzień. Od tej pory stał się stałym gościem w Peuples.

Najczęściej przychodził koło czwartej po południu, przyłaczał się do mateczki, przechadzającej się po „swojej alei“, i podawał jej ramię, żeby mogła odbyć „swoje ćwiczenie“. O ile Janina była w domu, podtrzymywała matkę z drugiej strony i wszyscy troje przechadzali się zwolna. Wicehrabia nie odzy-

wał się wcale do dziewczyny, lecz jego oczy, jakby z czarnego aksamitu, spotykały się często z oczyma Janiny, podobnymi do błękitnych agatów.

Kilka razy udali się oboje wraz z baronem do Yportu.

Pewnego wieczora, podszedł do nich na plaży stary Lastique i nie wyjmując z ust nieodstępnej fajki, bez której wydawałby się chyba bardziej zadziwiający niż bez nosa, powiedział:

— Przy takim wietrze, panie baronie, warto byłoby wybrać się jutro do Étretat.

Janina złożyła ręce:

— Och, tatusiu, zgodzisz się?

Baron zwrócił się do pana de Lamare:

— Odpowiada panu ten projekt? Pojechalibyśmy tam na obiad.

Od razu ułożono plan wycieczki.

Od wschodu słońca Janina była na nogach i czekała na ojca. Kiedy był gotów, wyruszyli. Szli najpierw doliną mokrą od rosy, a następnie lasem drżącym od śpiewu ptaków. Zastali wiechrabiego i ojca Lastique siedzących na kabestanie.

Dwóch innych rybaków pomagało im przy spuszczeniu łodzi. Wsparłszy się ramionami o burty, pchali z całych sił. Barka posuwała się z trudem po kamienistym wybrzeżu. Lastique podłożył pod kil posmarowane tłuszczem wałki z drzewa i wyciągał śpiewnie e-e-ep!, które miało nadawać wspólny rytm ich wysiłkom.

Wreszcie, kiedy znalazła się na pochyłości, barka zsunęła się po wygładzonych wodą kamykach z głośnym szmerem przypominającym odgłos rozdieranego płótna i zatrzymała się pośród drobnych fal, obryzgujących ją pianą. Wszyscy zajęli miejsca, a dwaj rybacy odepchnęli barkę od brzegu.

Lekki wiatr od morza muskał i marszczył powierzchnię wody. Nastawiono żagiel, który wzdął się nieznacznie, i łódź odpłynęła kołysząc się delikatnie.

Na horyzoncie niskie niebo stykało się z oceanem. Od strony lądu wysoki brzeg skalny, poszczerbiony wyrwami zieleni, zalany słońcem, roztaczał cień u swych stóp. W oddali, za

jadącymi, brunatne żagle opuszczały białe molo Fécamp, a przed nimi, jakaś skała o dziwnym kształcie, okrągława i podziurawiona, przypominała olbrzymiego słonia z trąbą, zanurzoną w falach. Była to „mała brama“ w Etretat.

Janina, trzymając się ręką burty, trochę oszołomiona kolyaniem fali, patrzyła w dal; wydawało jej się, że są tylko trzy rzeczy naprawdę piękne na świecie: światło, przestrzeń i woda.

Panowało milczenie. Przy sterze ojciec Lastique pociągał od czasu do czasu z butelki, którą miał pod ławką. Nie rozstawał się ze swą fajeczką — zdawała się ona nigdy nie gasnąć. Wydobywała się z niej stale wąska smuga błękitnego dymu, a druga, taka sama, wydobywała z kącika jego ust. Nie można było zauważyć, aby rybak zapalał fajkę albo napełniał ją tytoniem. Czasem wyjmował ją tylko z ust i wtedy, z tego samego kącika, z którego przedtem ulatywał dym, tryskała w morze strużka brunatnej śliny.

Baron siedział na przedzie i czuwał nad żaglem. Janina i wicehrabia znaleźli się obok siebie, nieco zmieszani oboje. Jakaś nieznana siła sprawiała, że oczy ich podnosiły się jednocześnie i spotykały ze sobą; nawiązała się już między nimi owa nieuchwytna i wiotka nić czulego porozumienia, jakie powstaje tak szybko pomiędzy dwojgiem młodych ludzi, kiedy oboje są ładni. Czuli się szczęśliwi obok siebie, może dlatego, że myśleli o sobie.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, jakby chciało ogarnąć z góry bezmiar rozciągających się pod nim wód, lecz te zakryły się kokieteryjnie lekką mgłą. Słała się ona nisko, przejrzysta i złotawa, nie przesłaniając horyzontu, lecz jedynie łagodząc jego zarysy. Słońce godziło w nią swymi strzałami, roztopiając ów mieniący się obłok, aż rozplynął się wreszcie i zniknął, a morze gładkie jak zwierciadło zaczęło połyskiwać w świetle.

— Jakie to piękne — szepnęła Janina, wzruszona do głębi, a wicehrabia powtórzył: — Tak, to piękne.

Pogodna jasność poranku budziła jakby echo w ich sercach.

Nagle ujrzeni olbrzymie arkady Étretat, podobne do dwóch zanurzonych w wodę kamiennych nóg, tak wysokich, że pod ich łukiem mogły przepływać okręty; przed jedną z nich wznosiła się ku niebu biała skalna iglica.

Przybili do brzegu. Baron wyskoczył pierwszy i przyciągał kóź do brzegu, a wicehrabia wziął Janinę na ręce i przeniósł ją, żeby nie zamoczyła stóp, po czym oboje ruszyli naprzód po twardych kamieniach wybrzeża, zmieszani tym chwilowym zbliżeniem. Nagle do uszu ich dobiegły słowa starego Lastique, mówiącego do barona:

— Ano, mnie się widzi, że ładna z nich będzie para.

W małej nadbrzeżnej oberży zjedli śniadanie pełne uroku. Przedtem ocean, rozleniwiając myśl, skłaniał ich do milczenia, teraz, przy stole stawali się gadatliwi, gadatliwi jak dzieci na wakacjach.

Najbłahsze rzeczy budziły w nich nieposkromioną wesołość.

Ojciec Lastique, siadając do stołu, starannie ukrył pod beretem dymiącą jeszcze fajkę; wywołało to wybuch śmiechu. Jakaś mucha, zwabiona zapewne czerwienią jego nosa, siadała na nim kilkakrotnie, a kiedy odpędzał ją ruchem ręki, zbyt powolnym, żeby mógł ją złapać, przenosiła się na muślinową firankę, upstrzoną przez jej siostry, i zdawała się czatować na pąsowy nochal rybaka, gdyż za chwilę siadała na nim z powrotem.

Za każdym razem rozlegał się wtedy wybuch szalonej wesołości, a kiedy stary, zirytowany łaskotaniem, mruknął: — A to uparta sztuka! — Janina i wicehrabia zaczęli płakać ze śmiechu, pokładając się, dusząc, zatykając serwetką usta, żeby nie krzyczeć.

Po kawie Janina zaproponowała:

— A może byśmy się przeszli?

Wicehrabia wstał, lecz baron wołał poleżeć trochę na plaży i powiedział:

— Idźcie, dzieci, a za godzinę się tu spotkamy.

Ruszyli prostą drogą pomiędzy chatami, a kiedy minęli ja-

kiś pałacyk, przypominający dużą fermę, otwarła się przed nimi podłużna kotlina.

Kołysanie fal zmąciło ich zwykłą równowagę; słony powiew zbudził apetyt. Później, śniadanie wprawiło ich w stan lekkiego oszołomienia, a wesołość podnieciła. Byli teraz trochę nieprzytomni: mieli chęć puścić się biegiem przez pola. Janina, wzburzona nawalem wrażeń, czuła szum w uszach.

Prażyło ich słońce. Po obu stronach drogi dojrzałe zboża chyliły się pod ciężarem upału. Od owsów i trzcin nadbrzeżnych dochodziło cykanie szarańczy, ogłuszające i ostre.

Żaden inny dźwięk nie wznosił się ku rozprażonemu niebu, którego lśniący błękit żółkł, jakby miał przemienić się w czerwień, podobnie jak się dzieje z metalem za blisko przysuniętym do ognia.

Nieco dalej, na prawo, dostrzegli lasek i skierowali się w jego stronę.

Zamknięta pomiędzy dwoma wzgórzami wąska aleja biegła w cieniu ogromnych drzew, nie dopuszczających słońca.

Ogarnął ich stęchły chłód, owa wilgoć, dreszczem przenikająca do płuc. Miejsce traw zajął mech.

Szli przed siebie.

— O, będziemy mogli usiąść tam na chwilę — powiedziała nagle Janina.

W miejscu, gdzie stały dwa stare uschłe drzewa, wdzierał się pomiędzy zieleń strumień światła. Ogrzewając ziemię, wydobyl z niej kielki trawy, jaskrów, pnączy, rozwinął białe kwiatki, delikatne jak mgła, i naparstnice jak złote smugi. Pszczoły, motyle, otyle szerszenie, olbrzymie komary, podobne do szkieletów much, tysiące skrzydlatych owadów, boże krówki, czerwone w czarne punkciiki, żuki zielonkawe i czarne zaludniały tę studnię, jasną i ciepłą, wydrążoną w lodowatym cieniu zbitego listowia.

Usiedli tam chroniąc głowy przed słońcem i grzejąc nogi w jego promieniach. Przyglądali się ruchliwemu życiu małych stworzeń, a Janina rozczulona powtarzała:

— Jak tu przyjemnie! Jak piękna jest wieś! Są chwile, kiedy chciałabym być muchą lub motylem, aby się ukryć wśród kwiatów.

Zaczęli mówić o sobie, o swoich przyzwyczajeniach, upodobaniach, przyciszonym, poufnym tonem zwierzeń.

Życie towarzyskie! Miasto! Pragnęła je poznać, lecz z góry przekonana była o ich niższości w porównaniu ze wsią.

Czym bliższe były sobie ich serca, tym ceremonialniej tytułowali się „pan i pani“ i tym częściej splatały się ich uśmiechnięte spojrzenia. Wydawało im się, że budzi się w nich jakieś nowe uczucie dobroci, życzliwości i zainteresowania dla tysiąca rzeczy, które dotąd były im obojętne.

Wrócili na umówione miejsce, lecz baron, który wyruszył pieszo do Chambre-aux Demoiselles, groty wyżłobionej w wierzchołku skały, nie wrócił stamtąd jeszcze; zaczęli więc na niego w oberży.

Zjawił się dopiero o piątej wieczorem, po długiej przechadzce wzdłuż wybrzeża.

Wsiedli do łodzi. Mając wiatr z tyłu odplynęła miękko, bez najmniejszych wstrząsów, jakby stała w miejscu. Łagodne podmuchy wydymały żagiel, który za chwilę opadał bezwładnie wzdłuż masztu. Matowa tafla wody wydawała się martwa, a ostygłe słońce zniżało się ku niej powoli.

Spokój morza kazał im zamilknąć.

Wreszcie Janina odezwała się:

— Jakże pragnęłabym podróżować!

— Tak, ale smutno jest podróżować samemu; trzeba być przynajmniej we dwoje, żeby się móc dzielić wrażeniami — odparł wicehrabia.

Zastanowiła się.

— To prawda... a jednak lubię samotne spacerunki... i samotne marzenia....

Spojrzał na nią przeciągle:

— Można także marzyć we dwoje.

Spuściła oczy. Czy miała to być aluzja? Może. Janina wpatrzyła się w dal, jakby chciała dotrzeć wzrokiem poza horyzont, a po chwili odezwała się wolno:

— Chciałabym pojechać do Włoch... i do Grecji... tak, do Grecji... i na Korsykę! Jak tam musi być dziko i pięknie!

Jego bardziej pociągała Szwajcaria ze względu na szalasy i jeziora.

— Nie — powiedziała Janina — ja wolę kraje zupełnie młode jak Korsyka lub bardzo stare, z mnóstwem zabytków, jak Grecja. Jakże to musi być przyjemnie odkrywać ślady ludów, których dzieje znamy od dzieciństwa, oglądać miejsca, gdzie dokonano wielkich czynów.

Wicehrabia, mniej egzaltowany, oświadczył:

— Mnie znów interesuje Anglia, można się tam nauczyć wielu rzeczy.

Przemierzali wszechświat, omawiając przyjemne strony każdego kraju, od biegunów aż po równik, zachwycając się krajobrazami, które sobie wymarzyli, i nieprawdopodobnymi obyczajami takich ludów, jak Chińczycy i Japończycy; ostatecznie jednak doszli do wniosku, że najpiękniejszym krajem na świecie jest Francja, ze swym umiarkowanym klimatem, bogatymi wsiami, zielenią lasów, wielkimi, spokojnymi rzekami i kultem dla sztuk pięknych, niespotykanych nigdzie od czasów starożytności greckiej.

Potem zamilkli.

Słońce chyląc się coraz niżej zostawiało na wodzie krwawą smugę, biegnącą świetlicie od widnokregu aż po bruzdę, jaką znaczyła za sobą łódź.

Ostatnie podmuchy wiatru ścichły; zmarszczki na wodzie wygładziły się, a nieruchomy żagiel zastygł w czerwieni. Wielki spokój ogarnął przestworza, opasując kręgiem milczenia stykające się ze sobą elementy. Wznosząc ku niebu swój brzuch, połyskliwy i płynny, okrutna oblubienica — morze — oczekiwała zbliżającego się ku niej kochanka. Przyspieszał on swe nadejście, rozgorzały żądzą uścisku, i złączył się z nią wreszcie, a ona wchłonęła go powoli.

Wówczas, od widnokręgu, nadleciał chłodny powiew; ruchliwe łono wody zmarszczyło się, jakby zatopiona gwiazda westchnęła w jego głębi.

Zmierzch trwał krótko. Rozpostarła się nad nimi noc, przetykana gwiazdami. Ojciec Lastique ujął wiosła, niebawem zauważyli, że morze fosforyzuje. Siedząc obok siebie, Janina i wicehrabia spoglądali na ruchliwe światełka, biegnące śladem łodzi.

Zapatrzeni przed siebie, wchłaniając z rozkoszą otaczające ich ciemności, przestali prawie myśleć. Janina oparła rękę na ławce i palec sąsiada, jakby przypadkiem dotknął jej dłoni; nie poruszyła się, zdumiona, uszczęśliwiona i zmieszana tym lekkim dotknięciem.

Po powrocie, kiedy znalazła się w swym pokoju, uczuła się dziwnie wzruszona i tak rozczulona, że miała chęć płakać. Spojrzała na zegar i pomyślała, że drobna pszczołka uderza jak czyjeś serce, czyjeś przyjazne serce, że będzie świadkiem całego jej życia, że swym szybkim, regularnym tik-tak towarzyszyć będzie jej smutkom i radościom; zatrzymała złożoną muszkę, żeby złożyć pocałunek na jej skrzydłach. Byłaby w tej chwili uściskała każdą rzecz, jaka dostałaby się w jej ręce. Przypomniała sobie, że w głębi szuflady schowała kiedyś starą lalkę; wydobyla ją i przyglądała się jej z radością, z jaką witamy ukończonych przyjaciół. Przyciskając ją do piersi, zaczęła obsypywać gorącymi pocałunkami malowane policzki i fryzowane włosy zabawki.

Spoglądając na nią rozmyślała.

Czy to ON był owym małżonkiem, którego nadejście zapowiadały tajemne głosy, małżonkiem, zsyłanym jej przez nieskończoną w swej dobroci opatrność? Czy to w jego ręce miała złożyć swe życie? Czy naprawdę byli dwojgiem przeznaczonych sobie ludzi, którzy odtąd tworzyć mieli jedno, połączyć się nierozzerwalnie i począć MIŁOŚĆ?

Nie odczuwała jeszcze owych gwałtownych porywów całej istoty, owych szalonych uniesień i głębokich wzruszeń, które w jej oczach były oznaką namiętności; zdawało jej się jednak,

że się w nim zakochała, bo na myśl o nim ogarniała ją nieraz dziwna omdłałość; a myślała o nim bez ustanku. Jego obecność napełniała niepokojem jej serce; spotykając jego spojrzenie czerwieniała i bladła na przemian, a na dźwięk jego głosu, przebiegał ją dreszcz.

Mało spała tej nocy.

Z każdym dniem wzbierało w niej pragnienie miłości, a nie będąc pewna, czy kocha, pytała się o to samej siebie, pytała się stokrotek, chmur i monet, podrzucanych do góry.

Aż tu pewnego wieczora ojciec zwrócił się do niej:

— Postaraj się ładnie wyglądać jutro rano.

— Dlaczego, tatusiu? — zapytała.

— To sekret — odpowiedział.

A kiedy nazajutrz rano weszła do salonu świeża, w jasnej sukni, ujrzała stół, zastawiony pudłami cukierków, a na krzesła olbrzymi bukiet.

Na podwórzu wjechał wózek. Widniał na nim napis: „Lerat, cukiernik w Fécamp. Specjalność: Uczty weselne“, a Ludwina przy pomocy kuchcika zaczęła wydobywać z jego wnętrza smakowicie pachnące koszyki.

Zjawił się wicehrabia de Lamare. Miał wąskie spodnie i laskierki, które uwydatniały szczupłość jego stopy. W wycięciu długiego, obcisłego w pasie surduta widać było koronki żabotu; wytworny krawat, owinięty kilkakrotnie wokół szyi kazał mu trzymać wysoko piękną głowę, o ciemnych włosach. Wydawał się inny niż zwykle; miał ów szczególny wygląd, jaki odmienny strój nadaje nagle twarzom najbardziej nawet znajomym.

Janina, oszołomiona, patrzyła nań, jakby widziała go po raz pierwszy: oto arystokrata od stóp do głów.

Skłonił się jej pytając z uśmiechem:

— I cóż, czy moja kuma już gotowa?

— Ja o niczym nie wiem, — wybąkała.

— Jak to?

— Zaraz się dowiesz — rzekł baron.

Pani Adelajda w uroczystym stroju ukazała się, wsparta na ramieniu Rozalii, na której elegancja wicehrabiego zdawała się robić tak wielkie wrażenie, że ojczulek szepnął mu do ucha:

— Zdaje się, wicehrabio, że przypadł pan do gustu naszej pokojówce.

Wicehrabia zaczerwienił się po uszy, udał, że nie słyszy, sięgnął po bukiet i podał go Janinie. Wzięła kwiaty, coraz bardziej zdziwiona. Wszyscy czworo wsiedli do karety, a kucharka Ludwina, która przyniosła baronowej zimnego bulionu dla pokrzepienia, oświadczyła:

— Zupełnie, jakby jakieś wesele, proszę jaśnie pani.

Wysiedli w Yport. Rybacy w nowych ubraniach wychodzili z domów, kłaniali się, ściskali rękę barona i przyłączali się do nich, jak do procesji.

Wicehrabia podał ramię Janinie i oboje ruszyli przodem.

Przed kościołem zatrzymali się; ukazał się wielki srebrny krzyż, niesiony prościutko przez czerwono-białego ministranta, za którym postępował drugi, trzymając naczynie z wodą święconą i zanurzonym w niej kropidłem.

Za nimi szli trzej starcy z chóru, z których jeden kulał, następnie organista, a wreszcie proboszcz, na którego wypukłym brzuchu krzyżowała się haftowana złotem stuła.

Przywitał ich uśmiechem i skinieniem głowy; z przymkniętymi oczyma, w birecie nasuniętym na czoło postępował, szepcząc modlitwy, w kierunku morza, a za nim szła jego gwardia w białych komżach.

Na wybrzeżu tłum ludzi otaczał nową łódź, uwieńczoną kwiatami. Maszt, żagiel i liny przystrojone były długimi wstążkami fruującymi na wietrze, a z tyłu widniało wypisane złotymi literami imię J A N I N A.

Ojciec Lastique, właściciel tej barki, zbudowanej za pieniądze barona, wysunął się na czoło orszaku. Wszyscy mężczyźni tym samym ruchem odkryli głowy, a rząd dewotek, w szerokich, czarnych mantylach, sutymi fałdami spływających im z ramion, przyklęknął na widok krzyża.

Proboszcz wraz z dwoma ministrantami udał się na jeden koniec łodzi, a na drugim trzej starcy z chóru, niechlujni w swych białych komżach, zarośnięci i pełni powagi, z oczyma utkwionymi w śpiewniku, darli się na całe gardło w jasności poranka.

Ilekróć przerywali, żeby złapać oddech, organista ciągnął sam jeden na serpencie, a jego szare oczka znikwały zupełnie wśród wzdętych policzków. Nawet skóra czoła i szyi zdawała odrywać się od ciała, tak mocno nadymał się trąbiąc.

Morze, przezroczyste i nieruchome, zdawało się uczestniczyć w skupieniu w tym chrzcie łodzi, drobnymi falami uderzając o przybrzeżne kamienie. Duże, białe mewy, o rozpostartych skrzydłach, zataczały kręgi w błękicie, to oddalając się, to znów powracając nad głowy klęczących, jakby także chciały widzieć, co się tam dzieje.

Wreszcie śpiew umilkł, zakończony przeciągłym „amen“, a proboszcz wyrzucił ze siebie niewyraźnym głosem kilka łacińskich słów, których tylko dźwięczne końcówki dawały się rozróżnić.

Następnie obszedł wokół łódź, skrapiając ją wodą święconą, po czym zaczął mruzczyć modlitwy oparte o burzę, naprzeciw rodziców chrzestnych, którzy stali bez ruchu trzymając się za ręce.

Młody człowiek nie utracił nic ze swej powagi, lecz dziewczyna, ogarnięta nagłym wzruszeniem, bliska omdlenia, zaczęła drżeć tak silnie, że zęby jej szczękały. Marzenie, nie odstępujące jej od pewnego czasu, przybrało nagle, jakby pod wpływem halucynacji, pozory rzeczywistości.

Najpierw ktoś wspomniał o weselu, teraz ksiądz udziela błogosławieństwa, a mężczyźni w komżach śpiewają modlitwy; a może to jest jej ślub?

Czy zadrżały jej nerwowo palce, czy natrętna myśl, goszcząca w jej sercu, przeniknęła do serca stojącego obok niej mężczyzny, a ten pojął ją, odgadnął, poddał się, tak jak dziewczyna, chwili miłosnego oszołomienia? Czy też wiedział z doświad-

czenia, że żadna kobieta nie potrafi mu się oprzeć? Janina uczuła nagle, że ściska jej rękę, z początku lekko, a potem silniej, coraz silniej, jakby chciał ją zmiażdżyć. I nie zmieniając wyrazu twarzy, tak że nikt nie mógł tego zauważyć, powiedział, tak, z pewnością powiedział bardzo wyraźnie:

— Och, Janino, gdyby pani chciała, mogłyby to być nasze zaręczyny.

Skloniła głowę ruchem bardzo powolnym, który być może oznaczał: tak. A ksiądz, wciąż jeszcze kropiąc święconą wodą, paru kroplami obryzgał im palce.

Ceremonia skończyła się. Kobiety podniosły się z klęczek. W nieładzie powracano ku wsi. Krzyż niesiony przez ministranta utracił swą godność: posuwał się szybko naprzód, kołysząc się na obie strony, to znów pochylając do przodu, jakby miał za chwilę upaść; proboszcz, zaprzestawszy modlitw, galopował za nim; starcy z chóru i organista zniknęli w jakiejś uliczce, żeby jak najprędzej się przebrać. Rybacy szli śpiesznie grupkami. Wszystkich ogarnęła jedna myśl, niosąca ze sobą kuchenne zapachy. Pod jej wpływem wydłużali krok, ślina napływała im do ust, a kiszki grały marsza.

W Peoples czekał na nich dobry obiad.

Na podwórzu pod jabłonią stał wielki stół. Sześćdziesiąt osób — rybaków i wieśniaków — zajęło przy nim miejsca. Baronowa, pośrodku, miała za sąsiadów dwóch księży — proboszcza z Yport i proboszcza z Peoples. Naprzeciw niej siedział baron pomiędzy merem a jego żoną, chudą, starą już wieśniaczką, kłaniającą się na wszystkie strony. Miała wąską twarz, wciśniętą w duży normandzki czepec, oczy okrągłe wiecznie zdziwione i przypominała zupełnie kurę czubatkę; jedząc zdawała się raz za razem dziobać talerz nosem.

Janina siedząc obok swego kuma podróżowała po krainie szczęścia. Przestała widzieć, co się koło niej dzieje, przestała cokolwiek rozumieć, milczała, oszołomiona radością.

— Jak panu na imię? — zapytała.

— Julian — odparł. — Nie wiedziała pani o tym?

Nie odpowiedziała, myśląc jednocześnie:

— Jakże często będę powtarzać to imię!

Po skończonym obiedzie zostawili rybaków na podwórzu, a sami przeszli na drugą stronę zamku. Baronowa wsparta na ramieniu męża udała się na przechadzkę w towarzystwie obu księży. Janina i Julian doszli aż do gaju i wkrótce znaleźli się na wąskiej ścieżynie wśród zarośli. Wziął ją nagle za rękę:

— Czy chce pani zostać moją żoną?

Pochyliła głowę, a gdy on szepnął:

— Niech pani odpowie, błagam! — podniosła ku niemu oczy bardzo powoli i wyczytał odpowiedź w jej spojrzeniu.

IV

Pewnego ranka baron wszedł do pokoju Janiny, zanim ta wstała, i usiadłszy na brzegu łóżka, powiedział:

— Wicehrabia de Lamare prosił o twoją rękę.

Miała ochotę ukryć twarz pod kołdrą.

Ojciec ciągnął:

— Postanowiliśmy odpowiedzieć mu nieco później.

Chwytała szybko powietrze, zdławiona wzruszeniem.

Baron dodał po chwili, z uśmiechem:

— Nie chcieliśmy nic postanawiać bez porozumienia się z tobą. Nie mamy nic przeciwko temu małżeństwu, lecz nie chcemy cię do niego namawiać. Jesteś znacznie bogatsza od wicehrabiego, ale kiedy chodzi o szczęście całego życia, nie można zważać na pieniądze. On nie ma już rodziców, wszedłby więc do naszego domu jako syn, gdy tymczasem, wychodząc za innego, musiałabyś nas opuścić. Przy tym chłopiec się nam podoba. A tobie?

Zarumieniona po uszy, wyjąkała:

— Mnie też, ojczulku.

A ojciec, patrząc jej głęboko w oczy, szepnął z uśmiechem:

— Domyślałem się tego, moja panienko.

Do samego wieczora była jak pijana, nie wiedziała, co robi, jedne przedmioty brała za drugie, a nogi uginały się pod nią ze zmęczenia, chociaż nigdzie daleko nie chodziła.

Koło godziny szóstej, kiedy siedziała z mateczką pod platanem, zjawił się wicehrabia.

Serce Janiny zaczęło bić jak szalone. Młody człowiek zbliżał się ku nim, nie objawiając najlżejszego wzruszenia. Ucałował

na przywitanie dłoń baronowej, a następnie podniósł do ust rękę dziewczyny i przylgnął do niej długim, pełnym wdzięczności pocałunkiem.

Rozpoczął się radosny okres narzeczeństwa. Rozmawiali ze sobą sam na sam w kątach salonu lub też siedząc w gaju, naprzeciw pustych wydm nadmorskich. Czasami przechadzali aleją mateczki; on mówił o przyszłości, a ona słuchała go ze spuszczonej oczyma, wodząc wzrokiem po wyżłobionej przez baronową bruździe.

Raz powziąwszy decyzję, postanowiono nie zwlekać z terminem ślubu. Miał on odbyć się za sześć tygodni, piętnastego sierpnia, a zaraz potem młoda para wyruszyć miała w podróż poślubną. Zapytana, do jakiego kraju pragnie wyjechać, Janina oświadczyła, że na Korsykę, gdyż będą tam mogli żyć w większym odosobnieniu niż w miastach włoskich.

Oczekiwali chwili ślubu bez zbytnej niecierpliwości, przejęci uczuciem rozkosznej tkliwości, delektując się czarem niewinnych pieszczot, uścisku palców, spojrzeń miłosnych tak długich, że dusze zdawały się w nich jednoczyć, a jednocześnie niepokojeni nieokreślonym pragnieniem gwałtownych uścisków.

Postanowiono nie prosić nikogo na ślub, z wyjątkiem ciotki Lizy, siostry baronowej. będącej na dożywociu w klasztorze w Wersalu.

Po śmierci ojca, baronowa chciała zatrzymać siostrę u siebie, lecz stara panna nękana przeświadczeniem, że wszystkim przeszkadza swoją osobą, że jest tylko zawadą, usunęła się do jednego z owych klasztorów, udzielających schronienia osobom samotnym i strapionym.

Od czasu do czasu przyjeżdżała do rodziny na miesiąc lub dwa.

Była drobna, małomówna, zawsze usuwała się w cień; zjawiała się jedynie w porze posiłków, by natychmiast wrócić do swego pokoju, w którym przesiadywała po całych dniach.

Czterdziestodwuletnia, miała dobrotliwy wygląd starowinki, oczy łagodne i smutne; w rodzinie nie liczonej się z nią nigdy.

W dzieciństwie — ponieważ nie była ładna ani żywa — nikt jej nie pieścił; ustępliwa i cicha, starała się zajmować jak najmniej miejsca. Przyzwyczajono się uważać to za rzecz naturalną. Nikt nie zajmował się nią, gdy była młodą panną.

Odnoszono się do niej tak, jakby była cieniem lub przedmiotem codziennego użytku, żywym meblem, do którego przywykliśmy, lecz o który nikt się nie troszczy.

Jej siostra, przyzwyczajona do tego w domu rodzicielskim, uważała ją za istotę bez znaczenia, nieudaną.

Traktowano ją z bezceremonialną poufałością, mającą w sobie coś pogardliwego. Nazywała się Liza, a to zalotne, pełne młodości imię zdawało się ją krępować. Od przyjścia na świat Janiny została „ciocią Lizą“, skromną kuzynką, zawsze czystuśko ubraną i straszliwie nieśmiałą, nawet wobec własnej siostry i szwagra, którzy okazywali jej przecież pewne przywiązanie. Było to z ich strony uczucie trudne do określenia, mieszanina obojętnej sympatii, mimowolnego współczucia i wrodzonej dobroci.

Nieraz, opowiadając o odległych wydarzeniach swej młodości, baronowa, chcąc określić jakąś datę, mówiła:

— Było to niedługo po tym — albo: — niedługo przed tym szalonym wybrykiem Lizy.

Nie mówiono nigdy nic więcej na ten temat i ów „szalony wybryk“ pozostał jakby przesłonięty mgłą.

Pewnego wieczora dwudziestoletnia wówczas Liza rzuciła się, z niewiadomej przyczyny, do wody. Nic w jej życiu ani w jej sposobie bycia nie pozwalało przewidzieć podobnego szaleństwa. Wyłowiono ją napół martwą, a rodzice wznosząc do góry ręce na znak oburzenia, zamiast szukać tajemniczej przyczyny tego postępuku, poprzestali na opowiadaniu o „szalonym wybryku“ córki, tak samo, jak mówili o nieszczęśliwym wypadku konia „Koka“, który niedawno przedtem złamał nogę i musiano go dobić.

Od owego czasu Liza zaczęła uchodzić za istotę trochę nie-normalną. Łagodna wzgarda, jaką okazywali jej najbliżsi, przesączała się powoli w serca całego otoczenia. Nawet mała Ja-

ninka, wyczuwając to z wrodzoną dzieciom przenikliwością, nie zajmowała się nią wcale, nigdy nie przychodziła rano do jej łóżka, żeby ją ucałować, nigdy do niej nie zaglądała. Pokojówka Rozalia, pełniąca najkonieczniejsze posługi w jej pokoju, była chyba jedyną osobą, która wiedziała, gdzie się on mieści.

Kiedy ciocia Liza wchodziła do jadalni na śniadanie, „malutka“ z przyzwyczajenia podawała jej czoło do pocałunku i na tym koniec.

Jeśli ktoś chciał się z nią widzieć, wołano ją przez służącą; a jeśli nie było jej w pokoju, nikt nie zwracał na to uwagi, nikt nie myślał o niej, nikomu nie przyszło do głowy zaniepokoić się, zauważyć:

— Prawda, nie widziałem dziś Lizy.

Nie liczyła się; należała do istot niedostrzegalnych nawet przez rodzinę, do istot, których śmierć nie pozostawia za sobą pustki w domu, które nie potrafią pozyskać sobie miejsca w życiu, przyzwyczajeniach i uczuciach swych najbliższych.

Kiedy mówiono „ciocia Liza“, słowa te nie budziły żadnego oddźwięku, jak gdyby powiedziano imbryk lub cukiernica.

Chodziła szybkim, bezszelestnym kroczkiem, nie sprawiając najlżejszego hałasu, nie zawadzając o nic, jakby sama jej bliskość nadawała przedmiotom własność niewydawania dźwięków. Ręce jej zdawały się być z waty, tak lekkie i delikatne było ich dotknięcie.

Przyjechała w połowie lipca, do głębi poruszona myślą o małżeństwie siostrzenicy. Przywiozła mnóstwo podarków, których, ponieważ pochodziły od niej, prawie nie, zauważono.

Już drugiego dnia przestano odczuwać jej obecność.

W niej natomiast fermentowało niedoznawane dotąd wzburzenie; nie potrafiła oderwać wzroku od narzeczonych. Z gorączkową energią zabrała się do szykowania wyprawy, pracując jak zwykła szwaczka w pokoju, w którym jej nikt nie odwiedzał.

Co chwila pokazywała baronowej chustki przez siebie obrębione, serwetki, z wyhaftowanym monogramem, pytając:

— Czy tak będzie dobrze, Adelajdo?

A mateczka, ledwo rzucając na nie okiem, odpowiadała:

— Nie zadawaj sobie tyle trudu, moja droga Lizo.

Pewnego wieczora, pod koniec miesiąca, po dniu dusznym i upalnym na niebie ukazał się księżyc. Nadchodziła jedna z owych nocy jasnych i ciepłych, które niepokoją, wzruszają, egzaltują, wydają się budzić całą utajoną w duszy ludzkiej poezję i zachwyty. Do pogrążonego w spokoju salonu napływał delikatny zapach pól. Baronowa z mężem jakby od niechcienia grali w karty w kręgu światła lampy, przyćmionej abażurem; ciocia Liza, siedząc pomiędzy nimi, zajęta była robótką ręczną, a młodzi, wsparci o parapet otwartego okna, spoglądali na ogród, zalany jasnością.

Lipa i platan rzucały cień na trawnik srebrny i połyskliwy, który ciągnął się aż po gaj, zupełnie czarny.

Ulegając nieprzewyciężonemu urokowi tej nocy, mglistą poświatą otaczającej drzewa, Janina zwróciła się do rodziców:

— Ojczulku, my pójdziemy się trochę przejść po parku.

Nie podnosząc oczu baron odparł:

— Idźcie, dzieci — i grał dalej.

Wyszli i zaczęli przechadzać się zwolna po srebrnym trawniku, aż po gaj.

Czas mijał, a oni nie myśleli o powrocie. Baronowa zmęczona chciała się położyć.

— Trzeba zawołać zakochanych — rzekła.

Baron przebiegł wzrokiem pełen światła ogród, po którym snuły się dwa cienie.

— Daj im pokój, tak przyjemnie jest teraz na dworze. Liza zaczeka na nich, prawda Lizo?

Stara panna zaniepokojona podniosła oczy i odpowiedziała nieśmiało:

— Ależ oczywiście.

Ojczulek pomógł żonie wstać, a sam również znużony upałem, oświadczył:

— I ja się położę.

I wyszedł z żoną.

Ciocia Liza została sama. Odłożyła na poręcz fotelu rozpozczętą robotę, włóczkę i szydelko, siadła przy oknie i opierając się na łokciach zapatrzyła się w noc pełną czaru.

Narzeczeni spacerowali tam i z powrotem. Nie rozmawiali ze sobą, ściskając się tylko za ręce, do głębi przeniknięci żywą poezją, jaką tchnęła ziemia.

W pewnej chwili Janina dostrzegła sylwetkę starej panny, rysującą się w świetle lampy na tle okna.

— Patrz — rzekła — ciocia Liza nam się przygląda.

Wicehrabia podniósł głowę i powtórzył bezmyślnie:

— Tak, ciocia Liza nam się przygląda.

I oboje powrócili do swych marzeń, spaceru i miłości.

Lecz rosa pokryła już trawy; przebiegł ich lekki dreszcz.

— Wracajmy — powiedziała Janina.

I wrócili.

Zastali ciocię Lizę pochyloną nad robótką; jej chude palce drżały lekko, jakby czymś bardzo zmęczone.

Janina podeszła do niej.

— Ciociu, trzeba iść spać!

Stara panna podniosła oczy; były zaczerwienione jak od płaczu. Zakochani nie zauważyli tego wcale; młody człowiek dostrzegł natomiast, że lekkie trzewiczki dziewczyny były zroszone. Zaniepokojony spytał pieszczotliwie:

— Czy nie zimno tym kochanym nóżkom?

Palce ciotki zdrząły nagle tak silnie, że robótką wysunęła się z nich i kłębek wełny potoczył się na podłogę, a stara panna, ukrywszy twarz w dłoniach, zaczęła łkać konwulsyjnie.

Narzeczeni patrzyli na nią, znieruchomiali ze zdumienia. Nagle Janina uklękła koło niej, odjęła jej ręce od twarzy i głęboko wstrząśnięta pytała:

— Co ci jest, co ci jest, ciociu Lizo?

Wówczas biedaczka, skurczona z bólu, wyjąkała głosem nadbrzmiałym łzami:

— Jak się spytał... czy nie zimno... tym... kochanym nóżkom, to... Do mnie nikt nigdy nie mówił w ten sposób... do mnie... nigdy... nigdy...

Janina, zdumiona, zdjęta współczuciem, miała jednocześnie chęć roześmiać się na myśl o tym, że ktoś mógłby się zakochać w cioci Lizie i prawić jej czułości; wicehrabia odwrócił się, żeby ukryć wesołość.

Ciotka zerwała się nagle, zostawiając wełnę na podłodze, a robótkę na fotelu i uciekła, nie biorąc światła i po omacku szukając drogi do swego pokoju.

Kiedy zostali sami, narzeczeni spojrzeli na siebie, rozbawieni i wzruszeni.

— Biedna ciocia! — szepnęła Janina.

— Coś jej się poplątało w głowie dziś wieczór — dodał Julian.

Trzymali się za ręce nie mogąc się rozstać, i zwolna, zwolna usta ich zbliżyły się i zamieniły pierwszy pocałunek, przed pustym fotelem cioci Lizy.

Następnego dnia żadne z nich nie pamiętało już o łzach starej panny.

W ciągu dwóch tygodni, poprzedzających ślub, Janina była stosunkowo spokojna, jak gdyby wyczerpana rozkosznymi wzruszeniami.

Rankiem w dniu ślubu również nie miała czasu na rozmyślanie. Doznawała tylko takiego uczucia, jakby była pusta w środku, jakby jej ciało, krew i kości rozpuściły się. A kiedy brała coś do ręki dostrzegała, że palce jej drżą silnie.

Dopiero w kościele, podczas nabożeństwa, odzyskała panowanie nad sobą.

Więc jest już mężatką! To, co działo się tego dnia, następujące po sobie fakty, ruchy, wydarzenia, wydawały jej się snem. Są chwile, kiedy wszystko naokół wydaje się inne niż zazwyczaj, każdy gest nabiera nowego znaczenia, nawet godziny wydają się zmieniać swą kolejność.

Czuła się oszołomiona i zdumiona. Jeszcze poprzedniego wieczora wszystko było bez zmian i tylko nadzieje jej życia stawały się coraz to bliższe spełnienia, niemal że dotykalne. Zasnęła jako panna; a teraz jest już mężatką.

Przestąpiła więc tę bramę, za którą zdawała się kryć przyszłość, wraz z całą jej wyśnioną radością i szczęściem. Miała wrażenie, że otwierają się przed nią jakieś podwoje i wkracza w Oczekiwane.

Ceremonia dobiegała końca. Przeszli do zakrystii, prawie pustej, gdyż nikogo nie zaproszono na ślub, a później wyszli z kościoła.

Kiedy ukazali się w drzwiach, rozległ się huk tak potężny, że panna młoda drgnęła, a baronowa wydała okrzyk. Była to salwa, dana przez wieśniaków; od tej chwili aż do powrotu do pałacu stale rozlegały się wystrzały.

Dla proboszcza, księdza z Yport, pana młodego i świadków, wybranych spośród bogatych gospodarzy z okolicy, podano przekąskę.

Następnie towarzystwo przeszło do ogrodu czekając na obiad. Baron i baronowa, ciocia Liza, mer i ksiądz Picot zaczęli spacerować aleją mateczki, podczas gdy na przeciwległej alei proboszcz z Yport, chodząc wielkimi krokami, czytał breviarz.

Od drugiej strony zamku dolatywały odgłosy hałaśliwej zabawy wieśniaków, pijących jabłecznik pod drzewami. Przystrojeni odświętnie zajmowali całe podwórze. Chłopcy uganiali się za dziewczętami.

Janina i Julian minęli gaj, weszli na wzgórze i w milczeniu patrzyli na morze. Mimo lata było chłodno, wiał północny wiatr, a wielka tarcza słoneczna błyszczała twardo na błękitnym niebie.

Młodzi, szukając jakiegoś ustronia, przebyli wydmy i skierowali się na prawo ku falistej zalesionej dolinie, opadającej ku Yport. Ledwie znaleźli się w lesie, wiatr ustał. Zeszli na wąską ścieżkę i zagłębili się w gęstwą liści. Z trudem posuwali się naprzód i w pewnej chwili Janina poczuła, że ramię mężczyzny opasuje jej kibić.

Milczała, z bijącym sercem, z trudem chwytając oddech. Niskie gałęzie dotykały ich włosów i często musieli się pochylać, żeby przejść. Janina zerwała liść; przytulone do niego od spo-

du siedziały dwie boże krówki, podobne do dwóch czerwonych muszelek.

Ochłonawszy nieco, Janina zauważyła niewinnie:

— Niech pan spojrzy, parka.

Julian musnął ustami jej ucho, szepecząc:

— Dziś wieczorem zostanie pani moją żoną.

Jakkolwiek pobyt na wsi nauczył ją już wielu rzeczy, niemniej jednak myślała dotąd jedynie o poetyckiej stronie miłości i jego słowa zdumiały ją. Jego żoną? Czyż nie jest nią już?

Zaczął obsypywać szybkimi pocałunkami jej skronie i szyję, gdzie wiły się pierwsze włoski. Nieprzyzwyczajona do męskich pocałunków drżała za każdym dotknięciem i instynktownie odchyłała głowę, żeby uniknąć tej pieczyoty, która ją jednak czarowała.

Nie spostrzegli się nawet, kiedy znaleźli się na skraju lasu. Janina przystanąła zmieszana, że się tak oddalili od pałacu.

— Co o nas pomyślą? Wracajmy — rzekła.

Cofnął ramię, obejmujące jej kibić. Oboje odwrócili się jednocześnie i znaleźli się twarzą w twarz, tak blisko, że czuli nawzajem swój oddech. Spojrzeli na siebie. Spojrzeli na siebie jednym z tych spojrzeń upartych, przenikliwych, sięgających aż do dna. Sondowali się wzrokiem w milczeniu, starając się odnaleźć w nim odpowiedź na to, co ich nurtowało, dotrzeć do najtajniejszej głębi ich samych. Czym będą dla siebie? Jakie będzie to życie, które rozpoczynali teraz razem? Jakie gotują sobie radości, chwile szczęścia czy rozczarowania, w tym długim, nierozzerwalnym sam na sam małżeństwa? I wydało się im obojgu, że widzą się po raz pierwszy.

Nagle Julian, kładąc ręce na ramionach żony, przywarł do jej ust pocałunkiem, jakiego nigdy jeszcze nie otrzymała, pocałunkiem, który przeniknął ją aż do szpiku i wstrząsnął nią tak silnie, że jak oszalała odepchnęła męża i o mało nie upadła przy tym do tyłu.

— Chodźmy stąd, chodźmy stąd — wyjąkała.

Nie odpowiedział, lecz ujął jej dłonie i zatrzymał w swoich.

W drodze powrotnej nie zamienili ze sobą ani słowa. Reszta popołudnia zdawała się dłużyć.

Obiad był skromny i trwał dość krótko, wbrew zwyczajom normandzkim.

Biesiadnicy czuli się jakby skrępowani. Tylko dwaj księża, mer i czterej zaproszeni gospodarze okazywali trochę rubasznej wesołości, jaka towarzyszy zwykle ucztom weselnym.

Jakieś dowcipne słówko mera ożywiało od czasu do czasu towarzystwo. Dochodziła dziewiąta; — podano kawę. Na podwórzu pod jabłoniami rozpoczęła się zabawa, widać ją było przez otwarte okno. Światła, płonące wśród gałęzi, nadawały liściom odcień szarozielony. Wieśniacy i wieśniaczki kręcili się w kółko wyśpiewując głośno jakąś melodię taneczną, przy ledwo słyszalnym akompaniamencie klarnetu i skrzypiec. Muzykanci usadowili się na stole kuchennym jak na estradzie. Hałasliwie śpiewki głużyły chwilami całkowicie dźwięki instrumentów, i cicha muzyka rwana przez rozhukane głosy zdawała się opadać z nieba strzępami, urywkami rozprószonych tonów.

Otoczone płonącymi pochodniami stały nieopodal dwie wielkie beczki. Dwie służące nie przestawały płukać w cebrzyku szklanek i kubków, ociekające jeszcze wodą podstawiając pod kurki, z których płynęła czerwona struga wina i złota struga jabłecznika. Spragnieni tancerze, spokojni starcy i spocone dziewczęta tłoczyli się wokół, wyciągali ręce po naczyńca, a potem, przechylając do tyłu głowy, pili wielkimi łykami.

Chleb, masło, ser i kielbasa leżały na stole. Częstowano się nimi nawzajem. Widok tej zabawy, zdrowej i pełnej rozmachu pod sklepieniem połyskujących światłem liści, budził zazdrość w melancholijnych biesiadnikach w salonie. Mieli chęć przyłączyć się do tańczących i tak jak oni popijać wino, płynące z pękających baryłek, zagryzając je kawałkiem chleba z masłem i surową cebulą.

Wstali od stołu i przeszli do salonu. Następnie goście zmieszali się na chwilę z podochoconym chłopstwem, po czym rozeszli się.

Baron i baronowa sprzeczekali się po cichu. Pani Adelajda, zadyszana bardziej niż zazwyczaj, zdawała się odmawiać żądaniu męża, a wreszcie rzekła niemal głośno:

— Nie, mój drogi, nie mogę, nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać.

Wtedy ojczulek odsunął się od niej gwałtownie i podszedł do córki.

— Nie przeszlabyś się ze mną, córeczko?

Bardzo wzruszona, odparła:

— Jak chcesz, ojczulku.

I wyszli. Skoro tylko znaleźli się przed domem, od strony morza owiał ich chłodny wiatr pachnący już jesienią.

Chmury gnały po niebie, przesłaniając, to znów odsłaniając gwiazdy.

Baron ujął ramię córki, czule ściskając jej rękę. Szli tak parę chwil. Baron wydawał się zmieszany, niepewny. Wreszcie zdecydował się:

— Pieszczotko, przypadła mi w udziale rola trudna, której powinna się była podjąć twoja matka. Ponieważ jednak odmówiła ona tego, ja muszę ją zastąpić. Nie wiem, w jakim stopniu znane są ci sprawy życia. Istnieją tajemnice, ukrywane starannie przed młodzieżą, a zwłaszcza przed dziewczętami, przed dziewczętami, mającymi zachować nieskalaną czystość myśli do chwili, kiedy powierzamy je mężczyźnie, który zajmie się ich losem. To on ma podnieść ową zasłonę, zakrywającą przed ich oczami słodki sekret życia. Lecz one, o ile nie domyślają się jeszcze niczego, buntują się często przeciwko brutalnej nieco rzeczywistości, kryjącej się za marzeniami. Zranione duchowo i cieleśnie odmawiają małżonkowi tego, co według praw ludzkich i według praw natury jest jego niezaprzeczalnym przywilejem. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej, kochanie, lecz zapamiętaj sobie to jedno, że należysz całkowicie do męża.

Co właściwie wiedziała, a czego się domyślała? Zaczęła drzeć na całym ciele, ogarnięta bolesną melancholią, jakby kielkowało w niej jakieś przygnębiające przeczcucie.

Wrócili do zamku. W drzwiach salonu przystanęli, zaskoczeni niespodzianym widokiem. Pani Adelajda szlochała na piersi Juliana. Jej łkania, wyrzucane jakby przez miech kowalski, zdawały wydobywać się równocześnie z nosa, ust i oczu. Młody człowiek, osłupiały, podtrzymywał niezręcznie grubą kobietę, rozpaczającą w jego ramionach i polecającą jego opiece swoją ukochaną pieśczołkę, swoją ubóstwianą córeczkę.

Baron podbiegł ku nim.

— Och, bez scen, bez roztkliwian, proszę cię! — i ująwszy żonę pod ramię, usadowił ją w fotelu.

Zaczęła ocierać sobie chusteczką twarz, a on zwrócił się do Janiny:

— No, maleńka, ucałuj prędko matkę i idź spać.

Sama bliska płaczu, pośpiesznie uściskała rodziców i wybiegła.

Ciocia Liza już przedtem wycofała się do swego pokoju. Baronostwo zostali sami z Julianem. Wszyscy troje byli tak zmieszani, że nie wiedzieli o czym mają mówić; obaj mężczyźni w strojach wieczorowych stali zadumani, a pani Adelajda płakała cicho w fotelu. Żeby przerwać to nieznośne milczenie, baron zaczął rozmawiać o podróży, w jaką młodzi mieli wyruszyć za parę dni.

W swoim pokoju Janina rozbierała się z pomocą Rozalii, płaczącej rzewnie. Ręce służącej błędziły po omacku, na próżno starając się natrafić na tasiemki i szpilki; wydawała się jeszcze bardziej wzruszona niż jej pani. Lecz Janina nie zwracała uwagi na łzy pokojówki; miała wrażenie, że znalazła się w jakimś innym świecie, przeniosła się na inną planetę, i oto odcięta jest od wszystkiego, co znała i kochała dotąd. Całe jej dawne życie było zburzone; nawet myśli płynęły teraz innym torem. Nasunęło się jej dziwne pytanie: czy ona kocha męża? Nagle bowiem wydał się jej człowiekiem obcym, prawie nieznanym. Przed trzema miesiącami nie wiedziała jeszcze o jego istnieniu, a teraz jest jego żoną. Jakim sposobem się to stało? Jakim sposobem dała się wciągnąć w to małżeństwo, niby w zasadzkę?

Rozebrana wśliznęła się do łóżka, a lekki chłód pościeli wywołując dreszcz, spotęgował w niej jeszcze uczucie zimna, samotności i smutku, gnębiące ją od dwóch godzin.

Rozalia wyszła z pokoju nie przestając płakać. Janina czekała.

Ktoś zastukał trzy razy lekko do drzwi, chociaż nie słyszała przedtem kroków na korytarzu. Zadrżała, nie odpowiadając ani słowem. Rozległo się ponowne stukanie i zgrzyt klamki. Schowała głowę pod kołdrę, jakby w obawie przed złodziejem. Zaskrzypiała podłoga i nagle ktoś dotknął jej łóżka.

Poderwała się nerwowo i wydała stłumiony okrzyk; wysuwając głowę spod kołdry, ujrzała stojącego przy niej Juliana, który patrzył na nią z uśmiechem.

— Och, jak mnie pan przestraszył! — powiedziała.

— Więc się mnie pani nie spodziewała? — odparł.

Nie odpowiedziała. Był we fraku, ze swą poważną miną pięknego chłopca; zdjął ją okropny wstyd, że mężczyzna, tak nienagannie ubrany, widzi ją w łóżku.

Nie wiedzieli, co mają mówić, ani jak się mają zachować, nie śmiejąc prawie spojrzeć na siebie w tej rozstrzygającej chwili, od której zależy szczęście całego życia.

Mężczyzna wyczuł może niejasno, jakie niebezpieczeństwo przedstawia ta walka, jakiej wymaga subtelności, jakiego panowania nad sobą i przebiegłej czułości, żeby nie urazić niczym delikatnej i wstydlivej duszy dziewiczej, karmionej marzeniami.

Ujął więc łagodnie rękę żony i ucałował ją, po czym klęknął przed łóżkiem, niby przed ołtarzem, i zapytał cicho:

— Czy będzie mnie pani kochać?

A ona, uspokojona nagle, uniosła z poduszki głowę otoczoną obłokiem koronek i odparła z uśmiechem:

— Przecież ja pana kocham.

Delikatnie wsunął sobie do ust paluszki żony i głosem zmienionym przez ten żywy knebel rzekł:

— A czy otrzymam dowód miłości?

Znów zmieszana, nie rozumiejąc dobrze, co mówi, pamiętna jednak słów ojca, odparła:

— Jestem twoja, mój przyjacielu.

Zaczął okrywać jej piąstkę wilgotnymi pocałunkami i podnosząc się zwolna z klęczek, pochylił się nad jej twarzą, którą znów chowała pod kołdrą.

Nagle, wyciągnawszy rękę w poprzek łóżka, objął ją w pół przez kołdrę, drugą zaś rękę wsunął pod poduszkę i unosząc wraz z nią głowę żony, zapytał cicho:

— Więc zrobi mi pani troszkę miejsca obok siebie?

Zdjęta instynktownym lękiem, szepnęła:

— Och, nie, jeszcze nie teraz.

Wydał się rozczarowany, trochę dotknięty, i tonem wciąż jeszcze błagalnym, lecz trochę już ostrzejszym odparł:

— Dlaczego nie teraz, kiedy i tak się na tym skończy?

Zadrasnął ją tym powiedzeniem, lecz uległa i zrezygnowana, powtórzyła jak wprawdzie:

— Jestem twoja, mój przyjacielu.

Wtedy zniknął szybko w garderobie. Słyszała wyraźnie każdy jego ruch, szelest zdejmowanego ubrania, brzęk pieniędzy, odgłos zrzucanych butów.

I nagle w kalesonach i skarpetkach przeszedł szybko przez pokój, żeby położyć zegarek na kominku. Następnie wrócił śpiesznie do garderoby, był tam jeszcze przez chwilę, a kiedy czuła, że zbliża się do niej, odwróciła się plecami i przymknęła oczy.

Poderwała się, jakby chcąc wyskoczyć na podłogę, kiedy czyjaś noga, zimna i owłosiona, dotknęła jej nogi; przerażona, gotowa krzyknąć ze strachu, wtuliła się w sam kąt łóżka.

Wziął ją w objęcia, chociaż w dalszym ciągu leżała odwrócona do niego plecami, i żarłocznymi pocałunkami obsypywał jej szyję, falujące koronki czepeczka i haftowany kołnierz nocnej koszuli.

Znieruchomiła w straszliwej trwodze czuła, jak silna ręka szuka jej piersi, które zasłaniała łokciami. Dyszała ciężko wstrząśnięta brutalnym dotknięciem, ogarnięta chęcią ucieczki i ukrycia się gdzieś przed tym człowiekiem.

A on przestał się poruszać. Czują jego ciepło. Jej lęk ucichł nagle i pomyślała, że wystarczyłoby się odwrócić, żeby go pocałować.

Tymczasem on zdawał się niecierpliwie i wreszcie głosem zasmuconym rzekł:

— Więc nie chce pani zostać moją żoneczką?

— Czyż nią nie jestem? — szepnęła przez palce.

Z odcieniem złego humoru odparł:

— Ależ moja droga, proszę ze mnie nie drwić.

Niezadowolony ton jego głosu poruszył ją do głębi i odwróciła się nagle, żeby go przeprosić.

Pochwyił ją w ramiona z zajadłością człowieka wygłodzonego i prędkimi, kęsającymi, szalonymi pocałunkami zaczął okrywać jej twarz i szyję, odbierając jej przytomność pieśczętami. Rozwarła dłonie i leżała nieruchomo nie wiedząc, co się z nią dzieje, nic nie rozumiejąc. Nagle szarpnął nią ostry ból i zaczęła jęczeć, zmiażdżona w uścisku.

Co działo się potem? Nie pamiętała; zdawało jej się tylko, że zasypał ją gradem krótkich pocałunków wdzięczności.

Później mówił coś do niej, a ona mu odpowiadała. Znów usiłował ją posiąść, ale odepchnęła go przerażona; wrywając mu się dotknęła na jego piersi gęstego owłosienia, jakie poczuła przedtem na jego nodze, i cofnęła się wstrząśnięta.

Zmęczony bezskutecznym naleganiem, leżał teraz spokojnie na wznak.

Zaczęła rozmyślać, zrozpaczona do głębi duszy, odarta ze złudzeń i zawiedziona w najdroższych oczekiwaniach:

— Oto, co on nazywa być jego żoną; więc to tak, więc to tak!

Długo leżała, pogrążona w smutku, błędząc wzrokiem po tapetach, przedstawiających starą legendę o miłości.

Ponieważ Julian nic nie mówił i nie poruszał się, powoli skierowała na niego spojrzenie i ujrzała, że śpi! Spał z ustami półotwartymi, z twarzą spokojną! Spał!

Nie mogła wprost w to uwierzyć, oburzona, bardziej dotknięta jego snem niż jego brutalnością, czując, że traktuje ją

jak pierwszą lepszą. Więc on może spać w taką noc? Więc to, co zaszło między nimi, nie jest dla niego niczym nadzwyczajnym? Och, wolałaby już, żeby ją bił, zadawał jej gwałt, męczył aż do utraty przytomności ohydnymi pieścizotami.

Pozostała tak nieruchoma, wsparta na łokciu, pochylona nad nim, słuchając, jak z jego otwartych ust wydobywa się lekki szmer, przechodzący chwilami w chrapanie.

Nadszedł dzień, z początku bezbarwny, a później z każdą chwilą coraz jaśniejszy, coraz bardziej różowy, coraz bardziej promienny. Julian otworzył oczy, ziewnął, przeciągnął się, spojrzął na żonę i zapytał z uśmiechem:

— Jak ci się spało, kochanie?

Zauważyła, że mówi jej teraz „ty“, i odpowiedziała, zdumiona:

— Dobrze. A panu?

— Och, mnie doskonale! — odparł.

Zwrócił się ku niej, pocałował ją i zaczął spokojnie rozmawiać.

Rozwijał przed nią swe plany na przyszłość, opierając się na oszczędnym trybie życia. Słowo oszczędność, powtarzając się kilkakrotnie, zdziwiło Janinę. Słuchała męża z roztargnieniem, przyglądając mu się i myśląc jednocześnie o wielu rzeczach, które przemykały jej przez głowę.

Wybiła godzina ósma.

— Trzeba wstać — oświadczył. — Narazilibyśmy się na śmieszność, zostając za długo w łóżku.

Wstał pierwszy, a skończywszy się ubierać, pomagał żonie, nie pozwalając jej zawołać Rozalii.

Wychodząc zatrzymał się na chwilę.

— Wiesz, kiedy jesteśmy sami, możemy mówić sobie po imieniu, ale wobec rodziców lepiej poczekać z tym, aż wrócimy z podróży poślubnej. Wtedy będzie to całkiem naturalne.

Janina zeszła dopiero na śniadanie. Dzień upłynął normalnie, jakby nic się nie zmieniło. Było tylko o jednego mężczyznę więcej w domu.

W cztery dni później zajechał powóz, mający ich odwieźć do Marsylii.

Pierwszy lęk minął i Janina przyzwyczaiła się już do obecności Juliana, do jego pocałunków i ciągłych pieszczot, chociaż jej wstręt do zbliżeń bardziej intymnych nie zmniejszył się.

Julian podobał jej się, kochała go; znów była wesoła i szczęśliwa.

Pożegnanie było krótkie i bez smutku. Tylko baronowa wydawała się wzruszona i kiedy powóz miał ruszać, wsunęła córce do ręki dużą sakiewkę, ciężką jak z ołowiu.

— To na drobne wydatki dla ciebie — powiedziała.

Janina wrzuciła sakiewkę do kieszeni i konie ruszyły.

Wieczorem Julian zagadnął:

— Ile ci matka dała w tej sakiewce?

Zapomniała o niej zupełnie; wysypała teraz jej zawartość na kolana. Rozlała się struga złota: dwa tysiące franków.

Klasnęła w ręce:

— Będę mogła pozwolić sobie na różne szaleństwa!—i schowała pieniądze.

Po tygodniu jazdy w strasliwym upale, przybyli do Marsylii.

Następnego dnia „Król Ludwik“, stateczek płynący do Neapolu przez Ajaccio, zabrał ich na Korsykę.

Korsyka! korsykańskie haszcze! bandyci! góry! ojczyzna Napoleona! Janinie zdawało się, że na jawie przenosi się ze świata rzeczywistego w krainę marzeń.

Stojąc obok siebie na pokładzie, spoglądali na uciekające wstecz nadmorskie skały Prowansji. Morze głęboko niebieskie.

jakby zakrzepłe w ognistej jasności, rozciągało się nieruchomo pod przybrzeżnym niebem, przesadnie aż błękitnym.

Zapytała:

— Pamiętasz naszą wycieczkę łodzią ojca Lastique?

Zamiast odpowiedzi musnął jej ucho szybkim pocałunkiem.

Koła parowca były o wodę, zakłócając jej głęboki sen, a długi pianisty ślad, blada smuga musująca jak szampan, znaczyła aż po horyzont prostą bruzdę, żłobioną przez statek.

Nagle, w odległości kilku węzłów zaledwie, wyskoczyła z wody olbrzymia ryba, delfin, i zaraz zanurzyła się w nią z powrotem. Janina krzyknęła ze strachu i przytuliła się do Juliana. Po chwili sama zaczęła się śmiać ze swego przestachu, rozglądając się jednocześnie trwożliwie, czy ryba nie ukaże się znów. Po kilku sekundach wytrysnęła ona znów, niby wielka zabawka mechaniczna, podrzucana sprężyną. I znów zapadła w wodę, i wyskoczyła z niej raz jeszcze. Później ukazało się ich dwie, trzy, sześć i zdawały się płaszać w podskokach naokoło statku, eskortować swego monstrualnego brata, drewnianą rybę o płetwach z żelaza. Pływały to z lewej, to z prawej jego strony, wszystkie razem lub jedna za drugą, jakby bawiąc się w jakąś wesołą gonitwę. Od czasu do czasu opisywały łuk w powietrzu i z powrotem zanurzały się w wodę.

Janina klaskała w ręce drżąc z zachwyту, ilekroć pojawiały się olbrzymie i gibkie ciała pływaków. Jej serce skakało tak jak one w szalonym porywie dziecinnej radości.

Nagle zniknęły. Wyłoniły się raz jeszcze bardzo daleko na pełnym morzu, po czym skryły się, a Janina uczuła żal, że ich już nie ma.

Zapadał wieczór, łagodny, cichy, pełen jasności i szczęśliwego ukojenia. Najłżejszy powiew nie mącił powierzchni wody i ten bezgraniczny spokój morza i nieba ogarniał dusze ludzkie, zastygłe w bezruchu i również pełne niezmaconej ciszy.

Słońce chyliło się powoli w stronę Afryki, niewidocznej Afryki, płomiennej ziemi, której żar zdawał się dolatywać aż tutaj. Lecz kiedy zaszło, lekki chłód, nie będący jednak ani cieniem wiatru, pieszczotliwie musnął ich twarze.

Nie mieli ochoty wracać do kabiny, przesiąkniętej ohydny mi zapachami okrętowymi, i wyciągnęli się na pokładzie otuleni w płaszcze, jedno obok drugiego. Julian zasnął natychmiast, ale Janina, podniecona podróżą, leżała z otwartymi oczyma. Monotonny szum wody spływającej po kołach kołysał ją; wpatrywała się w legiony gwiazd, iskrzących się ponad nią na czystym niebie południa.

Nad ranem zdrzemnęła się. Zbudził ją hałas. Marynarze śpiewając zajmowali się poranną toaletą statku. Potrząsnęła za ramię męża, pogrążonego we śnie, i wstali.

Całym ciałem czuła przenikliwy smak słonej wody i upajała się nim. Wokół rozpościerało się morze. I tylko przed nimi w nikłym świetle wstającego dnia majaczyło coś szarego, niby skupisko chmur, spiczastych i poszczerbionych.

Niebawem zarysy ich stały się wyraźniejsze i na pojaśnionym niebie wyłonił się długi łańcuch gór zębatach i dziwacznych: Korsyka, spowita jakby lekką zasłoną.

Spoza niej ukazywało się słońce i każdy załom gór rysował się czarno na jego tle; potem wszystkie szczyty zapłonęły ogniem, a reszta wyspy pozostała za mgłą.

Kapitan, drobny staruszek, ogorzały, wyschnięty, pokurczony i stwardniały od wiatrów porywistych i słonych, ukazał się na pomoście i głosem, zachrypłym po trzydziestu latach wydawania rozkazów, zdartym od krzyków, rzucanych wśród burz, powiedział do Janiny:

— Czuje ją pani?

Rzeczywiście czuła jakąś silną, obcą jej woń roślinności.

Kapitan dodał:

— To Korsyka tak pachnie; jak każda piękna kobieta i ona ma swój zapach. Po dwudziestu latach nieobecności poznałbym go na odległość kilku mil. Tutaj się urodziłem. A On, tam, na świętej Helenie, wciąż podobno wspomina woń swej ojczyzny. Pochodzimy z tej samej rodziny.

I zdejmując kapelusz kapitan pokłonił się Korsyce, pokłonił się — poprzez ocean — wielkiemu więźniowi, który był jego krewnym.

Janina o mało nie rozplakała się ze wzruszenia.

A stary marynarz wyciągnął rękę w stronę horyzontu i powiedział:

— Sanguinaires!

Julian, stojąc obok żony, obejmował ją w pół i oboje wyteżali wzrok, żeby dojrzeć wskazany punkt.

Nareszcie dostrzegli kilka skał w kształcie piramid, które statek okrążył niebawem, aby wejść do olbrzymiej, spokojnej zatoki, okolonej lasem wysokich szczytów, których zbocza zdawały się okryte mchem.

Kapitan ruchem ręki wskazał tę zieloność, mówiąc:

— Korsykańskie haszcze!

W miarę jak posuwali się naprzód, krąg gór zdawał się zamykać za statkiem, płynącym zwolna po lazurowym jeziorze, tak przejrzystym, że niekiedy widać było jego dno.

I nagle — w głębi zatoki, tuż nad wodą, u podnóża gór — ukazało się białe miasto.

Kilka włoskich statków stało w porcie. Cztery czy pięć łodzi zaczęło krążyć koło „Króla Ludwika“, żeby zabrać pasażerów.

Julian, gromadząc pakunki, zapytał cicho żony:

— Jak myślisz, czy wystarczy dać bagażowemu dwadzieścia su?

Od tygodnia wciąż słyszała podobne pytania i za każdym razem sprawiały jej one przykrość.

Odparła z pewnym zniecierpliwieniem.

— Zawsze lepiej dać więcej, niż za mało.

Julian stale targował się z właścicielami i obsługą hoteli, z przewoźnikami i sprzedawcami w sklepach, a kiedy udało mu się uzyskać nieznaczną obniżkę ceny, mówił do Janiny, zacierając ręce:

— Nie lubię, żeby mnie okradano.

Drżała na widok rachunków, z góry wiedząc, jakie uwagi będzie robił na ich temat, upokorzona tym targowaniem się, czerwieniąc po uszy pod wzgardliwymi spojrzeniami, jakimi

służba obrzucała jej męża, obracając w ręku jego skąpe napewki.

Tym razem targował się z przewoźnikiem, który odwiózł ich do brzegu.

Pierwszym drzewem, które ujrzała, była palma!

Zatrzymali się w dużym, pustym hotelu na rogu obszerne-go placu i kazali podać sobie obiad.

Po deserze, kiedy Janina wstała, chcąc się przejść trochę po mieście, Julian, oplatając ją ramieniem, szepnął jej czule do ucha:

— A gdybyśmy się tak położyli, koteczko?

Spojrzała na niego zdumiona.

— Położyli? Ależ ja nie jestem wcale zmęczona.

Przytulił ją do siebie.

— Pragnę cię. Rozumiesz? Już od dwóch dni...

Oblała się purpurą, zawstydzona, jękając:

— Och, teraz? Co powiedzą ludzie? Co sobie pomyślą? Jakże mógłbyś żądać pokoju teraz, w jasny dzień? Och, Julianie, błagam cię!

On jednak przerwał:

— Dużo sobie z tego robię, co o mnie powiedzą lub pomyślą w hotelu. Zobaczysz, ile mnie to obchodzi.

I zadzwonił.

Milczała, spuściwszy oczy, fizycznie i duchowo pełna sprze-ciwiwu wobec nieustannej pożądlivości męża, ulegając mu z od-rażą, zrezygnowana, lecz upokorzona, widząc w tym coś zwi-erzęcego, poniżającego, wręcz obrzydliwego.

Zmysły jej nie obudziły się jeszcze, a Julian odnosił się do niej tak, jakby podzielała jego namiętność.

Kiedy nadszedł służący, Julian zażądał, żeby wskazał im pokój. Mężczyzna, typowy Korsykanin zarośnięty aż po same oczy, nie rozumiejąc, o co idzie, zapewnił ich, że na wieczór pokój będzie przygotowany.

Julian zniecierpliwiony odparł:

— Nie, natychmiast. Jesteśmy zmęczeni podróżą i chcemy odpocząć.

Służący uśmiechnął się pod wąsem, a Janina, widząc to, miała ochotę uciec.

Kiedy w godzinę później wychodzili z hotelu, nie śmiała spojrzeć nikomu w oczy, pewna, że śmieją się z niej za plecami. W głębi duszy miała urazę do Juliana, że tego nie rozumie, że brak mu subtelności, i czuła, że jest między nimi jakaś zasłona, która ich dzieli. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że dwoje ludzi nigdy nie zdoła przeniknąć się nawzajem aż do głębi swych myśli, że idą oni obok siebie, spleceni nieraz uściskiem, lecz nie zespoleni ze sobą, i że każdy z nich skazany jest na nieuchronną samotność duchową.

Trzy dni spędzili w tym miasteczku, ukrytym nad błękitną zatoką, nagrzaną jak piec za zasłoną gór, nie dopuszczających doń najlżejszego powiewu.

Następnie ułożyli dalszy plan podróży i żeby umożliwić sobie przebycie najuciążliwszych nawet dróg, postanowili wynająć wierzchowce. Wzięli dwa małe korsykańskie koniki o dzikim wzroku, chude i niestrudzone, i wyruszyli o świcie. Przewodnik towarzyszył im na mule, wioząc żywność, gdyż w tym dzikim kraju nie było oberży.

Droga wiodła początkowo wzdłuż zatoki, by niebawem skręcić w płytką kotlinę, prowadzącą ku góróm. Mijali często potoki górskie, całkiem niemal wyschnięte, a pod kamieniami wił się rodzaj strumyka, bulgocąc nieśmiało niby ukryte zwierzę.

Leżąca odłogiem ziemia wydawała się naga. Zbocza pochyłości okrywała wysoka trawa, pożółkła od żaru. Od czasu do czasu spotykali górali — pieszo, na koniach lub też na osłach, niewiększych od psów. Wszyscy oni mieli przewieszzone przez plecy strzelby nabite: starą, zardzewiałą broń, groźną w ich rękach.

Powietrze zdawało się gęste od przejmującej woni roślinności, pokrywającej wyspę; droga pięła się powoli pod górę pośród załamów gór.

Granitowe szczyty, różowe lub błękitne, nadawały rozległemu krajobrazowi koloryt baśniowy; niżej lasy potężnych kasztanów

wyglądały niby zielone zarośla, wobec ogromnych wyniosłości tego kraju.

Od czasu do czasu przewodnik, wyciągając rękę w kierunku poszczerbionych gór, rzucał jakąś nazwę. Janina i Julian spojrzeli w tamtą stronę i dopiero po chwili udawało im się dostrzec coś szarego, podobnego do stosu kamieni, spadłych ze szczytu. Były to wioski lub małe osady zbudowane z granitu, przyczepione do zboczy, przytulone do nich jak jaskółcze gniazdko i prawie niewidoczne.

Długa podróż stępa drażniła Janinę.

— Pojedźmy trochę szybciej — powiedziała i puściła konia galopem.

Po chwili, nie słysząc, żeby mąż jechał za nią, odwróciła się i wybuchnęła szalonym śmiechem na widok nadjeżdżającego Juliana, bladego, trzymającego się grzywy końskiej i podskakującego do góry. Jego uroda i postawa „pięknego chłopca“ czyniły jeszcze śmieszniejszymi jego przestrochy i niezręczność.

Ruszyli truchtem. Droga ciągnęła się teraz pomiędzy niekończącymi się zaroślami, jakby płaszczem okrywającymi całe zbocza.

Były to nieprzeniknione haszcze korsykańskie: zielone buki, jałowce, mączniki, drzewa pistacjowe, wrzosy, oleandry, mirty, krzewy oplecione powojem, przetykane olbrzymimi paprociami, kaprifolium, szczodrzenicą, rozmarynem, lawendą, jeżynami, osłaniały stoki gór gąszczem nie do rozczesania.

Uczuli głód. Przewodnik zbliżył się do nich i zaprowadził do jednego z tych czarujących źródeł, tak często spotykanych w krajach skalistych. Wąska strużka lodowatej wody wytryskiwała z małego otworu w skale i spływała po liściu kasztana, położonym tam przez jakiegoś przechodnia, żeby łatwiej można się było napić.

Janina czuła się tak szczęśliwa, że z trudem powstrzymywała się od okrzyków radości.

Zaczęli schodzić na dół okrążając zatokę Sagone.

Wieczorem minęli Cargèse, grecką wieś, założoną tu niegdyś przez koloniję uchodźców, wypędzonych z ojczyzny. Rosłe pięk-

ne dziewczęta, o zgrabnych biodrach, długich rękach, smukłej kibici i dziwnym uroku, stały koło studni. Julian rzucił im: „Dobry wieczór“, a one odpowiedziały mu śpiewnie, w melodyjnym języku swej ojczyzny.

Przybywszy do Piana musieli prosić o gościnę, jak w czasach starożytnych i w odludnych stronach. Janina drżała z radości, czekając, aż otworzą się drzwi, do których Julian zapukał! Och! to była prawdziwa podróż, ze wszystkimi niespodziankami czekającymi na nieznanym drogach.

Trafili do młodego małżeństwa, które przyjęło ich tak, jak patriarchowie przyjmować musieli gościa zesłanego przez Boga. Spędzili noc na sienniku z kukurydzanki, w starym, spróchniałym domostwie, stoczonym przez czerwie, wędrujące w jego belkach. Dom trzeszczał, zdawał się żyć i wzdychać.

Wyjechali o wschodzie słońca i wkrótce zatrzymali się na widok lasu, prawdziwego lasu oblanych purpurą skał. Były tam iglice, kolumny, dzwonnice kościołów i dziwne postaci, wyrzeźbione przez czas, żrące wichry i nadmorskie mgły.

Wysokie na trzysta metrów, spiczaste, zaokrąglone, powykrzywiane, haczykowate, nieforemne, o kształtach nieprzewidywanych i fantastycznych, te zadziwiające urwiska przypominały drzewa, rośliny, zwierzęta, posągi, ludzi, mnichów w habitach, rogate diabły, ptaki wielkości nadnaturalnej — monstrualny świat, koszmarną menażerię, skamieniałą na rozkaz jakiegoś kapryśnego boga.

Janina milczała wstrząśnięta i ujawszy rękę Juliana, ścisnęła ją, ogarnięta pragnieniem miłości w obliczu tego piękna.

I nagle, wyszedłszy z obrębu tego chaosu, znów ujrzeli zatokę, opasaną wokół ociekającym krwią murem czerwonego granitu. Błękitne morze odbijało w sobie te szkarłatne skały.

Janina szepnęła: — Och, Julianie! — nie mogąc znaleźć innych słów, z gardłem ściśniętym, a dwie łzy spłynęły jej z oczu. Spojrzał na nią zdumiony:

— Co tobie, koteczko?

Otarła twarz, uśmiechnęła się i odpowiedziała głosem drżącym z lekka:

— Nic.... To nerwowe... Sama nie wiem... Ten widok zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jestem taka szczęśliwa, że najdrobniejsze rzeczy wzruszają mnie do głębi.

Nie rozumiał tych stanów rozdrażnienia, w jakie popadają kobiety, nagłych wstrząsów, jakie przeżywają te rozedrgane istoty, przejmujące się byle drobnostką, równie łatwo ulegające zachwytom jak i rozpacz.

Jej lzy wydawały mu się śmieszne, a zajęty całkowicie pokonywaniem przeszkód podróży, odparł:

— Lepiej zrobisz uważając na konia.

Drogą niemal niedostępną zjechali ku zatoce, po czym skręcili na prawo, żeby dotrzeć do mrocznej doliny Ota.

Widząc jednak, że ścieżka, którą się posuwali, staje się coraz trudniejsza do przebycia, Julian zaproponował:

— A może poszlibyśmy pieszo?

Ten pomysł odpowiadał jej jak najbardziej; była zachwycona, że przejdzie się trochę i zostanie z Julianem sama, drżąc jeszcze od niedawnego wzruszenia.

Przewodnik z mułem i końmi poszedł przodem, a oni ruszyli powoli za nim.

Góra, rozłupana na dwoje, rozwarła się przed nimi ścieżką, biegnącą w głąb tego wylomu, pomiędzy dwiema potężnymi ścianami. Dnem rozpadliny płynął wartki potok. Powietrze było tu lodowate, skały wydawały się czarne, a skrawek nieba w górze zadziwiał i oszałamiał.

Słyszając jakiś niespodziewany szelest, Janina drgnęła. Podniosła oczy: ze szczeliny skalnej wyleciał olbrzymi ptak. Był to orzeł. Jego rozpostarte skrzydła zdawały się dotykać obu ścian parowu. Wzbił się w górę i zniknął w błękicie.

Dalej rozpadlina rozdawała się; ścieżka pięła się zygzakiem pomiędzy dwoma wzgórzami. Janina, lekka, upojona szczęściem, biegła pierwsza, pochylając się bez lęku nad przepaściami; a kamyki usuwały się spod jej stóp. On szedł za nią, trochę zdyszany, z oczyma spuszczoneymi, obawiając się zawrotu głowy.

Nagle zalało ich słońce; doznali wrażenia, że wydobywają się z piekła. Chciało im się pić; wilgotny ślad zaprowadził ich

poprzez chaos kamieni do niedużego źródła. Jego wylot ujęty był w drewnianą rurkę, którą wydrążyli w gałęzi pasterze. Kobierzec mchu zaścielał wokół ziemię. Janina przyklękała, żeby się napić, a Julian poszedł za jej przykładem.

Rozkoszowała się świeżością wody, a on objął ją w pól i usiłował wykraść jej miejsce przy drewnianym kranie. Zaczęła się bronić; ich wargi walczyły ze sobą, spotykały się i odpychały nawzajem. To jedno to drugie chwytalo zębami rurkę, starając się jej nie wypuścić. Chłodna strużka wody, to ginąc, to znów się pojawiając, opryskiwała im twarze, szyje, ubrania i ręce. Krople jej lśniły jak perły w ich włosach. A pocałunki spływały do strumienia.

Nagle Janinie przyszedł do głowy jeden z tych pomysłów, jakie miewają zakochani. Nabrała do ust przezroczystego napoju i — z policzkami wzdętymi jak buklaki — dała do zrozumienia Julianowi, że sama go napoi.

Wyciągnął ku niej szyję, uśmiechnięty, z głową odrzuconą do tyłu, rozwarł ramiona i jednym ciągiem pił z tego żywego źródła, wlewającego mu w żyły płomienne pożądanie.

Janina opierała się o niego z czułością, jakiej nie okazywała mu nigdy dotąd; serce biło jej mocno, piersi wznosiły się szybko, oczy przesłoniła mgła.

Szepnęła:

— Julianie... Kocham cię! — i przyciągając go do siebie, osunęła się na mech, kryjąc w dłoniach twarz, szkarłatną ze wstydu...

Opadł na nią, obejmując ją gwałtownym uściskiem. Dyszała w nerwowym oczekiwaniu, aż nagle wydała okrzyk, jak piorunem rażona uczuciem, którego pragnęła.

Nieprędko doszli na szczyt, tak była drżąca i zmęczona, i dopiero wieczorem przybyli do Evisa, gdzie zatrzymali się u krewnego ich przewodnika, Paola Palabretti.

Był to wysoki mężczyzna, z lekka przygarbiony, o przygaszonym wyglądzie suchotnika. Zaprowadził ich do pokoju, smutnego pokoju o nagich ścianach z kamienia. Izba ta jednak mogła uchodzić za piękną w tym kraju, któremu obcy jest jaki-

kolwiek wykwił. Gospodarz, w korsykańskim narzeczu, będącym zlepkiem francuskiego i włoskiego, wyrażał im swą radość z powodu ich przybycia, kiedy czyjś jasny głos przerwał mu i wbiegła drobna, ciemnowłosa kobieta o dużych, czarnych oczach, skórze nagrzananej od słońca, smukłej kibici i zębach połyskujących w nieustannym uśmiechu. Uściskała Janinę i potrząsnęła ręką Juliana, powtarzając:

— Dobry wieczór pani, dobry wieczór panu, jak się państwo mają.

Odebrała od nich kapelusze, szale, uprzątnęła wszystko jedną ręką, gdyż drugą nosiła na temblaku, a następnie wyprawiła ich, mówiąc do męża:

— Zajmij się nimi do kolacji.

Pan Palabretti usłuchał natychmiast i idąc między młodą parą, pokazywał im wieś. Zarówno jego chód, jak jego mowa, były powolne; często pokasywał powtarzając za każdym razem:

— W Dolinie jest chłodno i to zimne powietrze rzuciło mi się na piersi.

Prowadził ich samotną ścieżką, pod olbrzymimi kasztanami. Nagle przystanął i monotonnym głosem objaśnił:

— To tu Mateusz Lori zabił mego kuzyna, Jana Rinaldiego. O, patrzcie, stałem tu koło Jana, kiedy Mateusz ukazał się o dziesięć kroków od nas. — Janie! — krzyknął — nie chodź ty do Albertacce; nie chodź tam, Janie, bo cię zabije. To ci powiadam.

Wziąłem Jana za rękę! — Nie chodź tam, Janie, bo on gotów to zrobić.

A chodziło im o dziewczynę, Paulinę Sinacoupi.

Ale Jan zaczął krzyżeć: — Pójdę tam, Mateuszu, nie zabronisz mi tego!

Wtedy Mateusz pochylił strzelbę, zanim zdołałem przygotować moją, i wystrzelił.

Jan podskoczył jak dziecko, bawiące się skakanką, tak, proszę pana, i całym ciałem zwałił się na mnie, tak że strzelba wysunęła mi się z ręki i potoczyła aż do tamtego wielkiego kasztana.

Jan miał usta szeroko rozwarłe, ale nie powiedział już ani słowa; był martwy.

Młodzi ludzie patrzyli w osłupieniu na spokojnego świadka zbrodni.

— A zabójca? — spytała Janina.

Paolo Palabretti kasłał długo, a potem odparł:

— Umknął w góry. Ale w rok później zabił go mój brat. Państwo wiedzą, mój brat, Filip Palabretti, bandyta.

Janina zadrżała:

— Wasz brat? Bandyta?

W oczach spokojnego Korsykanina zamigotał blask dumy.

— Tak, proszę pani, ten sławny. Położył sześciu żandarmów. Zginął razem z Mikołajem Morali — osaczono ich w Niolo, po sześciodniowej walce, kiedy bliscy już byli śmierci głodowej.

I z rezygnacją dodał:

— Takie są tu zwyczaje — tonem, jakim mówił: — „W Dolinie jest chłodno“.

Następnie wrócili na kolację, a mała Korsykanica traktowała ich tak, jak gdyby знаła ich od lat dwudziestu.

Janinę nurtował jednak niepokój. Czy dozna jeszcze w objęciach Juliana tego dziwnego, gwałtownego dreszczu, jak na mchu koło źródła?

Kiedy zostali sami w pokoju, ogarnął ją lęk, że pozostanie nieczuła na jego pieśczęty. Prędko się jednak uspokoiła, a ta noc była jej pierwszą nocą miłosną.

Nazajutrz rano ciężko jej było rozstać się ze skromnym domkiem, w którym, jak sądziła, rozpoczęło się dla niej nowe szczęście.

Zaprosiła do swego pokoju żonę gospodarza i solennie zapewniwszy, że wcale nie zamierza robić jej podarku, nalegała, gniewając się nawet chwilami, żeby mogła przesłać jej z Paryża jakąś pamiątkę — pamiątkę, do której zdawała się przywiązywać zabobonną wagę.

Korsykanica długo się wzbraniała, nie chcąc nic przyjąć, W końcu jednak ustąpiła:

— Więc dobrze, proszę mi przysłać mały pistolet, ale całkiem malutki.

Janina spojrzała na nią zdumiona, a tamta szepnęła jej na ucho, jakby powierzając jakąś słodką tajemnicę:

— Chcę zabić mego szwagra.

I z uśmiechem odbandażowała rękę, którą nosiła na temblaku, obnażając białe, jędrne ciało, z zablizniającymi się śladami sztyletu.

— Gdybym nie była tak silna jak on, byłby mnie zabił. Mój mąż nie jest zazdrosny, zna mnie; a przy tym jest chory, ma spokojniejszą krew. Zresztą ja jestem uczciwą kobietą, ale mój szwagier wierzy wszystkiemu, co mu kto powie. Jest zazdrosny za mojego męża i niedługo zaczniesz pewnie od nowa. Mając pistolet będę spokojna i pewna, że się zemścę.

Janina przyrzekła nadesłać broń, czule uściskała nową przyjaciółkę i ruszyła w dalszą drogę.

Reszta podróży była snem, nieprzerwanym uściskiem miłym, niekończącą się pieśczętą. Wpatrzona w Juliana nie dostrzegała ani krajobrazów, ani ludzi, ani miejscowości, w których się zatrzymywała.

Zaczęły się dziecinne przezwiska pełne czaru, pieśczętliwe zdrobnienia miłosne, czułe nazwy, jakimi obdarzali nawzajem ulubione zakamarki swych ciał.

Ponieważ Janina sypiała zwykle na prawym boku, lewa jej pierś była czasem rano odkryta. Julian zauważywszy to, nazwał ją „panią Nagušką“, a drugą „panią Kochliwą“, gdyż różowy jej pączek wrażliwszy był na pocałunki.

Dzielące je zagłębienie ochrzcił „aleją mateczki“, gdyż stale tamtedy spacerował; inna droga, bardziej tajemna, zwała się „drogą do Damaszku“, na pamiątkę doliny Ota.

Po przybyciu do Bastii trzeba było zapłacić przewodnikowi. Julian przetrząsnął kieszenie, a nie znalazłszy, czego potrzebował, zwrócił się do Janiny:

— Ponieważ i tak nie wydajesz tych dwóch tysięcy od matki, daj mi je do przechowania. U mnie będą pewniejsze, a ja nie będę musiał zmieniać moich.

Wręczyła mu sakiewkę.

Przybyli do Livorno, zwiedzili Florencję, Genuę, la Corniche.

Pewnego ranka — dał wtedy mistral — znaleźli się z powrotem w Marsylii

Od ich wyjazdu z Peuples upłynęły dwa miesiące. Był piętnasty październik.

Janina, przygnębiona zimnym wichrem, zdającym się wiać z dalekiej Normandii, czuła smutek. Julian wydawał jej się zmieniony, znużony, obojętny i bała się czegoś, sama nie wiedząc czego.

Przedłużyła jeszcze o cztery dni drogę powrotną, nie mogąc się zdecydować na rozstanie z dobrotliwą krainą słońca. Miała wrażenie, że zamykał się za nią krąg jej szczęścia.

Wreszcie wyjechali.

W Paryżu mieli poczynić jeszcze pewne zakupy, żeby ostatecznie zainstalować się w Peuples, i Janina cieszyła się na myśl o cudach, jakie przywiezie do domu, dzięki prezentowi mateczki; pierwszą jednak rzeczą, o której pomyślała, był pistolet dla młodej Korsykanki z Evisa.

Nazajutrz po przybyciu do Paryża powiedziała do Juliana:

— Mój drogi, proszę cię, oddaj mi teraz pieniądze od mateczki, bo chcę iść po sprawunki.

Zwrócił się do niej niezadowolony:

— Ile ci potrzeba?

Zdziwiona wyjąkała:

— Ależ... ile uważasz...

— Dam ci sto franków — odparł — tylko nie wydawaj ich na głupstwa.

Nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć, zaskoczona i zmieszana.

Wreszcie powiedziała zacinając się:

— Ależ... ja... ja ci przecież dałam te pieniądze do...

Nie pozwolił jej dokończyć.

— Tak, oczywiście. Ale to chyba obojętne, czy one będą w mojej kieszeni, czy w twojej, skoro mamy wspólną kasę. Przecież ci ich nie odmawiam, skoro daję ci sto franków.

Bez słowa wzięła pięć złotych monet, nie śmiała jednak żądać więcej i nie kupiła nic, prócz pistoletu.

W tydzień później wyjechali do Peuples.

VI

Przed białą bramą o filarach z cegieł czekali na nich rodzice i służba. Dyliżans stanął i rozpoczęły się niekończące uściski powitalne. Mateczka płakała; Janina wzruszona otarła parę łez, a ojciec, podenerwowany, chodził tam i z powrotem.

Następnie — czekając, aż służba zniesie bagaże — Janina opowiadała wrażenia z podróży, siedząc przy kominku w salonie. Słowa same cisnęły się jej na usta i przez pół godziny zdążyła opowiedzieć o wszystkim, oprócz może paru szczegółów pominiętych w tej pospiesznej relacji.

Potem młoda kobieta poszła rozpakować walizy. Rozalia, wzruszona, pomagała jej. Kiedy skończyły, poukładawszy na swoje miejsce suknie, bieliznę i drobiazgi, pokojówka odeszła, a Janina, trochę znużona, usiadła.

Zadawała sobie pytanie, do czego ma się wziąć teraz, czym zająć myśl i ręce? Nie miała ochoty schodzić do salonu, gdzie drzemała matka; przyszło jej do głowy, że mogłaby się przejść, lecz pola wyglądały tak smutnie, że sam ich widok kładł się na sercu ciężarem melancholii.

I uświadomiła sobie, że nie ma nic do roboty, że nigdy już nie będzie miała nic do roboty. Jej młodość w klasztorze upłynęła na oczekiwaniu i marzeniach. Nadzieja — przybierająca coraz to inne kształty — tak wypełniała jej dni, że nie dostrzegала ich mijania. Potem, ledwie zdążyła opuścić surowe mury, pośród których wyrosły jej złudzenia, a już jej oczekiwania ziściły się. Mężczyzna, o którym marzyła, którego spotkała, pokochała, poślubiła po upływie kilku tygodni, jak się to zdarza nieraz pod

wplywem nagłej decyzji, uniósł ją w swych ramionach, nie zostawiając jej czasu do rozmyślań.

Lecz teraz oto słodka rzeczywistość pierwszych dni miała przemienić się w codzienność, w której nie będzie już miejsca na nieokreślone nadzieje, pełne uroku niepokoje i sny o nieznanym.

Nie pozostawało jej już nic do zrobienia — ani dziś, ani jutro, ani kiedykolwiek. Zdawała sobie z tego niejasno sprawę, czując, że pozbyła się złudzeń, wyrzekła marzeń.

Wstała i przycisnęła czoło do zimnej szyby. Przez chwilę patrzyła na niebo, po którym przesuwały się ciemne chmury, po czym zdecydowała się wyjść.

Czyżby to były te same pola, ta sama trawa, te same drzewa, co w maju? Cóż się więc stało ze słonecznym weselem krzewów, z zieloną poezją trawnika, wśród którego płonęły mniszki, krwawiły maki, migotały stokrocie, a fantastyczne żółte motyle kołysały się jakby zawieszzone na niewidzialnych nitkach! A upajające powietrze, pełne życia, zapachów, zapładniającego pyłu? Nie było go już.

Aleje, rozmokłe od jesiennej ulewy, ciągnęły się okryte grubym kobiercem zeschniętego listowia, ujęte w dwa rzędy dygocących z zimna, wychudłych topoli. Ich wątłe gałęzie trzęsły się na wietrze, potrząsając resztką liści, gotowych rozproszyć się lada chwila. I przez cały dzień niby nieprzerwany deszcz tak smutny, że chciało się płakać — te ostatnie poźółkłe liście, podobne do złotych monet, odrywały się, wirowały, unosiły w powietrzu i spadały na ziemię.

Doszła do gaju. Wyglądał żałośnie jak pokój umierającego. Zielone ściany, które przedzielały kręte alejki, rozsypały się. Splątane krzewy trącały się wątłymi gałązkami, rysunkiem swym przypominającymi delikatną koronkę. Szelest opadłych liści, które wiatr podrywał, pędził przed siebie, gromadził w stopy, przywodził na myśl bolesne westchnienia konającego.

Małe ptaszki przeskakiwały z miejsca na miejsce z ziębniętym świegotem, szukając schronienia.

Oświetlone natomiast gęstą zasłoną wiązów przed morskimi wichrami lipa i platan zachowały jeszcze swe letnie szaty, które pomalował pierwszy przymrozek, tak że wyglądały teraz jedna jak ze szkarłatnego aksamitu, a druga jak z pomarańczowego jedwabiu.

Janina chodziła wolnym krokiem tam i napowrót po alei mateczki, wzdłuż fermy Couillardów. Jakiś ciężar zdawał się ją przytłaczać, niby przecucie długiej nudy jednostajnego życia, jakie się dla niej rozpoczęło.

Później usiadła na skarpie, gdzie Julian po raz pierwszy mówił jej o miłości; i tak pozostała pogrążona w bezmyślnej zadumie, do głębi znużona, mając ochotę położyć się i zasnąć, żeby uciec od smutku tego dnia.

Nagle zobaczyła mewę, gnaną wichrem po niebie, i przypomniała sobie orła, którego widziała na Korsyce, w ponurej dolinie Ota. Serce jej zadrżało gwałtownym wzruszeniem, jakim przejmują nas wspomnienia rzeczy dobrych i minionych; i nagle ujrzała przed sobą promienną wyspę o dzikim zapachu, słońce, w którym dojrzewają pomarańcze i cytryny, różowe szczyty gór, lazururowe zatoki i parowy, których dnem płyną rwące strumienie.

Wilgotny i twardy krajobraz ojczysty, z żałobną zawieją liści i szarymi chmurami sunącymi po niebie, przejął ją takim smutkiem, że wróciła do domu, żeby nie wybuchnąć łkaniem.

Mateczka drzemała przed kominkiem przyzwyczajona do melancholii tego życia, nie odczuwając jej już. Ojciec z Julianem wyszli na przechadzkę i rozmawiali o interesach. Zapadała noc, rozsiewając ponure cienie po obszernym salonie, rozjaśnionym jedynie odbłaskami ognia płonącego na kominku.

Na dworze było jeszcze na tyle widno, że za oknami dawał się rozróżnić brudny krajobraz jesienny i niebo szarawe, jakby zabłocone.

Niebawem nadszedł baron, a za nim Julian; kiedy przekroczyli próg mrocznego salonu, baron zadzwonił na służbę, wołając:

— Światła, szybko! smutno tutaj po ciemku.

I zajął miejsce przed kominkiem. Jego przemoczone buty parowały pod wpływem ciepła, błoto obsychając na podszwach kruszyło się i odpadało, a on zacierając wesoło ręce powiedział:

— Zdaje mi się, że chwyci mróz; niebo rozjaśnia się od północy, a mamy dziś pełnię; mroźnik będzie siarczysty tej nocy.

Następnie zwrócił się do córki:

— I cóż, mała, cieszysz się, że wróciłaś do domu, do swoich?

To proste pytanie wstrząsnęło nią do głębi. Rzuciła się w objęcia ojca, z oczyma pełnymi łez, ściskając go nerwowo, jakby chciała go prosić o przebaczenie, że mimo wysiłków nie potrafi uwolnić się od przejmującego smutku. Przypominała sobie, z jaką radością myślała o powrocie do rodziców, i zdziwił ją chłód, paraliżujący teraz jej uczucia, obcość, jaką odczuwamy po długiej rozłące z najbliższymi, dopóki wspólne życie nie przywróci zerwanego z nimi codziennego kontaktu.

Kolacja ciągnęła się w milczeniu. Julian zdawał się zapominać o żonie.

Kiedy przeszli do salonu, Janinę, siedzącą naprzeciw mateczki, która zasnęła na dobre, również zmorzyło ciepło kominka; zbudzona w pewnej chwili głosami dyskutujących ze sobą mężczyzn, usiłując otrząsnąć ze siebie senność zastanawiała się, czy i ona także popadnie w ten letarg przyzwyczajęń, którego nic nie jest w stanie przerwać.

Ogień na kominku, miękki i różowawy we dnie, teraz stawał się jaskrawy, strzelał jasnym płomieniem, rzucając nagłe błyski na spłowieiałe obicia foteli, na lisa i bociana, na melancholijną czapkę, na konika polnego i mrówkę.

Baron przysunął się z uśmiechem i wyciągając palce ku rozjarzonym gówniom, powiedział:

— Dobrze się dziś pali! Mróz, moje dzieci, mróz!

I kładąc rękę na ramieniu Janiny, wskazał na ogień:

— Spójrz, córeczko, oto najlepsza rzecz na świecie: ognisko domowe. Nic nie może się z tym równać. Ale może byśmy się tak już położyli? Musicie być zmęczeni po podróży?

Kiedy znalazła się w swym pokoju, młoda kobieta zadała sobie pytanie, jak się to stało, że dwa jej powroty do tego same-

go kochanego miejsca tak były od siebie różne? Dlaczego czuła się dziś tak udręczona, dlaczego ten dom, te strony, wszystko to, co dotąd napełniało radosnym drżeniem jej serce, dziś napełnia je smutkiem?

Spojrzenie jej padło na zegar. Mała pszczoła fruwała w dalszym ciągu ponad złożonymi kwiatami od prawej ku lewej i od lewej ku prawej stronie, tym samym ruchem szybkim i nieustannym. I nagle Janina doznała głębokiego wzruszenia, rozczulona aż do łez widokiem drobnego mechanizmu, który zdawał się żyć, śpiewnie oznajmiał jej godziny i uderzał jak serce.

Witając się z rodzicami mniej była przejęta niż teraz. Serce ludzkie kryje w sobie tajemnice, niedostępne rozumowaniu.

Po raz pierwszy od ślubu spała sama, gdyż Julian pod pozorem zmęczenia zajął inny pokój. Postanowili zresztą, że każde z nich będzie miało własny.

Długo nie mogła zasnąć, zdziwiona, że nie czuje obok siebie drugiego ciała, odzwyczajona od spania osobno i rozdrażniona wichrem północnym, bijącym zaciekle o dach.

Rano obudziła ją fala światła, krwią oblewając jej łóżko; zasnułe szronem szyby były czerwone, jak gdyby widnokrąg cały stanął w ogniu.

Okryła się długim peniurem, podbiegła do okna i otworzyła je.

Lodowaty powiew, zdrowy i kłujący, wdarł się do pokoju, smagając jej skórę i wyciskając łzy z oczu. Na zaróżowionym niebie ukazywało się spoza chmur wielkie słońce szkarłatne i nabrzmiałe jak twarz pijaka. Ziemia, pokryta białą osadzią, stwardniała i wyschła, dzwoniła pod butami służby folwarcznej. W przeciągu tej jednej nocy topole utraciły resztę liści; spoza wydm nadbrzeżnych wylaniała się zielonkawa linia fal, oznaczonych białymi smugami.

Platan i lipa, targane wichrem, obnażyły swe gałęzie. Za każdym podmuchem lodowatego wiatru tumany liści, zwarzonych mrozem, unosiły się w powietrzu, niby odlatujące ptaki. Janina ubrała się, wyszła i — żeby mieć coś do roboty — poszła odwiedzić dzierżawców.

Martinowie wzniesli ręce do góry na jej widok, a pani Martin ucałowała ją w oba policzki, po czym zmuszono ją do wypicia kieliszeczka pestkówki. Następnie poszła do drugiej fermy. Couillardowie wzniesli ręce ze zdumienia na jej widok, a pani Couillard pocałowała ją koło uszu i znów trzeba było przelknąć kieliszeczek smorodininówki.

Potem wróciła na śniadanie.

Dzień upłynął tak samo jak poprzedni, z tą różnicą, że zamiast wilgoci był mróz. Dalsze dni tygodnia podobne były do tych dwóch, zaś wszystkie tygodnie miesiąca były takie same jak pierwszy.

Powoli jednak słabła w niej tęsknota za dalekimi krajami. Przyzwyczajenie pokrywało jej życie warstwą rezygnacji, niby wapiennym osadem, jaki pozostawiają pewne gatunki wód. Rodzaj zainteresowania błahostkami dnia powszedniego, stale powtarzającymi się zajęciami pozbawionymi głębszej treści odradzał się w jej sercu. A jednocześnie wzrastała w niej melancholijna zaduma, nieokreślone rozczarowanie życiem. Czego jej brakowało? Czego pragnęła? Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Nie tęskniła do uciech życia światowego ani nawet do przyjemności dostępnych jej — jakich zresztą? Podobnie jak fotele w salonie, wyblakłe od starości — wszystko traciło powoli w jej oczach swą barwę, zacierano się, posępniało.

Jej stosunki z mężem uległy całkowitej zmianie. Od czasu powrotu z podróży Julian wydawał się zupełnie inny, jak aktor, który odegrał już swą rolę i przybiera z powrotem zwykły wyraz twarzy. Nie zwracał na nią uwagi, ledwo że się do niej odzywał; w jego postępowaniu nie było teraz ani śladu miłości i rzadko zdarzały się noce, kiedy wchodził do jej pokoju.

Objął zarząd majątkiem, domem, sprawdzał umowy zawarte z dzierżawcami, dręczył świadczeniami chłopów, zmniejszał wydatki, a przybrawszy maniery hreczkosieja, utracił elegancję i szyk z czasów narzeczeństwa.

Nie rozstawał się ze starym wyplamionym ubraniem myśliwskim z welwetu, przybranym mosiężnymi guzikami i pochodzącym jeszcze z czasów kawalerskich. Przestał dbać o siebie jak

ludzie, którzy wiedzą, że nie muszą się już podobać: nie golił się, a jego długa, nierówno przystrzyżona broda szpeciła go niezmiernie. Nie pielęgnował rąk. Po każdym posiłku wypijał cztery albo pięć kieliszków koniaku.

Kiedy Janina próbowała robić mu czułe wymówki, odpowiedział jej tak opryskliwie: — Daj mi spokój, dobrze? — że zaprzestała jakichkolwiek uwag.

Pogodziła się zresztą z tymi zmianami w sposób, który ją samą dziwił. Julian stał się dla niej człowiekiem obcym, którego dusza i serce były dla niej niedostępne. Myślała o tym często, zadając sobie pytanie, jak się to dzieje, że dwoje ludzi spotyka się, tak jak oni, pobiera z miłości, a potem staje się nagle równie obcymi sobie, jakby nigdy nie spali jedno przy boku drugiego?

I dlaczego ona nie cierpi z tego powodu? Czy takie właśnie jest życie? Czyżby się byli omylili? I czy nie istnieje nic już dla niej w przyszłości?

Gdyby Julian pozostał piękny, elegancki, czarujący, może cierpiałaby wtedy?

Postanowiono, że po Nowym Roku nowożeńcy zostaną sami, a ojciec i mateczka wrócą na parę miesięcy do Rouen, Młodzi mieli całą zimę spędzić w Peuples, by się ostatecznie urządzić, przyzwyczaić i pokochać strony, w których miało upłynąć ich życie. Było paru sąsiadów, którym Julian zamierzał przedstawić żonę: Briseville'owie, Coutierowie i Fourville'owie.

Nie mogli jednak składać jeszcze wizyt, gdyż dotąd nie udało im się sprowadzić malarza, żeby zmienił herby na karocy.

Baron odstąpił bowiem zięciowi karetę familijną, lecz Julian nie byłby się za nic na świecie pokazał w sąsiednich zamkach, dopóki tarcza herbowa Lamare'ów nie zostanie umieszczona obok tarczy Lepertuisów des Vauds.

Tymczasem w całej okolicy tylko jeden człowiek umiał malować herby. Był nim malarz Bolbec, przezwany Bataille. Wzywano go kolejno do wszystkich zamków normandzkich, żeby umieszczał cenne ornamenty na drzwiczkach pojazdów.

Wreszcie pewnego grudniowego poranka ujrzano jakiegoś człowieka, który otworzył bramę i zmierzał prosto ku drzwiom pałacu. Na plecach niósł pudełko. Był to Bataille.

Zaproszono go do sali jadalnej i ugoszczono, jakby należał do towarzystwa, gdyż jego zawód, stały kontakt z okoliczną arystokracją, znajomość heraldyki, uświęconych znaków, emblematów, uczyniła z niego rodzaj żywej tarczy herbowej, człowieka, któremu wszyscy dobrze urodzeni ściskali rękę.

Natychmiast przyniesiono ołówek i papier i podczas gdy Bataille jadł, baron z Julianem szkicowali swe herby. Baronowa, podniecona jak zawsze, gdy chodziło o te sprawy, udzielała swych rad. Nawet Janina brała udział w rozmowie, jak gdyby obudziło się w niej nagle jakieś tajemnicze zainteresowanie tymi rzeczami.

Bataille nie przerywając posiłku wyrażał swe zdanie, brał chwilami ołówek do ręki, szkicował projekty, cytował przykłady, opisywał pańskie karety z całej okolicy, zdawał się wnosić ze sobą — swym sposobem myślenia, intonacją głosu nawet — pewnego rodzaju arystokratyczną atmosferą.

Był to niski mężczyzna o siwych, krótko przyszczyżonych włosach i rękach poplamionych farbami. Pachniał terpentyną. Opowiadano, że za młodych lat miał jakąś brzydką sprawę o wykroczenie przeciw moralności, ale szacunek, jakim cieszył się u wszystkich utytułowanych rodzin, dawno już zmasał tę plamę.

Kiedy skończył śniadanie, zaprowadzono go do wozowni i zdjęto ceratę, którą przykryta była kareta. Bataille obejrzał ją uważnie, z powagą wypowiedział się co do rozmiarów projektowanego rysunku i po ponownej wymianie zdań zabrał się do roboty.

Pomimo zimna, baronowa kazała przynieść sobie fotel, aby móc przyglądać się jego robocie; następnie zażądała fajerki pod zlodowaciałe nogi i wdała się w długą pogawędkę z malarzem, wypyując go o nieznane jej koligacje, o niedawne wypadki śmierci i narodzin, wzbogacając tymi informacjami drzewo genealogiczne, tkwiące w jej pamięci.

Julian został z teściową i usiadł okrakiem na krześle. Palił fajkę, spluwał na ziemię, słuchał i przyglądał się, jak jego szlachectwo nabierało barw.

Stary Szymon, który przechodził do ogrodu warzywnego z łopata w ręku, przystanął również, żeby popatrzeć na robotę, a ponieważ wieść o przybyciu Bataille'a zdążyła już dotrzeć do obu ferm, wkrótce zjawily się też i żony dzierżawców.

Stojąc po obu stronach baronowej, zachwycaly się, powtarzając:

— Kto by to potrafił namalować takie zakrętasy!

Tarcze na drzwiczkach mogły być wykończone dopiero następnego dnia. Wszyscy zgromadzili się przed wozownią, a karetę wyciągnięto na podwórze, żeby lepiej można ją było obejrzeć.

Wyglądała wspaniale. Bataille, obsypany pochwałami, odszedł z pudełkiem na plecach. Baron, jego żona, Janina i Julian zgodnie doszli do przekonania, że malarz ma wybitne zdolności i że gdyby warunki były mu na to pozwoliły, zostałby na pewno prawdziwym artystą.

Ze względów oszczędnościowych Julian wprowadził pewne reformy.

Stary furman został ogrodnikiem, a wicehrabia sam miał odtąd powozić, konie zaś cugowe sprzedano, żeby zaoszczędzić paszy.

Potrzeba jednak było kogoś, kto by trzymał konie przy wysiadaniu. Obowiązek ten powierzono małemu pastuchowi, Mariuszowi.

Żeby mieć konie do wyjazdu, Julian uzupełnił kontrakt z dzierżawcami specjalną klauzulą, na mocy której każdy z nich miał raz na miesiąc, w określonym dniu oddawać mu do dyspozycji jednego konia, wzamian za co zwolniono ich od dostarczania drobiu.

Pewnego dnia wielka, gniada klacz Couillardów i biały długowłosey konik Martinów zostały zaprzężone razem i karetą zajęchała przed ganek. Na koźle Mariusz tonął w dawnej liberii starego Szymona.

Julian, wyświeżony, ściśnięty w pasie, odzyskał nieco dawnej elegancji, lecz długa broda nadawała mu mimo wszystko wygląd pospolity.

Obejrzał pojazd i małego służącego i uznał, że wszystko jest w porządku, gdyż obchodziły go jedynie odświeżone tarcze herbowe.

Baronowa, wsparta na ramieniu męża, z trudem weszła na stopień karocy i usiadła opierając się o poduszki. Ukazała się Janina. Roześmiała się najpierw na widok tak dobranych koni i stwierdziła, że siwek jest pewno wnukiem gniadej, a następnie, kiedy dostrzegła Mariusza, w kapeluszu z kokardą nasuniętym aż po sam nos, z rękami ginącymi w głębi rękawów, z nogami omotanymi połami płaszcza, spod którego wysuwały się jego stopy w olbrzymich butach, i kiedy zobaczyła, jak odchyła głowę do tyłu, żeby dojrzeć coś spod kapelusza, jak unosi do góry nogę, chcąc dać krok, zupełnie jakby przechodził przez rzekę, i jak miota się niczym niewidomy, żeby wypełnić dawane mu rozkazy, wybuchnęła nieprzewyciężonym, niekończącym się śmiechem.

Baron odwrócił się, spojrzął na oszołomionego chłopca i ulegając zaraźliwej wesołości córki sam również wybuchnął śmiechem; pokazywał małego żonie nie mogąc wydobyć ze siebie słów:

— S... spójrz, pr... pr... o... szę, spójrz na Ma... ma... riusza! Ależ on zabawnie wygląda!

Baronowa wychyliła się i spojrzawszy na chłopca zaczęła trząść się spazmatycznie, a cała karetka podskakiwała razem z nią.

Julian, poblady, zapytał:

— Z czego wy się tak śmiejecie? Czyście poszaleli?

Janina, chora ze śmiechu, niezdolna zapanować nad sobą, usiadła na stopniach ganku. Baron zrobił to samo, a wydobywające się z karety kichanie i rodzaj przeciągłego gdakania świadczyły o tym, że baronowa śmieje się w dalszym ciągu. Nagle płaszcz Mariusza zaczął drgać. Ukryty pod nim chłopiec zrozumiał widocznie, o co chodzi, i sam zawtórował im śmiechem.

Julian, doprowadzony do wściekłości, rzucił się ku niemu i wymierzył mu policzek. Olbrzymi kapelusz chłopca sfrunął na trawnik, a wicehrabia, zwracając się do teścia, wybełkotał głosem drżącym od gniewu:

— Nie widzę powodu do śmiechu! Nie bylibyśmy do tego doszli, gdybyście nie roztrwonili i nie przejedli całego majątku. Kto jest temu winien, że jesteście zrujnowani?

Jakby ostry podmuch zmroził ich wesołość. Nikt nie rzekł ani słowa. Janina bliska płaczu w milczeniu usiadła obok matki. Baron osłupiały siadł naprzeciw nich, a Julian zajął miejsce na kozle i wciągnął płaczącego chłopca ze spuchniętym policzkiem. Jazda dłużyła się. W karecie panowało milczenie. Wszyscy troje, zgnębieni i wytrąceni z równowagi, nie chcieli przyznać się, co ich gnębi. Czując, że nie potrafiliby mówić o niczym innym, pochłonięci tą bolesną myślą, woleli milczeć smutnie, niż dotykać tej przykrewj sprawy.

Konie szły nierównym kłusem. Kareta sunęła pomiędzy podwórkami ferm, a czarne kury, spłoszone turkotem, uciekały i kryły się po opłotkach; czasem wyskakiwał pies i wyjąc gonił pojazd, by po chwili zawrócić ze zjeżoną sierścią i szczeknąć jeszcze kilkakrotnie za jadącymi. Jakiś chłopiec w zabłoconych sabotach, zmierzający dokądś długimi, niedbałymi krokami, z rękami w kieszeniach błękitnej bluzy, wzdętej przez wiatr, usunął się na bok, niezgrabnie ściągając czapkę i odsłaniając gładkie włosy, przylepione do czaszki.

Pomiędzy jedną fermą a drugą ciągnęły się pola, a w dali widać było tu i ówdzie inne gospodarstwa.

Nareszcie wjechali w długą aleję jodłową, łączącą się z gościńcem. Kareta przechylała się to w jedną, to w drugą stronę grzęznąc w błotnistych wybojach, a mateczka wydawała za każdym razem okrzyki przest్రachu. Przy końcu alei widniała biała brama; Mariusz zeskoczył z kozła, żeby ją otworzyć, po czym okrążywszy olbrzymi gazon, kareta zajechała przed wysoki, duży, posępny budynek o zamkniętych okiennicach.

Nagle otworzyły się środkowe drzwi i stary, zniedołężniały służący w czerwonej kamizelce w czarne prążki, zakrytej czę-

ściowo służbowym fartuchem, zaczął schodzić drobnymi ukośnymi kroczkami ze stopni ganku. Zapytał, kogo ma zaanonsować, i wprowadził ich do obszernego salonu, gdzie z trudem zdołał podnieść spuszczone żaluzje. Meble były pokryte pokrowcami, zegar i kandelabry osłonięte białym płótnem, a zatęchłe, wilgotne i zimne powietrze zdawało się przenikać smutkiem płuca, serce i skórę.

Usiedli i czekali. Kroki, dochodzące z górnego korytarza, świadczyły o niezwykłym poruszeniu, jakie wywołali. To kasztelanostwo, zaskoczeni niespodziewaną wizytą, przebierali się czym prędzej. Trwało to długo. Kilkakrotnie rozlegał się głos dzwonka. Ktoś schodził po schodach i znów wracał.

Baronowa nieprzyzwyczajona do przejmującego chłodu kichała raz po raz, Julian przemierzał salon wzdłuż i wszerz, Janina, zasepiona, siedziała obok matki, a baron oparty plecami o marmur kominka stał z opuszczoną głową.

Wreszcie otworzyły się wysokie drzwi i ukazali się wicehrabiostwo de Briseville. Oboje byli niskiego wzrostu, chudzi, podrygujący, w nieokreślonym wieku, ceremonialni i zakłopotani. Wicehrabina w jedwabnej wzorzystej sukni i w staroświeckim czepeczku ze wstążkami mówiła szybko cierpkim głosikiem.

Jej małżonek, wciśnięty w galowy surdut, kłaniał się, uginając kolana. Jego nos, oczy, zęby, włosy jakby pociągnięte woskiem i piękny odświętny strój błyszczały jak rzeczy, które otaczane są wielką pieczołowitością.

Po przywitaniu i wymianie sąsiedzkich uprzejmości, nikt nie miał nic więcej do powiedzenia. Gratulowano sobie bez powodu. Jedni i drudzy wyrażali nadzieję, że między obydwojma domami nawiążą się jak najmiłsze stosunki. Wzajemne odwiedziny to prawdziwa przyjemność, kiedy się mieszka stale na wsi.

Lodowata atmosfera salonu przenikała ich chłodem aż do szpiaku kości. Dostali chrypki. Baronowa kichała i kasłała. Baron podniósł się więc i dał hasło do pożegnania.

Briseville'owie protestowali:

— Jak to? Tak prędko? Niech państwo zostaną jeszcze chwilę.

Ale Janina wstała, mimo znaków Juliana, który uważał, że wizyta trwa zbyt krótko.

Chciano zadzwonić na służącego, żeby kazał zajechać. Okazało się jednak, że dzwonek jest zepsuty. Gospodarz pośpieszył sam, lecz niebawem wrócił z wiadomością, że konie zostały wyprzeżone po przyjeździe i są jeszcze w stajni.

Trzeba było zaczekać. Każdy starał się ożywić rozmowę, dorzucić jakieś słowo. Mówiono o tym, że zima jest dżdżysta. Janina z mimowolnym dreszczem trwogi zapytała, co państwo Briseville robią przez cały rok, sami, we dwoje tylko. Ale ich zdziwiło to pytanie; nie mogli narzekać na bezczynność: prowadzili rozległą korespondencję z utytułowanymi krewnymi, rozsiyanymi po okolicy, spędzali dni na mikroskopijnych zajęciach, zachowując się wobec siebie równie ceremonialnie jak wobec obcych i tocząc patetyczne rozmowy o sprawach jak najbardziej błahych,

Pod wysokim, szerniałym sufitem ogromnego, niezamieszkałego salonu, opakowanego w pokrowce, tych dwoje ludzi, małych, czystych i poprawnych, robiło na Janinie wrażenie jakichś arystokratycznych eksponatów, zakonserwowanych w czasie.

Wreszcie zajechała karetą, zaprzężona w parę koni różnej wielkości. Lecz Mariusz zniknął. Sądził widocznie, że będzie wolny do wieczora, i udał się na wieś.

Julian, wściekły, prosił, żeby odesłano go potem pieszo do domu, i po wzajemnej wymianie ukłonów goście odjechali do Peuples.

Ledwo znaleźli się w karecie, Janina i baron, mimo że przygnębieni jeszcze brutalnym wystąpieniem Juliana, znów zaczęli się śmiać, naśladując gesty i ton Briseville'ów. Baron naśladował pana wicehrabiego, Janina panią wicehrabinę; lecz baronowa, urażona nieco ich brakiem szacunku, powiedziała:

— Nie powinniście się z nich wyśmiewać, to ludzie bardzo „comme il faut“, pochodzący z jak najlepszych rodzin.

Zamilkli, żeby nie drażnić mateczki, lecz od czasu do czasu, zamieniwszy spojrzenia, rozpoczynali od nowa.

On kłaniał się ceremonialnie i pytał tonem uroczystym:

— Zamek w Peoples musi być zapewne bardzo zimny, skutkiem wichrów morskich, na jakie jest stale narażony?

Ona sznurowała usta, stroiła miny i trzęsąc głową jak kaczka w kąpieli mówiła:

— Och, proszę pana, ja przez cały rok mam tu dość zajęcia. Mamy tylu krewnych, z którymi utrzymujemy korespondencję! A pan de Briseville wyręcza się mną we wszystkim, gdyż sam z księdzem Pelle zajmuje się badaniami naukowymi. Opracowują razem historię kościoła w Normandii.

Baronowa uśmiechnęła się, na wpół rozbawiona, a na wpół dotknięta, powtarzając:

— Nie należy wyśmiewać się z ludzi naszej sfery.

Nagle powóz przystanął; rozległ się głos Juliana, wołającego kogoś. Janina i baron wychylili się i dostrzegli jakieś dziwne stworzenie, które zdawało toczyć się ku nim. Z nogami zaplątanymi we fruujące poły płaszcza, w kapeluszu chwiejącym się na wszystkie strony i spadającym mu na oczy, wymachując rękami jak skrzydłami wiatraka, zapadając w kałuże, potykając się o każdy kamień, trzepocąc i podskakując, ubłocony od stóp do głów, Mariusz pędził co sił za kareta.

Kiedy ją dogonił, Julian schylił się, złapał go za kołnierz, wciągnął na górę i odłożywszy cugle zaczął walić pięściami w kapelusz, który wciśnięty na głowę chłopca zsunął mu się aż do ramion i wydawał odgłos podobny do bębna. Malec krzyczał, usiłował uciec, zeskoczyć z kozła, a jego pan, trzymując go jedną ręką, drugą nie przestawał go bić.

Janina przerażona, szeptała:

— Tatusiu... och! tatusiu!

A baronowa, nie posiadając się z oburzenia, ścisnęła ramię męża:

— Jakubie, nie pozwalam mu!

Wtedy baron gwałtownie spuścił szybę i chwytając rękaw, głosem drżącym z gniewu rzucił:

— Czy przestanie pan wreszcie bić to dziecko?

Julian odwrócił się zdumiony!

— Czyż pan nie widzi, w jakim stanie jest liberia tego gałgana?

Lecz baron wsunął głowę pomiędzy nich:

— Wszystko jedno! nie można być do tego stopnia brutalnym!

Julian rozgniewał się na nowo:

— Proszę się nie mieszać do moich spraw i zostawić mnie w spokoju!

Znów podniósł rękę, lecz teść chwycił ją nagle i z taką siłą pociągnął do dołu, że uderzyła o koziół, a baron krzyknął:

— Proszę natychmiast przestać, bo w przeciwnym razie wyśiadam! Już ja potrafię sobie z panem poradzić!

Wicehrabia uspokoił się nagle, wzruszył ramionami i podciął konie, które ruszyły galopem.

Obydwie kobiety siedziały nieruchomo, poblądłe i wyraźnie słyhać było uderzenia serca baronowej.

Przy obiedzie Julian był uprzejmiejszy niż zwykle, jak gdyby nic nie zaszło. Janina, jej ojciec i mateczka, z natury pogodni i dobrzy, łatwo puszczała w niepamięć urazy i rozczuleni jego miłym sposobem bycia poddali się dobremu nastrojowi z uczuciem rekonwalescentów, powracających do zdrowia; a kiedy Janina znów zaczęła mówić o Briseville'ach, jej mąż również zaczął z nich żartować, dodając jednak szybko:

— To nic, i tak robią wrażenie prawdziwych arystokratów.

Dalszych wizyt nie składano, gdyż każde z nich obawiało się, że znów wypłynie sprawa Mariusza. Postanowiono wysłać sąsiadom życzenia noworoczne, a z odwiedzinami poczekać aż do wiosny.

Nadeszło Boże Narodzenie. Na kolację przyszedł proboszcz z żoną. Zaproszono ich na Nowy Rok. Było to jedyne odroczenie monotonii dni bieżących.

Julian i mateczka mieli wyjechać z Peuples dziewiątego stycznia, ale Janina pragnęła ich zatrzymać, lecz Julian nie okazywał jej po temu chęci. Czując wzrastający chłód ze strony sąsiadów, postanowił sprowadzić dylizans z Rouen.

W wigilię wyjazdu, kiedy rzeczy były już spakowane, baron i Janina, korzystając z jasnego, mroźnego dnia, postanowili pójść do Yport, gdzie nie byli od czasu powrotu młodych z Korsyki.

Minęli las, po którym Janina spacerowała w dniu ślubu, przytulona do tego, który miał stać się towarzyszem jej życia, las, w którym zaznała pierwszej jego pieśszoty, przeniknął ją pierwszy dreszcz, przecucie miłości zmysłowej, jaką miała poznać w dzikiej dolinie Ota, obok źródła, z którego pili, pozwalając pocałunkom spływać z biegiem wody.

Ani liści, ani pnączy — nic, prócz szmeru gałęzi i suchego szelestu, jakie wydają zimą ogołocone zarośla.

Weszli do wsi. Uliczki puste i ciche pachniały morzem, wodorostami i rybami. Duże, szerniałe sieci suszyły się rozpięte przed drzwiami lub rozłożone na kamieniach wybrzeża. Morze szare i zimne, ze swym wiecznym szumem i pianą, ustępowało odsłaniając zielonkawe skały u stóp stromego wybrzeża w Fécamp. A na plaży barki przewrócone na bok, robiły wrażenie ogromnych śniętych ryb. Wieczór zapadał i rybacy schodzili się grupkami, stąpając ciężko w swych wielkich buciskach, okręciwszy szyję wehnianymi szalami, w jednej ręce niosąc litr wódki a w drugiej latarnię. Długo kręcili się koło przechylonych łodzi z normandzką powolnością układając w nich sieci, pływalki, bochenki chleba, garnki masła, kieliszki i flaszki gorzałki. Następnie spychali je do wody, a one zgrzytały po kamieniach, pruły pianę, unosiły się na fali, chwiałały się przez chwilę, a potem rozpościerały brunatne skrzydła i ginęły wśród nocy, migocząc światłami, zatkniętymi na szczycie masztów.

Rosłe żony rybaków, w lichych sukienkach, pod którymi rysowały się wyraźnie ich kościste postaci, czekały na brzegu aż do odjazdu ostatniej barki, a potem wracały do wsi, pogrążonej we śnie, zakłócając krzykliwymi głosami drzemkę ciemnych uliczek.

Baron i Janina przystanęli, odprowadzając spojrzeniem oddalające się cienie tych ludzi, co noc narażających życie, żeby

nie umrzeć z głodu, a tak biednych, że nigdy nie jadali mięsa.

Baron, porwany widokiem oceanu, szepnął:

— Straszne i piękne zarazem. Jakież wspaniałe jest to morze, objęte mrokiem, mające w swej mocy tyle istnień ludzkich! Nieprawdaż, Janinko?

— Morze Śródziemne jest piękniejsze — odparła z drżącym uśmiechem.

Ojciec oburzył się:

— Morze Śródziemne! — oliwa! ocukrzona woda! Niebieskie mydliny w cebrzyku! Spójrz na to, jakie jest groźne ze swymi grzywami fal i pomyśl o wszystkich tych ludziach, którzy wypłynęli na nie i których już nie widać.

— Tak, to prawda — zgodziła się Janina z westchnieniem.

Słowa „Morze Śródziemne“, wypowiedziane bezwiednie, boleśnie ukłuły ją w serce, przywodząc jej na myśl tamto odległe cmentarzysko jej marzeń.

Zamiast wracać lasem, ojciec i córka wyszli na gościniec i wolno wspinali się pod górę. Milczeli, przeniknięci smutkiem bliskiego rozstania.

Od budynków folwarcznych dolatywał chwilami zapach jabłecznego moszczu, ów silny zapach świeżego jabłecznika, zdający unosić się w tej porze roku nad całą Normandią, lub też tłusta woń stajen, ów miły, ciepły odór krowiego nawozu. Oświetlone okna w głębi podwórza wskazywały dom mieszkalny.

Janina miała wrażenie, że jej dusza się rozszerza, pojmuje rzeczy niewidzialne; a owe drobne nikle światełka, rozproszone wśród pól, dały jej nagle żywo odczuć osamotnienie istot ludzkich, które wszystko oddziela, wszystko rozłącza, wszystko oddala od tego, co mogłyby kochać.

I powiedziała z rezygnacją:

— Życie nie zawsze bywa wesołe.

Baron westchnął:

— Cóż chcesz, dziecinko, nic na to nie poradzimy.

A nazajutrz, po wyjeździe ojca i mateczki, Janina i Julian zostali sami.

VII

Karty zajęły teraz ważne miejsce w życiu młodej pary. Codziennie po śniadaniu pałac fajkę i popijając koniak, którego wychylał pięć do sześciu kieliszków, Julian grywał z żoną w bezika. Potem Janina szła na górę do swego pokoju, siadała przy oknie i haftowała zapamiętałe słuchając, jak wiatr i deszcz biją o szyby. Od czasu do czasu, zmęczona, podnosiła oczy i patrzyła na ponure morze, kłębiące się w dali. A później znów wracała do pracy.

Było to zresztą jedyne jej zajęcie, gdyż Julian objął zarząd domem, czyniąc w ten sposób w pełni zadość swej potrzebie rządzenia i chęci wprowadzania oszczędności. Okazał się nieubłaganym skąpcem, nigdy nie dawał napiwków, pożywienie ograniczył do rzeczy najniezbędniejszych; Janinie, która od przyjazdu do Peuples co rano dostawała od piekarza świeże bułeczki normandzkie, skreślił ten wydatek, skazując ją na jedzenie ciemnego chleba.

Znosiła to wszystko w milczeniu, żeby uniknąć nieprzyjemnych rozmów, dyskusji i sprzeczek, lecz każdy nowy objaw skąpstwa ze strony męża raził ją boleśnie. Przyzwyczajona w domu do lekceważenia pieniędzy uważała skąpstwo za coś niskiego i wstrętnego. Ileż to razy słyszała w dzieciństwie, jak ojciec mówił do mateczki:

— Przecież pieniądze są po to, żeby je wydawać.

Julian natomiast powtarzał:

— Więc nigdy się nie odzwyczaisz od wyrzucania pieniędzy przez okno?

A ilekroć udało mu się obciąć o kilka su wypłatę pracownikom lub wysokość rachunku, z uśmiechem wsuwał drobne do kieszeni, mówiąc:

— Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.

Zdarzały się jednak chwile, kiedy Janina z powrotem oddawała się marzeniom. Odkładała haft i z rękami opuszczonymi bezwładnie, z zagasłym wzrokiem wskrzeszała w myśli którąś z romantycznych historii, jakie snuła dawniej. Lecz nagle głos Juliana, wydającego rozkazy, wyrывał ją z miękko kołyszących snów; podejmowała wtedy cierpliwie swą pracę powtarzając w duchu:

— Wszystko to już skończone — i łza spływała na jej palce, popychające igłę.

Również i Rozalia, niegdyś wesola i rozśpiewana, zmieniła się teraz. Jej okrągłe policzki zapadły się, straciły dawny rumieniec, wydawały się chwilami niemal ziemiste.

Janina pytała ją często:

— Czyś ty nie chora, moje dziecko?

— Nie, proszę pani — odpowiadała niezmiennie dziewczyna. Czerwieniła się przy tym lekko i szybko wychodziła z pokoju.

Zamiast poruszać się zwinnie jak dawniej, z trudem powłóczyła nogami i przestała się nawet stroić, z niczym odprawiając wędrownych przekupniów, napróżno rozkładających przed nią jedwabne wstążki, gorsety i najrozmaitsze perfumy.

Wielki, ponury dom, o fasadzie poznaczonej szarymi smugami przez deszcze, dźwięczał pustką.

Z końcem stycznia spadły śniegi. Z dala już widać było ciężkie chmury sunące od północy ponad pociemniałym morzem i białe płatki zawirowały wkrótce w powietrzu. W przeciągu nocy pokryły całą równinę, a drzewa rano ukazały się w delikatnej szacie szronu.

Julian, w wysokich butach, nastroszony, spędzał dni w gaju, ukryty w rowie wychodzącym na wydmy, czyhając na odlatujące ptactwo. Od czasu do czasu odgłos wystrzału przerywał lodowate milczenie pól, a gromady czarnych, wystraszonych kruków zrywały się z drzew zataczając kręgi w powietrzu.

Janina, nudząc się, schodziła czasem na ganek. Odgłosy życia dochodziły tu z bardzo daleka, odbijając się od sennego spokoju równin sinych i smutnych.

Słyszała odległy pomruk fal i niewyraźny szelest zamarzłych kropel wody, padających bez ustanku.

Coraz to nowe warstwy śniegu, niby piana gęsta a lekka, kładły się na ziemi.

W jeden z tych bladych poranków Janina siedziała nieruchomo przed kominkiem grzejąc nogi, a Rozalia, z dniem każdym coraz bardziej zmieniona, powoli słała łóżka. Nagle Janina usłyszała za sobą bolesne westchnienie. Nie odwracając głowy, zapytała:

— Co ci jest?

Pokojówka odpowiedziała jak zwykle:

— Nic, proszę pani — lecz głos jej się rwał.

Janina zdążyła już odbiec myślą gdzie indziej, kiedy uświadomiła sobie, że nie słyszy krzátania się służącej.

Zawołała:

— Rozalio!

Żadnej odpowiedzi.

Myśląc, że tamta wysunęła się bezszelestnie z pokoju, powtórzyła głośniejszemi głosem:

— Rozalio! — i wyciągała już rękę, żeby zadzwonić, kiedy tuż za sobą usłyszała głęboki jęk.

Przebiegł ją dreszcz trwogi i zerwała się gwałtownie.

Pokojówka, śmiertelnie blada, z nieprzytomnymi oczyma, siedziała na podłodze, z nogami wyciągniętymi przed siebie, plecami wsparta o krawędź łóżka.

Janina rzuciła się ku niej.

— Co ci się stało? co ci się stało?

Tamta nie odpowiedziała ani słowa, nie poruszyła się; utkwiała w swej pani błędne spojrzenie i dyszała, jakby szarpał nią jakiś straszliwy ból. A później wyprężyła się nagle i osunęła na plecy, zaciskając zęby i tłumiąc okrzyk rozpaczny.

Pod spódnicą, oblepiającą jej rozwarłe uda coś się poruszyło. Wydobył się stamtąd szczególnie odgłos, jakiś plusk, czyjs zdu-

szony oddech, a w chwilę potem jakby przeciągłe miauczenie, nikła, a już pełna bólu skarga, pierwszy krzyk cierpienia dziecka, zaczynającego życie.

Janina zrozumiała nagle i bezradna wybiegła na schody, wołając:

— Julianie, Julianie!

— Czego chcesz? — odpowiedział z dołu.

Wykrztusiła z trudem:

— Rozalia... Rozalia...

Julian poderwał się, przebiegł schody skacząc po dwa stopnie, wpadł do pokoju i jednym ruchem uniósłszy spódnicę dziewczyny zobaczył ohydny kłębek ciała, pomarszczony, jęczący i oślizgły, który poruszał się pomiędzy dwiema obnażonymi nogami.

Wyprostował się ze złą twarzą i wypchnął oszołomioną żonę, mówiąc:

— To nie twoja rzecz. Idź stąd. I przyslij mi Ludwinę i staro Szymona.

Janina, drżąc cała, zeszła do kuchni, a nie śmiejąc wrócić na górę weszła do salonu, nieopalanego od wyjazdu rodziców, i z trwogą oczekiwała wiadomości.

Wkrótce zobaczyła, jak służący wybiegł z domu. W pięć minut później wrócił z wdową Dentu, miejscową akuszerką.

Następnie powstał na klatce schodowej ruch, jak gdyby znoszono rannego, a Julian wszedł do salonu, żeby powiedzieć Janinie, że może wrócić do swego pokoju.

Drżała na całym ciele, jakby była świadkiem jakiegoś strasznego wypadku. Znowu usiadła koło kominka i zapytała:

— Jak się ona czuje?

Julian zaprzątnięty jakąś myślą, zdenerwowany, chodził po pokoju; wydawało się, że wzbiera w nim gniew. Nie odpowiedział na pytanie, a po chwili zatrzymując się, rzucił:

— Co zamierzasz zrobić z tą dziewczyną?

Nie zrozumiała i spojrzała na męża:

— Jak to? Co chcesz powiedzieć? Nie rozumiem.

— Przecież nie możemy trzymać w domu bękarta! — krzyknął w pasji.

Janina zmieszała się bardzo, a po długim milczeniu rzekła :

— Mój drogi, czy nie można by oddać go gdzieś na wychowanie?

Nie pozwolił jej dokończyć :

— A kto będzie płacił? Ty, oczywiście?

Zastanawiała się długo, szukając wyjścia; wreszcie powiedziała :

— Przecież tym zajmie się ojciec dziecka, a kiedy ożeni się z Rozalią, wszystko będzie w porządku.

Julian, rozdrażniony do ostateczności i wściekły, odrzekł :

— Ojciec!... ojciec!... Znasz go?... tego ojca? — Nie, prawda?... No więc?...

Janina poruszona odparła żywo :

— To niemożliwe, żeby on zostawił tak tę dziewczynę! Musiałby być nędznikiem! Dowiemy się jego nazwiska, odnajdziemy go i będzie się musiał wytłumaczyć.

Julian uspokoił się i znów zaczął chodzić po pokoju.

— Moja droga, ona nie chce wymienić jego nazwiska; nie wyzna go tobie, tak samo jak nie wyznała go mnie... a zresztą, jeśli on jej nie chce?... A my nie możemy przecież zostawić pod naszym dachem dziewczyny z nieślubnym dzieckiem, rozumiesz?

Janina powtarzała z uporem :

— W takim razie to jest nędznik; musimy go odnaleźć i wtedy będzie miał z nami do czynienia!

Julian zaczerwienił się mocno i rzucił z gniewem :

— No, dobrze... ale zanim go znajdziemy?

Niezdecydowana zapytała :

— A ty co radzisz?

— Och, dla mnie to bardzo proste. Dałbym jej trochę pieniędzy i wypędził do diabła razem z dzieciakiem — odpowiedział natychmiast.

Ale młoda kobieta zaprotestowała z oburzeniem :

— Co to, to nigdy! To moja mleczna siostra i chowałyśmy się razem. Popęlniła błąd — to trudno, ale z tego powodu nie mogę jej wyrzucać z domu. A jeżeli trzeba będzie, to ja sama zajmę się dzieckiem.

Wtedy Julian wybuchnął:

— I zyskamy sobie piękną reputację, my, z naszym nazwiskiem, z naszymi stosunkami! Powiedz, że osłaniamy występki, że dajemy schronienie ladacznicom! Ludzie honoru nie zechcą się więcej u nas pokazywać. Co za szalone pomysły przychodzą ci do głowy!

Janina wysłuchiwała go ze spokojem:

— Nie pozwolę wypędzić Rozalii. Jeżeli nie pozwolisz zatrzymać jej u nas w domu, odeślę ją z powrotem do mojej matki; przede wszystkim jednak musimy dowiedzieć się, kto jest ojcem jej dziecka.

Wybiegł z pokoju wściekły trzaskając drzwiami i krzycząc:

— Idiotyczne babskie pomysły!

Po południu Janina poszła odwiedzić położnicę. Rozalia, przy której czuwała wdowa Dentu, leżała nieruchomo w łóżku, z oczyma otwartymi, a akuszerka kołysała na rękach niemowlę.

Na widok swej pani, chora zaczęła szlochać, kryjąc twarz pod kołdrą, wstrząsana rozpaczą.

Janina chciała ją uściskać, lecz tamta usuwała się i dopiero akuszerka odsunęła jej dłonie, którymi zasłaniała twarz. Rozalia dała wtedy za wygraną popłakując tylko z cicha.

Na kominku tlił się ogień; było zimno; dziecko płakało. Janina bała się mówić o maleństwie, żeby nie wywołać nowego wybuchu rozpacz; ujęła tylko rękę pokojówki powtarzając machinalnie:

— Nic się nie martw, nic się nie martw.

Biedna dziewczyna zerkała ukradkiem na akuszerkę, drgając za każdym krzykiem niemowlęcia; od czasu do czasu wydobywała ze siebie zduszone łkanie, głośno polykając łzy.

Janina uściskała ją raz jeszcze i szepnęła jej do ucha:

— Już my się nim zajmujemy, bądź spokojna.

Widząc jednak, że służąca znów zaczyna płakać, wycofała się szybko.

Odwiedzała ją potem co dzień i co dzień, na widok swej pani, Rozalia wybuchala łkaniem.

Dziecko oddano na wychowanie do sąsiadki.

Julian nie odzywał się prawie do żony zdając się żywić do niej głęboką urazę od czasu, gdy oparła się odprawieniu Rozalii.

Pewnego dnia powrócił do tej sprawy, lecz Janina wydobyła z kieszeni list od baronowej, w którym ta pisała, żeby natychmiast odesłać do niej Rozalię, o ile nie zatrzymają jej w Peuples.

Julian wściekły krzyknął:

— Twoja matka jest równie szalona jak ty — lecz nie należał więcej.

W dwa tygodnie później położnica mogła już wstać i wrócić do pracy.

Pewnego ranka Janina kazała jej usiąść, wzięła ją za rękę i spoglądając na nią badawczo, rzekła:

— A teraz, moja droga, opowiedz mi o wszystkim.

Rozalia zaczęła drżeć i wyjąkała:

— O czym, proszę pani?

— Czyje jest to dziecko?

Pytanie to znów wywołało wybuch rozpacz; pokojówka usiłowała uwolnić dłonie, żeby zakryć nimi twarz.

Lecz Janina tuliła ją wbrew jej woli, pocieszając ją jak mogła:

— Trudno, moja droga, przytrafiło ci się nieszczęście. Byłaś słaba, uległaś; nie tobie jednej się to zdarzyło. Jeżeli ojciec twego dziecka ożeni się z tobą, wszystko pójdzie w niepamięć, a on będzie mógł służyć u nas, razem z tobą.

Rozalia jęczała, jakby ją torturowano, a od czasu do czasu starała się uwolnić rękę i uciec.

Janina nie ustępowała:

— Doskonale to rozumiem, że jest ci wstyd, ale widzisz przecież, że nie gniewam się na ciebie i mówię do ciebie łagodnie. Jeżeli pytam o nazwisko tego człowieka, to dla twego dobra, ponieważ poznaję po twojej rozpacz, że on cię opuszcza i chce temu przeszkodzić. Julian uda się do niego i zmusi go, żeby się z tobą ożenił, a ponieważ zostanieie obydwoje u nas, będziemy czuć, żeby był dobry dla ciebie.

Tym razem Rozalia szarpnęła się tak mocno, że udało jej się wyrwać ręce z rąk swej pani, i uciekła jak szalona.

Wieczorem, przy kolacji, Janina powiedziała do Juliana:

— Chciałam nakłonić Rozalię, żeby wyjawiała mi nazwisko swego uwodziciela. Nie udało mi się. Spróbuj więc ty, bo trzeba przecież zmusić tego nędznika, żeby się z nią ożenił.

Julian rozgniewał się odrazu:

— Nie chcę słyszeć więcej o tej historii. Uparłaś się, żeby zatrzymać tę dziewczynę, więc ją sobie trzymaj, ale nie zawracaj mi głowy tą sprawą.

Od czasu połogu Rozalii wydawał się jeszcze bardziej skłonny do gniewu niż przedtem; do żony przyzwyczał się mówić podniesionym tonem, jakby stale był na nią zły; ona natomiast zniżała głos, była łagodna i uległa, żeby uniknąć kłótni; za to nieraz w nocy płakała.

Mimo ciągłego rozdrażnienia, powrócił do dawnych przyzwyczajzeń miłosnych, zapomnianych od ich powrotu z podróży, i rzadko mijały trzy wieczory z rzędu, żeby nie przekroczył jej sypialni.

Rozalia wróciła niedługo całkowicie do zdrowia i wydawała się mniej smutna, choć ciągle niepewna, jakby dręczył ją jakiś tajemny lęk.

Dwukrotnie jeszcze uciekła, kiedy Janina próbowała ją wybadać.

Julian stał się nagle bardziej uprzejmy, a młoda kobieta czepiając się nieuchwytniej nadziei odzyskała wesołość, pomimo że chwilami cierpiała z powodu dziwnych dolegliwości, o których nikomu nie wspominała.

Mróż trzymał. Nad jednostajną, twardą i połyskliwą powłoką śniegu rozpościerało się od pięciu tygodni niebo we dnie jasne, jakby z niebieskiego kryształu, a nocą usiane gwiazdami migoczącymi jak szron w zlodowaciałym przestworzu.

Ujęte w kwadrat podwórek, białe odziane fermy zdawały się spać za zasłoną wysokich drzew, pokrytych sadzią. Nie widać było ani ludzi, ani zwierząt i tylko wąskie smugi dymu, uno-

szące się prostopadle w zlodowaciałym powietrzu, świadczyły o życiu utajonym we wnętrzu domów.

Równina, opłotki, wiązy, wszystko wydawało się martwe, uśmiercone mrozem. Od czasu do czasu słychać było trzask drzew, jak gdyby ich drewniane członki pękały pod korą; zdarzało się, że jakiś konar odłamywał się i spadał — zwycięski mróz ścinał lodem soki, przerywał żywe włókna.

Janina trwożnie wyczekiwała powrotu ciepłych dni, surowej ziemie przypisując wszystkie swe dolegliwości.

Czasem nie mogła nic jeść czując wstręt na widok jakiegokolwiek pożywienia, czasem znów puls bił jej przyspieszonym rytmem, a czasem najskromniejszy posiłek przyprawiał ją o mdłości i niestrawność; żyła przy tym w ustawicznym, męczącym naprężeniu nerwów.

Pewnego wieczoru temperatura spadła jeszcze niżej, a Julian, drżąc cały z zimna (przez oszczędność nie pozwalał opalać dostatecznie jadalni) kiedy wstawał od stołu zatarł ręce i szepnął:

— Dobrze będzie spać razem tej nocy, prawda kotku?

Zaśmiał się swym dobrym, dziecinnym śmiechem, jak dawniej, a Janina rzuciła mu się na szyję; tak się jednak źle czuła, tak była obolała i dziwnie rozdrażniona, że całując go w usta poprosiła cichutko, żeby nie przychodził do niej. W paru słowach powiedziała mu, co jej dolega.

— Proszę cię, kochanie; doprawdy, źle się czuję. Jutro na pewno będzie mi lepiej.

Nie nalegał.

— Jak chcesz, moja droga; skoro jesteś chora, to musisz na siebie uważać.

I zaczął mówić o czym innym.

Janina wcześniej udała się na spoczynek. Julian, wbrew zwyczajowi, kazał zapalić w swym pokoju. Kiedy doniesiono mu, że „płomień już bucha“, pocałował żonę w czoło i wyszedł.

Mróz zdawał się docierać wszędzie; ściany domu trzeszczały lekko, jakby wstrząsane dreszczem, a Janina dygotała pod kołdrą.

Dwa razy wstawiała, żeby dorzucić drzewa do kominka. Pzbierała wszystkie suknie, spódnice i stare ubrania i przykryła się nimi. Nic nie mogło jej rozgrzać; stopy jej drętwiały, a wzdłuż łydek aż po uda przebiegały drżenia każąc jej nieustannie zmieniać pozycję i wprawiając w rozdrażnienie.

Ogarnęła ją straszna trwoga i zimno przenikające aż do szpiku kości. Nigdy nie doświadczyła podobnego uczucia, podobnego zaniku sił żywotnych, jakby za chwilę miała wydać ostatnie tchnienie.

Pomyślała:

— Umieram...

Zdjęta przerażeniem wyskoczyła z łóżka, zadzwoniła na Rozalię, czekała chwilę, a potem zadzwoniła znów i znów czekała, zlodowaciała i drżąca.

Pokojówka nie przychodziła. Spała już pewnie pierwszym, twardym snem, którego nic nie zdoła przerwać. Janina, tracąc głowę, wybiegła bosą na schody.

Weszła cicho, po omacku trafiła do drzwi, otworzyła je, zawołała: — Rozalio! — i posuwając się dalej dotknęła łóżka, powiodła po nim rękami i przekonała się, że jest puste. Puste i zimne, jak gdyby nikt w nim nie spał tej nocy.

Zdumiona pomyślała:

— Jak to, nawet w taki mróz pobiegła na spotkanie?

Lecz nagle serce zaczęło jej bić nierównym, przyspieszonym rytmem, przyprawiając ją o duszności; chwiejąc się na nogach zeszła na dół, żeby obudzić Juliana.

Wtargnęła do niego gwałtownie, gnana przeświadczeniem, że umiera, pragnąc ujrzeć go jeszcze, zanim straci przytomność.

W blasku dogasającego ognia dostrzegła obok głowy męża, na poduszce, głowę Rozalii.

Na krzyk, jaki wydała, zerwali się oboje.

Przez chwilę stała nieruchomo, przygwożdżona tym odkryciem. Potem uciekła do swego pokoju, a kiedy Julian przerażony, zawołał: — Janino! — ogarnął ją okrutny lęk, że znów mogłaby go zobaczyć, spotkać jego wzrok, usłyszeć jego głos, jego tłumaczenia, jego kłamstwa. I znów wybiegła na schody.

Posuwała się na dół w ciemności, narażając się na to, że upadnie i potłucze się o kamienną posadzkę. Nieprzeparta chęć ucieczki — żeby nikogo już nie widzieć, niczego się nie dowiadywać — gnała ją naprzód.

Kiedy była na dole, usiadła na stopniu, w koszuli, bosa, i zastygła w bezmyślnej zadumie.

Julian wyskoczył z łóżka i ubierał się śpiesznie. Usłyszała, jak chodził po pokoju. Zerwała się, żeby uciec, lecz on był już na schodach i wołał:

— Janino, posłuchaj!

Nie, nie chciała go słuchać, nie chciała, żeby jej dotykał; rzuciła się do stołowego, uciekając jak przed mordercą. Szukała jakiegoś wyjścia, jakiejś kryjówki, jakiegoś ciemnego kąta, w którym mogłaby się przed nim ukryć. Skuliła się pod stołem. Lecz on otwierał już drzwi, trzymając światło w ręku, i powtarzając wciąż: — Janino! Wymknęła się do kuchni jak zając i obiegła ją dwa razy dookoła, niby ścigane zwierzę, a kiedy i tu wszedł za nią, otworzyła gwałtownie drzwi do ogrodu i wybiegła.

Lodowate dotknięcie śniegu, w którym jej gołe nogi grzęzły chwilami aż po kolana, dodało jej nagle rozpaczliwej energii. Nie czuła zimna, chociaż była nieubrana; nic już nie czuła, odrętwiała z rozpacz, i biegła przed siebie, biała jak ośnieżona ziemia.

Minęła aleję, gaj, przeskoczyła przez rów i wydostała się na wydmy.

Noc była bezksiężycowa; ognisty posiew gwiazd skrzył się na czarnym niebie ponad martwą bielą równiny, zastygłej w bezruchu i ciszy.

Janina szła szybko, nie oddychając prawie, nie wiedząc, co robi, nie zastanawiając się nad niczym. I nagle znalazła się w miejscu, gdzie skalisty brzeg stromo opadał w dół. Zatrzymała się instynktownie i przysiadła, pozbawiona woli i myśli.

Z ciemności, jaka się przed nią rozwarła, morze, niewidoczne i milczące, słało ku niej słoną woń wodorostów.

Pozostawała tak dłuższy czas, odrętwiała duchowo i fizycznie, a później zaczęła nagle dygotać, dygotać straszliwie jak żagiel, targany wiatrem. Jej ramiona, dłonie, stopy, drżały, wstrząsane nieprzepartą siłą i raptem wróciła jej świadomość, jasna i dotkliwa.

Wspomnienia dawnych dni zaczęły przesuwać się przed jej oczyma: przejażdżka z Nim łodzią ojca Lastique, ich rozmowa, miłość, kielkująca w jej sercu, chrzest łodzi. A potem cofnęła się pamięcią jeszcze dalej, do owej nocy pełnej marzeń, kiedy wróciła z klasztoru do Peuples. A teraz! teraz! Och! jej życie było złamane, nadszedł kres wszelkiej radości i oczekiwaniu! Ujrzała swą przyszłość, pełną udręki, zdrad i rozpacz, i przeżaliła się. Lepiej umrzeć i skończyć z tym od razu!

Z daleka dobiegł ją czyjś głos:

— Tędy, tutaj widać ślady; prędzej, prędzej, tędy!

To Julian jej szukał.

Och! nie chciała go widzieć. Z otchłani przed nią dobiegał ją teraz lekki szmer fal uderzających o skały.

Wstała gotowa rzucić się w przepaść i żegnając życie wyjęczała ostatnie słowo umierających, ostatnie słowo młodych żołnierzy, ginących w bitwie:

— Mamusiu!

I nagle ujrzała w myśli matkę we łzach i ojca, klęczącego przy jej zwłokach; w jednej sekundzie przeżyła całą ich rozpacz.

Miękko osunęła się w śnieg; nie uciekała już, kiedy Julian ze starym Szymonem, za którymi szedł Mariusz z latarnią, chwycili ją za ramiona i pociągnęli do tyłu — leżała na skraju otchłani.

Robili z nią, co chcieli, gdyż nie mogła się już poruszać. Czuła jeszcze, jak ją nieśli, jak kładli ją do łóżka i nacierali gorącymi ręcznikami, a później wszystko zatarło się w jej świadomości.

Męczył ją jakiś koszmar — a może to nie był koszmar? leżała w swoim pokoju. Był już dzień, a ona nie mogła wstać. Dlaczego? — nie wiedziała.

Usłyszała jakiś szmer, jakby ktoś drapał pazurkami o podłogę, i nagle mysz, mała, szara myszka przebiegła szybko po prześcieradle. Po niej zjawiała się druga i trzecia, drobnym kroczkiem biegnąc ku jej piersi. Janina nie bała się, chciała jednak pochwycić zwierzątko i wyciągnęła rękę, lecz na próżno.

Wtedy inne myszy, dziesięć, dwadzieścia, setki, tysiące myszy, wybiegło ze wszystkich stron. Wspinały się po filarach, goniliły po gobelinach, pokrywały całe łóżko. Niebawem wsunęły się pod kołdrę; Janina czuła, jak ślizgały się po jej skórze łaskocząc ją po nogach, biegając tam i na powrót wzdłuż jej ciała. Widziała, jak wychodziły spod łóżka, żeby wśliznąć się doń i podejść ku jej szyi; szamotała się wyciągając ręce, żeby schwycić chociaż jedną, lecz jej się to nie udawało.

Gniewała się, chciała uciekać, krzyczała i zdawało jej się, że ktoś ją trzyma, że czyjeś silne ramiona oplatają ją i obezwładniają, ale nie widziała nikogo.

Zatraciła zupełnie świadomość czasu. Musiało to trwać długo, bardzo długo.

Później nastąpiło przebudzenie, pełne znużenia, a jednak słodkie. Czuła się bardzo słaba. Otworzyła oczy i nie zdziwiła się, widząc w swym pokoju mateczkę, siedzącą obok jakiegoś grubego mężczyzny, którego nie znała.

Ile ona miała lat? Nie wiedziała i wydawało jej się, że jest małą dziewczynką. Nic nie pamiętała.

Gruby jegomość powiedział:

— Widzi pani, odzyskuje świadomość.

A mateczka zaczęła płakać.

Wtedy gruby jegomość dodał:

— Proszę się uspokoić, pani baronowo, teraz już rękę, że wróci do zdrowia. Proszę tylko nie wspominać jej o niczym. Niech śpi.

I zdawało się Janinie, że długo jeszcze pogrążona była w tym stanie półświadomości, zapadając w ciężki sen za każdym razem, kiedy usiłowała o czymś myśleć; nie starała się jednak przypominać sobie czegokolwiek, jakby instynktownie obawiając się powrotu do rzeczywistości.

Otóż pewnego razu, zbudziwszy się, ujrzała Juliana i nagle wszystko odżyło jej w pamięci, jak gdyby podniesiono zasłonę, za którą kryło się jej dawne życie.

Uczuła potworny ból i znów chciała uciekać. Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła na podłogę i upadła nie mogąc utrzymać się na nogach.

Julian podbiegł ku niej, a ona zaczęła krzyczeć, by jej nie dotykał. Tarzała się po podłodze. Otworzyły się drzwi. Wbiegła ciocia Liza z wdową Dentu, a później baron, i wreszcie mateczka, zadyszana i przerażona.

Ułożono ją na powrót, a ona podstępnie przymknęła oczy, żeby móc rozważyć to wszystko, nie odzywając się do nikogo.

Matka i ciocia krzętały się koło niej, dopytując:

— Janinko, moja droga Janinko, czy słyszysz, jak do ciebie mówię?

Udawała głuchą, nie dając żadnej odpowiedzi, lecz doskonale zdawała sobie sprawę, że dzień dobiega końca. Nadeszła noc. Koło łóżka usiadła pielęgniarka, od czasu do czasu podając jej coś do picia.

Piła w milczeniu, lecz już nie spała; rozmyślała, mozolnie szukając rzeczy, które jej umykały, jak gdyby w pamięci jej były dziury, duże, białe karty, puste, bez żadnych wydarzeń.

Zwolna, po długich wysiłkach, przypominała sobie wszystkie wypadki.

I zaczęła rozmyślać nad nimi z uporem.

Mateczka, ciocia Liza i baron przyjechali do Peuples, więc widać była bardzo chora. Ale Julian? Co on powiedział? Czy rodzice wiedzą o tym? A Rozalia? gdzie ona jest? I co robić? Co robić? Błysnęła jej myśl: wrócić z ojcem i mateczką do Rouen jak dawniej. Będzie wdową i koniec.

Czekała, przysłuchując się pilnie, co koło niej mówią, nie dając poznać, że wszystko doskonale rozumie, przebiegle wykorzystując to, że odzyskała świadomość.

Wreszcie wieczorem, kiedy znalazła się sama z baronową, zawołała cicho:

— Mateczko!

Dźwięk własnego głosu zdziwił ją, wydał się jej zmieniony.

Baronowa chwyciła ją za rękę:

— Córeczko! Moja Janinko kochana! córeczko, poznajesz mnie?

— Tak, mateczko, tylko proszę cię, nie płacz; musimy porozmawiać o wielu sprawach. Czy Julian powiedział ci, dlaczego uciekłam wtedy w nocy z domu?

— Tak, dziecinko, miałaś wysoką gorączkę, bardzo niebezpieczną.

— To nie dlatego, mamusiu. Gorączki dostałam potem; ale czy powiedział ci, dlaczego dostałam tej gorączki i dlaczego uciekłam?

— Nie, kochanie.

— Otóż dlatego, że zobaczyłam Rozalię w jego łóżku.

Baronowa przekonana, że córka majaczy jeszcze, pogłaskała ją, mówiąc:

— Śpij, dziecinko, uspokój się, spróbuj usnąć.

Ale Janina, nie dając się zbić z tropu, odparła:

— Mateczko, ja mówię teraz całkiem przytomnie, to nie są brednie, jakich musieliście pewnie wysłuchiwać w ciągu ostatnich dni. Którejś nocy wydało mi się, że jestem chora, i weszłam do pokoju Juliana, żeby go obudzić. Obok niego spała Rozalia. Wtedy straciłam głowę z rozpaczony i wybiegłam z domu, żeby rzucić się ze skały.

Ale baronowa powtarzała tylko:

— Tak, dziecinko, byłaś bardzo chora, bardzo chora.

— Nie o to chodzi, mamusiu! Zastałam Rozalię w łóżku Juliana i nie chcę zostać z nim dłużej. Zabierz mnie do Rouen jak dawniej.

Baronowa, której lekarz polecił, żeby się w niczym Janinie nie sprzeciwiała, odparła:

— Dobrze, dziecinko.

Lecz chora zniecierpliwiła się:

— Widzę, że mi nie wierzysz. Idź, sprowadź ojczulka, on mnie na pewno zrozumie.

Mateczka dźwignęła się z trudem, opierając się na laskach, i wyszła, powłócząc nogami, a po paru minutach wróciła z baronem, który ją podtrzymywał.

Usiedli przy łóżku i Janina od razu zaczęła opowiadać. Powoli, słabym głosem, nie pomijając niczego, mówiła o dziwnym usposobieniu Juliana, jego szorstkości, skąpstwie i zdradzie.

Kiedy skończyła, baron zrozumiał, że to nie są majaczenia chorej, lecz nie wiedział, co o tym myśleć, co postanowić, ani co odpowiedzieć.

Ujął pieścizotliwie jej rękę jak niegdyś, kiedy usypiał ją opowiadaniem bajek:

— Posłuchaj, kochanie, musimy być rozsądni. Nie możemy działać bez zastanowienia; postaraj się znoś obecność męża aż do chwili, kiedy poweźmiemy jakąś decyzję... Przyrzekasz mi?

— Dobrze, ale jak wyzdrowieję, to nie zostanę tutaj — szepnęła.

A po chwili dorzuciła cicho:

— Gdzie teraz jest Rozalia?

— Nie zobaczysz jej więcej — odparł baron.

Ona jednak nalegała:

— Gdzie ona jest? Chcę wiedzieć.

Wyznał jej wtedy, że jest jeszcze w domu, lecz zapewnił, że zaraz go opuści.

Wyszedłszy od chorej, baron, wrzący gniewem, zraniony w swych uczuciach rodzicielskich udał się do Juliana i od razu przystąpił od rzeczy:

— Przychodzę zażądać od pana rachunku z pańskiego postępowania względem mojej córki. Zdradził ją pan ze służącą; to czyn podwójnie haniebnym.

Ale Julian udawał niewinnego, przeczył wszystkiemu, zaklinał się, brał Boga na świadka. Jakież mieli przeciw niemu dowody? Czyż Janina nie była niepoczytalna? Czyż nie przebyła dopiero co zapalenia mózgu? Czyż nie uciekła z domu nocą, po śniegu, w przystępie szaleństwa, jakim rozpoczęła się jej choreba? I właśnie podczas tego ataku, kiedy prawie naga, biegła po domu, widziała, jak twierdzi, służącą w łóżku swego męża!

Uniósł się, groził procesem, oburzony do najwyższego stopnia. Baron, zmieszany, zaczął się usprawiedliwiać, przepraszać i wyciągnął rękę, której Julian nie przyjął.

Janina, usłyszawszy odpowiedź męża, nie rozgniewała się wcale. Powiedziała:

— On kłamie, tatusiu, ale potrafimy dowieść mu swego.

Przez następne dwa dni milczała, namyślając się nad czymś. Trzeciego dnia zażądała, żeby przywołano do niej Rozalię. Baron odmówił twierdząc, że pokojówka już wyjechała.

Janina nie ustępowała jednak, powtarzając:

— Więc niech ktoś po nią pojedzie i sprowadzi ją tu.

I zaczynała się już irytować, kiedy wszedł doktor. Całą sprawę poddano jego decyzji. Lecz Janina wybuchnęła nagle płaczem, zdenerwowana do najwyższego stopnia, krzycząc prawie:

— Ja chcę widzieć Rozalię, ja chcę widzieć Rozalię!

Wtedy lekarz ujął ją za rękę i powiedział cicho:

— Proszę, niech się pani uspokoi; każdy wstrząs mógłby być teraz niebezpieczny, gdyż jest pani w ciąży.

Zamarła, rażona tą nowiną jak gromem, i od razu wydało jej się, że coś się w niej porusza. Leżała w milczeniu, nie słuchając nawet, co koło niej mówiono, pochłonięta jedną myślą.

W nocy nie mogła spać, podniecona wiadomością — nową i dziwną — że w jej wnętrzu żyje dziecko, smutna i zgnębiona, że będzie to syn Juliana, zaniepokojona, że mógłby być do niego podobny.

Rano kazała poprosić do siebie barona.

— Ojczulku, powzięłam już decyzję: życzę sobie poznać całą prawdę, zwłaszcza obecnie: słyszysz, życzę sobie. A wiesz, że nie wolno mi się teraz sprzeciwiać ze względu na mój stan. Posłuchaj: sprowadzisz proboszcza. Potrzebny mi jest, bo przy nim Rozalia nie odważy się kłamać; później, jak on już tu będzie, wezwiesz Rozalię i zostaniesz z nami, razem z mateczką. Uwważaj tylko, żeby Julian nie domyślił się niczego.

W godzinę później zjawił się ksiądz, jeszcze bardziej otyły niż dawniej, dysząc tak samo jak mateczka. Usiadł obok łóżka

w fotelu, a brzuch opadł mu między szeroko rozstawione nogi; z przyzwyczajenia otarł czoło kraciastą chustką:

— I jakże, pani baronowo, zdaje mi się, że nie chudniemy jakoś; dalibóg, dobrana z nas para.

A zwracając się do chorej, dodał:

— Ho, ho! słyszałem, młoda osobo, że podobno będziemy mieć niedługo nowy chrzest? Ach! ach! ach! tym razem to nie będzie już chrzest łodzi!

I tonem poważnym dodał:

— Przybędzie nam nowy obrońca ojczyzny; — a po chwili namysłu: — Albo też dzielna matka — i w tym miejscu skłonił się baronowej — jak pani.

Wtem otworzyły się drzwi. Rozalia, przerażona, zapłakana, wzbraniała się wejść, czepiając się futryny, a baron popychał ją od progu. Zniecierpliwiony, szarpnął nią wreszcie i znalazła się w pokoju. Wtedy zasłoniła sobie twarz rękami i stanęła, łkając.

Janina na jej widok zerwała się gwałtownie i usiadła, bielsza od pościeli; serce biło jej jak oszalałe, a cienka koszula, przylegająca do ciała, wznosiła się zgodnie z jego rytmem. Nie mogła wydobyć ze siebie głosu, oddychając z trudem; wreszcie wyjąkała:

— Mo-mogłabym o nic cię już nie pytać... Wy-wystarczy spojrzeć, jaki wstyd ogarnął cię na mój widok...

Przerwała, a zaczerpnąwszy powietrza ciągnęła dalej:

— Chcę jednak wiedzieć wszystko... wszystko... Poprosiłam księdza proboszcza, bo chcę, żebyś mówiła prawdę, jak na spowiedzi. Słyszysz?

Stojąc nieruchomo, z dłońmi zaciśniętymi kureczowo na twarzy, Rozalia zachłystywała się głośnym płaczem.

Baron, ogarnięty gniewem, chwycił ją za ręce i popchnął, tak że upadła na kolana koło łóżka:

— Mówże!... Odpowiadaj!

Pozostała na ziemi, w pozycji pokutującej Magdaleny; czepek jej się przekrzywił, fartuch rozpostarł na podłodze. Znów skryła twarz w dłoń.

Wtedy odezwał się proboszcz:

— Posłuchaj no, moja córko. Nikt nie zrobi ci tu nic złego. Chcemy się tylko dowiedzieć, co zaszło. Uważaj więc, co się do ciebie mówi, i odpowiadaj na pytania.

Janina patrzyła na nią wychylając się z łóżka.

— Prawda, że byłaś w łóżku Juliana, kiedy weszłam niespodziewanie do pokoju? — zapytała.

Rozalia jęknęła poprzez zaciśnięte na twarzy ręce:

— Tak, proszę pani.

Baronowa zaczęła nagle głośno płakać dusząc się przy tym; jej gwałtowne łkanie wtórowało szlochom Rozalii.

Janina, ze wzrokiem utkwionym w pokojówce, zapytała:

— Od jak dawna to trwało?

— Odkąd tu przyjechał — wyjąkała Rozalia.

Janina nie zrozumiała:

— Odkąd tu przyjechał? Więc... od... wiosny?

— Tak, proszę pani.

— Od chwili, kiedy zjawił się w tym domu?

— Tak, proszę pani.

Janina, jakby nie mogąc oprzeć się nurtującym ją pytaniom, indagowała śpiesznie:

— Ale jak się to stało? W jakich okolicznościach? Jak cię o to poprosił? Co ci powiedział? Kiedy mu uległaś? Jak mogłaś mu się oddać?

Rozalia odsłaniając tym razem twarz, ogarnięta widocznie również gorączkową potrzebą mówienia, odparła:

— A bo ja wiem? Tego dnia, kiedy tu był pierwszy raz na kolacji, przyszedł do mego pokoju. Skrył się na strychu. Nie śmiałam krzyczeć, żeby nie było potem jakich historii. Położył się przy mnie; sama nie wiedziałam, co się ze mną dzieje; robił ze mną, co chciał. Nie mówiłam nic, bo mi się podobał!...

Janina krzyknęła:

— Więc... to... to dziecko... jest jego?...

— Tak, proszę pani — załkała Rozalia.

Następnie zamilkły obydwie.

Słychać było tylko płacz Rozalii i baronowej.

Janina, zgnębiona, uczuła, że jej oczy również napełniają się łzami, które bezszelestnie spływały po jej policzkach.

Dziecko jej pokojówki ma tego samego ojca, co jej własne! Gniew jej opadł nagle; zwolna ogarnęła ją głucha rozpacz, bez dna, bez granic.

Wreszcie odezwała się zmienionym, nabrzmiałym łzami głosem:

— Po naszym powrocie z... z podróży... kiedy zaczął od nowa? Pokojówka, leżąc zdruzgotana na podłodze, wyjąkała:

— Pier... pierwszego wieczoru.

Każde słowo rozdzierało serce Janiny. Więc pierwszego wieczoru, zaraz pierwszego wieczoru po powrocie do Peuples, rzucił ją dla tej dziewczyny! Więc dlatego zostawił ją samą tej nocy!

Wiedziała teraz już dosyć. Nie chciała dowiadywać się więcej; krzyknęła:

— Odejdź stąd! Odejdź stąd!

A ponieważ Rozalia nie ruszała się, jakby przygwożdżona, Janina zwróciła się do ojca:

— Zabierz ją, niech ona stąd wyjdzie.

Lecz milczący dotąd proboszcz uznał widać, że nadeszła właściwa chwila, żeby wygłosić krótkie kazanie:

— Źle postąpiłaś, moja córko, bardzo źle, i Pan Bóg nie wybaczy ci tego prędko. Pomyśl o piekle, które cię czeka, jeżeli od-tąd nie będziesz sprawować się lepiej. Teraz, kiedy masz dziecko, musisz się ustatkować. Pani baronowa pomyśli o tobie na pewno, wyszukamy ci męża...

Byłby mówił tak dłużej, lecz baron chwyciwszy Rozalię za ramię podniósł ją, dowlókl aż do drzwi i jak tobolek wyrzucił na korytarz.

Kiedy wrócił, blebszy jeszcze od córki, proboszcz ponownie zabrał głos:

— Cóż począć? One wszystkie jednakowe. To rozpacz, ale nie ma na to rady; trzeba zdobyć się na trochę wyrozumiałości dla ułomnej natury ludzkiej. Nigdy nie wychodzą za mąż inaczej, jak w stanie odmiennym, nigdy!

I uśmiechając się, dodał:

— Miejscowy zwyczaj, można by powiedzieć!

A potem podjął z oburzeniem:

— Najgorsze, że dzieci zaczynają już tak samo! W zeszłym roku przyłapałem na cmentarzu dwoje malców, wracających z katechizmu. Dałem znać rodzicom. Wiecie państwo, co mi odpowiedzieli? „Czego proboszcz chcą od nas; myśmy ich przecież tych świństw nie uczyli, to i nic na to nie poradzimy“... Pańska pokojówka, panie baronie, postąpiła tak samo jak inne dziewczęta...

Lecz baron przerwał mu, drżąc z irytacji:

— Ona? Co mnie ona obchodzi? Julian mnie oburza! To podłość z jego strony i niezwłocznie zabiorę stąd moją córkę.

Chodził tam i z powrotem po pokoju, coraz bardziej się unosząc:

— To podłość w taki sposób zdradzić moją córkę, podłość! Trzeba być szubrawcem, kanalią, nędznikiem! Powiem mu to, spoliczkuję go, zatłukę go laską!

Lecz ksiądz, siedząc obok zapłakanej baronowej, zażył powoli tabaki i pragnąc wywiązać się ze swego pokojowego posłannictwa podjął:

— Panie baronie, między nami mówiąc, postąpił on tak samo jak wszyscy inni. Czy wielu zna pan wiernych mężów?

I ze złośliwą dobroduszością dodał:

— Ba, założyłbym się, że i pana trzymały się takie figle. No, z ręką na sercu, czy tak nie było?

Baron, zaskoczony, przystanął naprzeciw księdza, który ciągnął:

— Och, na pewno nie różnił się pan pod tym względem od innych, kto wie nawet, czy nie zabawiał się pan kiedyś z taką samą pokojóweczką jak ta. Powiadam panu, że wszyscy mężowie są jednakowi. A czy pani baronowa była z tego powodu mniej szczęśliwa lub mniej kochana?

Baron stał nieruchomo, wstrząśnięty.

Dalibóg, to prawda, że postępował tak samo i to nie raz — za każdym razem, kiedy nadarzyła się ku temu okazja; on

również nie liczył się z tym, że kala gniazdo rodzinne, i jeśli pokojówki żony były ładne, to nie bawił się w skrupuły! Ale czy miałyby zasługiwać dlatego na miano nędznika? Dlaczego więc tak surowo sędzi postępowanie Juliana, jeżeli siebie samego nigdy nie uważał za winnego?

Baronowa nie ochłonęła jeszcze po płaczu i dyszała ciężko, lecz na wspomnienie dawnych wybryków męża przemknął po jej ustach cień uśmiechu, należała bowiem do owych sentymentalnych, czułych i pełnych wyrozumiałości istot, w oczach których przygody miłosne są częścią życia ludzkiego.

Janina leżała nieruchomo na wznak, z rękami opuszczonymi bezwładnie, z oczami szeroko otwartymi, pogrążona w bolesnej zadumie. Przypomniały jej się słowa Rozalii, raniąc jej duszę i jak świdrem wwiercając się w serce: „Nie mówiłam nic, bo mi się podobał“.

Jej też się podobał — i dlatego oddała mu się, dlatego tylko związała się na całe życie, wyrzekła wszelkiej nadziei, ledwie zarysowanych projektów, wszystkiego, co mogło jej przynieść nieznane jutro. Ugrzęzła w tym małżeństwie niby w zdradliwym dole, z którego nie ma wyjścia, ugrzęzła w rozpacz, smutku, beznadziejności, ponieważ się jej spodobał — tak jak Rozalii.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich Julian, z twarzą zmienioną gniewem. Spotkał na schodach płaczącą Rozalię i przyszedł dowiedzieć się, co się stało, domyślając się, że knuje się przeciw niemu jakiś spisek, że pokojówka musiała się przyznać. Na widok księdza stanął jak przygwożdżony do miejsca.

— Co się stało? — zapytał drżącym głosem, zachowując jednak spokój.

Baron, który unosił się przed chwilą, teraz nie śmiał odezwać się słowem, mając w pamięci argument, przytoczony przez księdza, i bojąc się, że zięć mógłby powołać się na jego własny przykład. Mateczka zaczęła płakać od nowa, a Janina uniósłszy się na rękach spoglądała dysząc na tego, przez którego cierpiała tak okrutnie.

— Stało się to, że znamy już całą prawdę, każdą nikczemność, jakiej dopuścił się pan od... od chwili, kiedy po raz pierwszy zjawił się pan w tym domu... że wiemy, iż pan jest ojcem dziecka tej dziewczyny, tak samo... tak samo jak i... mojego, że... będą one braćmi... — wyjąkała i przytłoczona nadmiarem bólu, jaki ogarnął ją na tę myśl, osunęła się na poduszki i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Stał z otwartymi ustami nie wiedząc, co mówić, ani co robić. Książd przyszedł mu z pomocą:

— No, no, uspokójmy się, młoda osobo, nie można teraz poddawać się rozpaczy.

Wstał, podszedł do łóżka i położył ciepłą dłoń na jej czole.

To proste dotknięcie sprawiło, że doznała dziwnego odprężenia, jak gdyby ta silna ręka wieśniaka, przyzwyczajona udzielać rozgrzeszenia i pocieszać, miała w sobie jakąś moc kojącą.

A pocziwiec stojąc koło niej mówił:

— Niech pani pamięta o tym, że należy zawsze wybaczać winowajcom. Spotkało panią wielkie nieszczęście, ale Bóg w swym miłosierdziu wynagrodził panią wielkim szczęściem: zostanie pani matką. To dziecko będzie pani pociechą. W jego imieniu błagam panią, zaklinam, abyś przebaczyła panu Julianowi. Ono stanie się nową więzią między wami, rękojmią wierności na przyszłość. Czy może pani odwrócić się od człowieka, którego twór nosi pani w swym łonie?

Nie odpowiadała, zmiażdżona cierpieniem, obolała, bezsilna, niezdolna do gniewu czy urazy. Wydawało jej się, że jej nerwy, zwolnione z napięcia, rozluźniły się całkowicie — ledwie czuła, że żyje.

Baronowa, która nie potrafiła żywić do nikogo żalu ani też zdobyć się na dłuższy wysiłek duchowy, szepnęła:

— No, Janinko...

Wówczas proboszcz ujął za rękę młodego człowieka i przysuwając go do łóżka złożył jego dłoń w dłoni żony, lekkim klepieniem pieczętując to pojednanie, a porzuciwszy ton kaznodziei, powiedział z zadowoleniem:

— No, już zgoda; wierzajcie mi, że tak będzie lepiej.

Ich dłonie złożone na chwilę, rozeszły się natychmiast. Julian, nie śmiejąc uściskać Janiny, pocałował w czoło teściową, obrócił się na piętach i ujął pod ramię barona, który nie opierał się, rad w głębi duszy, że sprawa dała się w ten sposób załatwić, i obaj wyszli na cygaro.

Po ich wyjściu chora zasnęła wycieńczona, a ksiądz i młoteczka rozmawiali po cichu.

Proboszcz tłumaczył jej coś szeroko, a ona potakiwała ruchem głowy. Wreszcie zakończył:

— A więc zgoda: dacie państwo tej dziewczynie fermę Barville, a ja już podejmuję się znaleźć jakiegoś porządnego chłopca, który by się z nią ożenił. Och, mając wiano wartości dwudziestu tysięcy franków, znajdzie dość amatorów! Będziemy mieć kłopot z dokonaniem wyboru.

Baronowa, ze śladami łez na policzkach, uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

— Zgoda — przytaknęła z zapalem — Barville warte jest co najmniej dwadzieścia tysięcy franków; zapiszemy je na imię dziecka, a rodzice korzystać będą z dożywocia.

Proboszcz podniósł się i uściskał rękę młoteczki:

— Proszę się nie fatygować, pani baronowo, proszę się nie fatygować, ja wiem, ile wysiłku kosztuje każdy krok.

Wychodząc spotkał ciocię Lizę, która szła do chorej. W niczym się nie zorientowała, o niczym jej nie powiedziano, o niczym się nie dowiedziała — jak zawsze.

VIII

Rozalia opuściła dom, a Janina smutnie przeżywała okres ciąży. Przytłoczona nadmiarem zgryzot nie odczuwała radości na myśl, że zostanie matką. Bez ciekawości oczekiwała dziecka, wciąż jeszcze uginając się pod brzemieniem niejasnego lęku i złych przeczuć.

Wiosna nadeszła niepostrzeżenie. Nagie drzewa drżały w podmuchach wiatru chłodnego jeszcze, lecz pośród wilgotnej trawy, w rowach, gdzie gnily jesienne liście, zaczęły ukazywać się żółte pierwiosnki. Równina, podwórza ferm, rozmiękłe pola tchnęły zapachem wilgoci, niby wonią fermentacji. A mnóstwo drobnych, zielonych kielków wychodziło z brunatnej ziemi, połyskując w promieniach słońca.

Tęga kobieta, zbudowana jak forteca, zastępowała Rozalię, podtrzymując baronową podczas jej monotonnych spacerów wzdłuż alei, na której rysował się błotnisty ślad jej nogi.

Ojczulek podawał ramię Janinie, ociężałej teraz i ustawicznie cierpiącej, a ciocia Liza, zaniepokojona i przejęta mającym nastąpić zdarzeniem, ujmowała drugą jej rękę, cała poruszona tajemnicą, której sama nigdy nie miała poznać.

Przechadzali się tak godzinami w milczeniu, podczas gdy Julian ogarnięty nagle zapalem do konnej jazdy, odbywał długie przejażdżki po okolicy.

Nic nie mąciło teraz smętnej jednostajności ich życia. Baron, jego żona i wicehrabia złożyli wizytę państwu Fourville, których Julian zdawał się dobrze znać — żadne jednak z nich nie wyjaśniło bliżej tej znajomości. Drugą ceremonialną wizytę wymieniono z państwem Briseville, zamkniętymi w ich sennej kryjówce.

Pewnego popołudnia koło godziny czwartej ukazała się na podwórzu przed zamkiem para jeźdźców. Julian, wyraźnie poruszony, wbiegł do pokoju Janiny.

— Prędko, prędko, zejdź do salonu. Przyjechali Fourville'owie. Wiedząc, w jakim jesteś stanie, wstąpili do nas po sąsiedzku. Powiedz im, że wyszedłem, ale zaraz wrócę. Muszę się trochę przebrać.

Janina zesza zdziwiona. Jakaś młoda, ładna kobieta, blada, o bolesnym wyrazie twarzy i egzaltowanym spojrzeniu, o włosach jasnych i bez połysku, jakby nigdy nie musnął ich promień słońca, przedstawiła jej spokojnie swego męża — olbrzyma z wielkimi rudymi wąsami.

— Mieliśmy kilkakrotnie sposobność zetknąć się z panem de Lamare — dorzuciła — i dowiedzieliśmy się od niego, że jest pani cierpiąca. Nie chcieliśmy więc dłużej odkładać sąsiedzkich odwiedzin, które nie mają nic wspólnego z ceremonialną wizytą. Jak pani widzi — przyjechaliśmy konno. Któregoś dnia miałam zresztą przyjemność gościć u siebie pana barona wraz z małżonką.

Mówiła z niezmierną swobodą, prostotą i dystynkcją.

Janina była oczarowana i od razu poczuła do niej wielką sympatię.

— Oto byłaby przyjaciółka dla mnie — pomyślała.

Natomiast hrabia de Fourville robił wrażenie niedźwiedzia wprowadzonego do salonu. Usiadłszy położył kapelusz na stojącym obok krześle, przez chwilę nie wiedział, co począć z rękami, złożył je na kolanach, potem przeniósł na poręcz fotela, a wreszcie splótł jak do modlitwy.

Nagle wszedł Julian. Janina, zdumiona, nie mogła go poznać. Ogolił się. Był piękny, elegancki, czarujący jak w okresie narzeczeństwa. Uścisnął kosmatą łapę hrabiego, którego jego przyjście zdawało się wyrwać z drzemki, i ucałował rękę hrabiny; jej policzki koloru kości słoniowej poróżnowiały lekko, a powieki zadrgały.

Zaczął rozmawiać. Był ujmujący jak dawniej. Jego duże oczy — zwierciadła miłości — znów przybrały pieszczotliwy wy-

raz, a włosy, przed chwilą jeszcze twarde i bez połysku, wyszczotkowane i skropione pachnącym olejkiem, odzyskały nagle swą miękką falistość.

W chwili pożegnania hrabina zwróciła się do niego:

— Drogi panie wicehrabio, czy nie przejechałby się pan konno we czwartek?

Kiedy kłaniając się, szepnął: — Ależ z przyjemnością — ona ujęła rękę Janiny i powiedziała głosem czułym i przenikliwym, uśmiechając się przy tym przyjaźnie:

— Och, skoro odzyska pani zdrowie, będziemy galopować we trójkę. To będzie cudowne — nieprawdaż?

Wdzięcznym ruchem podjęła tren swej amazonki i z lekkością ptaka usiadła na siodle, podczas gdy jej mąż, złożywszy niezgrabny ukłon, dosiadał swego ciężkiego normandzkiego konia, wyprostowany jak centaur.

Kiedy zniknęli za zakrętem, Julian, który wydawał się zachwycony, wykrzyknął:

— Co za czarujący ludzie! Oto znajomość, która się nam przyda.

Janina również przyjemnie poruszona, chociaż nie zdawała sobie sprawy dlaczego, odparła:

— Hrabina jest czarująca, czuję, że ją polubię, ale jej mąż robi wrażenie człowieka nieokrzesanego. Gdzie się z nimi poznałeś?

Zacierał z zadowoleniem ręce:

— Spotkałem ich przypadkiem u Briseville'ów. Hrabia ma wygląd trochę gburowaty, ale to prawdziwy arystokrata. Zapalony myśliwy.

Obiad upłynął niemal wesoło, jak gdyby jakieś niewidoczne szczęście wstąpiło w progi domu.

Aż do końca lipca nie wydarzyło się już nic nowego.

Pewnego wtorku wieczorem kiedy siedzieli pod platanem koło drewnianego stołu, na którym stała karafka z wódką i dwa kieliszki, Janina krzyknęła nagle i, blednąc, chwyciła się za brzuch. Ostry ból przeszył ją raptownie i natychmiast ucichł.

Po dziesięciu minutach wrócił znów, tym razem dłuższy, chociaż nie tak gwałtowny. Z trudem zdołała wrócić do domu, niesiona prawie przez ojca i męża. Krótka przestrzeń między platanem a sypialnią wydała jej się nie do przebycia; wydawała mimowolne jęki, zatrzymywała się, żeby usiąść, przytłoczona nieznośnym uczuciem, jakby dźwigała jakiś ciężar w brzuchu.

Na poród było za wcześnie, spodziewano się go dopiero we wrześnie; obawiając się jednak jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, baron kazał zaprząć do bryczki i stary Szymon galopem ruszył po lekarza.

Przybył on koło północy i od pierwszego wejrzenia rozpoznał objawy przedwczesnego porodu.

Kiedy położyła się do łóżka, bóle zelzały nieco, lecz Janinie wydawało się, że zapada w omdlenie, a straszliwy lęk, niby przecucie śmierci, ścisnął jej serce. Bywają chwile, kiedy oddech jej owiewa nas z tak bliska, że mrozi nam krew w żyłach.

W pokoju było pełno ludzi. Mateczka dyszała ciężko, opadłszy na fotel. Baron, któremu ręce się trzęsły, biegał to tu, to tam, przynosił rozmaite rzeczy, wypytywał lekarza, tracił głowę. Julian chodził tam i z powrotem z wyrazem przejęcia na twarzy i obojętnością w duszy. Wdowa Dentu stała koło łóżka, z miną dostosowaną do okoliczności, z miną kobiety doświadczonej, której nic nie dziwi. Pielęgniarka, akuszerka i czuwająca nad zmarłymi w jednej osobie, odbierając nowonarodzonych, przyjmując ich pierwszy krzyk, obmywając po raz pierwszy ich młode ciało i po raz pierwszy zawijając je w pieluszki, a później, z tym samym spokojem wysłuchując ostatniego słowa, ostatniego rżenia, ostatniego dreszczu umierających, zmywając octem ich zniszczone ciało, owijając ich całunem, nabrała niewzruszonej obojętności wobec narodzin i zgonów.

Kucharka Ludwina i ciocia Liza stały dyskretnie za drzwiami wiodącymi na korytarz.

Z ust chorej wydobywał się od czasu do czasu słaby jęk.

Przez dwie godziny można było przypuszczać, że poród nie nastąpi jeszcze tak prędko, lecz nad ranem bóle wzmogły się znowu i wkrótce stały się nie do zniesienia.

Janina, z zaciśniętymi zębami, wydając czasem mimowolne okrzyki, myślała bez przerwy o Rozalii, która wcale nie cierpiała, nie jęknęła prawie, której dziecko, nieślubne dziecko, urodziło się lekko, nie narażając jej na męki.

Udręczona i zboląła, robiła w duchu bezustanne porównania, złorzecząc Bogu, którego uważała niegdyś za sprawiedliwego, oburzając się na los, faworyzujący występnych, i na zbrodnicze kłamstwa tych, którzy zalecają dobroć i uczciwość.

Chwilami napięcie bólu dochodziło do tego stopnia, że traciła świadomość. Nie miała wtedy dość sił, żeby cierpieć.

W chwilach odprężenia nie mogła oderwać oczu od Juliana; i inny ból, ból duszy rozdzierał ją na wspomnienie dnia, kiedy jej pokojówka leżała obok tego samego łóżka, z noworodkiem między nogami, z bratem tej istotki, która tak okrutnie targa jej wnętrznościami. Jasno przypominała sobie gesty, spojrzenia, słowa swego męża stojącego nad rozciągniętą na podłodze dziewczyną i czytała w nim teraz tak, jakby jego myśli wypisane były w jego ruchach — czytała w nich to samo znudzenie, tę samą obojętność dla niej, jak i dla tamtej, tę samą beztroską egoistą, zirytowanego ojcostwem.

Chwycił ją straszliwy skurcz, spazm bólu tak okrutny, że pomyślała: — Umieram — i wściekły bunt, potrzeba złorzeczenia napęłniły jej duszę, szaloną nienawiścią do tego człowieka, który ją zgubił, i do tego nieznanego dziecka, które ją zabijało.

Wyprężyła się w ostatecznym wysiłku, żeby wyrzucić z siebie ten ciężar. Nagle wydało jej się, że brzuch jej opróżnia się gwałtownie; bóle ustały.

Pielęgniarka i lekarz pochylali się nad nią, dotykali jej, a po chwili podnieśli coś do góry; zadrżała, słysząc ten sam zduszony dźwięk, co niegdyś. Ów żaloszny pisk, ciche kwilenie niemowlęcia przenikało jej duszę, jej serce, całe jej biedne wyczerpane ciało; bezwiednym ruchem usiłowała wyciągnąć ra-

miona. Przeszyła ją nagła radość, zakwitło dla niej nowe szczęście, ku któremu się wyrывała. W jednej chwili poczuła się wyzwolona, uciszona, szczęśliwa, tak szczęśliwa jak nigdy dotąd. Jej serce i ciało odżyły — czuła się matką!

Chciała ujrzeć swe dziecko! Nie miało włosów ani paznokci przyszedłszy na świat za wcześnie; kiedy jednak zobaczyła, jak się porusza, jak otwiera usteczka do płaczu, kiedy dotknęła tej larwy pomarszczonej, skrzywionej, żywej, poczuła, jak zalewa ją fala nieprzewyciężonej radości, zrozumiała, że jest ocalona, że nie grozi jej już żadna rozpacz, że zyskała przedmiot miłości, która wypełni jej całe życie.

Od tej chwili jedna ją tylko zajmowała myśl: o dziecku. Stała się nagle matką fanatyczką, tym bardziej egzaltowaną, że została rozczarowana w miłości, zawiedziona w swych nadziejach. Dopóki leżała, kołyska musiała stać przy jej łóżku, a później, kiedy mogła już wstawać, całe dni spędzała przy oknie kołysząc ją lekko.

Była zazdrosna o mamkę; kiedy głodne maleństwo wyciągało rączki ku pełnej piersi o błękitnych żyłkach i żarłocznymi wargami chwyciło brunatną, pomarszczoną brodawkę, patrzyła drżąca i pobladała na silną, zdrową wieśniaczkę i miała chęć wyrwać jej syna, bić ją, drapać paznokciami pierś, z której pił tak chciwie.

Później zaczęła wyszywać dla niego cieniutkie sukienki, przystrajając je z wyszukaną elegancją. Otulała go obłokiem koronek i ubierała we wspinałe czapeczki. Nie potrafiła mówić o niczym innym, przerywała rozmowę każąc wszystkim podziwiać jakąś pieluszkę, śliniaczek lub wstążkę pięknie wykończoną i nie słuchając co do niej mówią, zachwyciła się drobnymi sztukami bielizny obracając je długo w rękach i unosząc do góry, żeby móc się im lepiej przyjrzeć; a potem pytała nagle:

— Jak myślicie, będzie mu w tym ładnie?

Baron i mateczka przyjmowali z uśmiechem te wybuchy czułości, lecz Julian, któremu zjawienie się tego wrzaskliwego tyrana zagrażało w jego przyzwyczajeniach i w jego dotychczasowej wszechwładzy, podświadomie zazdrosny o ten załazek człowieka, wypierający go z jego miejsca w domu, powtarzał stale, zły i zniecierpliwiony:

— Ależ ona nudna z tym dzieciakiem!

Pozwoliła zawładnąć sobą tej miłości tak dalece, że całe noce spędzała siedząc przy kołysce i przyglądając się śpiącemu synkowi. Ponieważ ta chorobliwa kontemplacja wyczerpywała jej siły, ponieważ przestała udawać się na spoczynek, osłabła, schudła i kasłała, lekarz kazał rozłączyć ją z synem.

Gniewała się, płakała, błagała, lecz domownicy pozostawali głusi na jej prośby. Co wieczór przenoszono dziecko do pokoju mamki i co noc matka wstawiała, szła boso do drzwi, przykładała ucho do dziurki od klucza, nadśluchując, czy mały śpi spokojnie, czy się nie budzi i czy czegoś nie potrzebuje.

Kiedyś zastał ją tak Julian, wracając późno z kolacji u Fourville'ów; i odtąd zamykano ją na klucz w jej pokoju, żeby w ten sposób zmusić ją do spoczynku.

Chrzcziny odbyły się z końcem sierpnia. Rodzicami chrzestnymi byli baron i ciocia Liza. Dziecku nadano trzy imiona: Piotr — Szymon — Paweł; w życiu codziennym nazywać go miano Pawłem.

W pierwszych dniach września ciocia Liza wyjechała cicho, a jej nieobecność pozostała tak samo niezauważona jak jej obecność.

Pewnego wieczora po obiedzie zjawił się proboszcz. Wydał się zakłopotany, jakby miał im do zakomunikowania jakąś tajemnicę, a nie śmiał tego uczynić; po wielu zbytecznych uwagach poprosił wreszcie baronową i jej męża o chwilę poufnej rozmowy.

Wolnym krokiem udali się we troje aż do końca długiej alei, żywo o czymś rozprawiając, a tymczasem Julian, zostawszy sam z Janiną, dziwił się, niepokoił i denerwował nie wiedząc, o co chodzi.

Kiedy ksiądz żegnał się z nimi, zaproponował mu, że go odprowadzi, i obaj zniknęli idąc w stronę kościoła, gdzie dzwoniło na Anioł Pański.

Było chłodno, więc baronostwo z Janiną wrócili niedługo do domu i drzemali w salonie, kiedy wpadł Julian, czerwony, z miną oburzoną.

Już od drzwi, nie zważając na obecność Janiny, zawołał do teściów:

— Wyście chyba poszaleli, u licha! Wyrzucać dwadzieścia tysięcy franków dla tej dziewczyny!

Oniemieli ze zdumienia, a on podjął z gniewem, podnosząc głos aż do krzyku:

— To trzeba nie mieć ani krzty rozsądku! Chcecie więc zaprzepaścić cały nasz majątek?

Wtedy baron, odzyskując równowagę, próbował mu przerwać:

— Niech pan przestanie! Proszę nie zapominać, że mówi pan w obecności swej żony!

Ale tamten tupał nogami z wściekłości:

— Dużo sobie z tego robię; zresztą ona dobrze wie, o co chodzi. To kradzież, której ona będzie ofiarą.

Janina, wstrząśnięta, patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

— Co to ma znaczyć? — wyjąkała.

Wtedy Julian zwrócił się do niej, biorąc ją na świadka, jako współniczkę tak samo jak on poszkodowaną w oczekiwanym zysku. Opowiedział jej w krótkich słowach o spisku, dotyczącym wydania za mąż Rozalii, i o projektowanej darowiźnie fermi Barville, wartości co najmniej dwudziestu tysięcy franków.

— Ależ rodzice twoi zwariowali, moja droga, najzupełniej zwariowali — powtarzał. — Dwadzieścia tysięcy franków! Dwadzieścia tysięcy franków! To trzeba głowę stracić! Dwadzieścia tysięcy franków dla bękarta!

Janina słuchała go bez wzruszenia i bez gniewu, dziwiąc się sama swej spokojnej obojętności wobec wszystkiego, cokolwiek nie dotyczyło jej dziecka.

Baron dusił się z gniewu, nie znajdując żadnej odpowiedzi.

Wreszcie wybuchnął i tupiąc nogą krzyknął:

— Dość już tego! Niech się pan zastanowi, co pan mówi! Czyja to wina, że trzeba wyposażyć tę dziewczynę? Czyje jest to dziecko? Chciałby pan zostawić ją teraz na łasce losu!

Julian wpatrywał się w barona, zdumiony jego gwałtownym wystąpieniem, a po chwili podjął tonem bardziej umiarkowanym:

— Uważam, że tysiąc pięćset franków zupełnie by wystarczyło. Nie ma między nimi takiej, która by nie miała panieńskiego dziecka, a z kim, to chyba wszystko jedno. Tymczasem darowując jej fermę wartości dwudziestu tysięcy franków, nie tylko że przynosi pan uszczerbek naszej fortunie, ale i obwieszcza pan całemu światu o tym, co się stało. A należałoby chyba mieć wzgląd na nasze nazwisko i pozycję!

Mówił surowym tonem człowieka, przekonanego, że ma rację i że rozumuje słusznie.

Baron, zmieszany i zaskoczony tą niespodziewaną argumentacją, nie wiedział, co ma mu odpowiedzieć.

A Julian, czując swą przewagę, zakonkludował:

— Na szczęście, nic się jeszcze nie stało; znam chłopca, który ma się z nią ożenić, to porządny człowiek i da się z nim to załatwić. Już ja to biorę na siebie.

I wyszedł natychmiast, chcąc zapewne uniknąć dalszego ciągu dyskusji, której się obawiał, zadowolony z ogólnego milczenia, które brał za zgodę.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, baron, nie posiadając się ze zdumienia, wykrzyknął trzęsąc się cały:

— Nie, tego już za wiele, tego już za wiele!

Ale Janina, podniósłszy oczy na osłupiałą twarz ojca, zaczęła się nagle śmiać swym jasnym śmiechem z dawnych dni, kiedy uczestniczyła w jakimś zabawnym wydarzeniu.

— Ojczulku, ojczulku — powtarzała — czyś słyszał, jak on to wymawiał: dwadzieścia tysięcy franków?

A mateczka, równie skora do radości jak i do smutku, uszczęśliwiona przy tym dobrym humorem Janiny, zaniósł się astmatycznym śmiechem — aż łzy nabiegły jej do oczu — na

wspomnienie zagniewanej miny zięcia, jego pełnych oburzenia okrzyków i gwałtownych protestów przeciwko darowaniu uwiedzionej przez niego dziewczynie pieniędzy, które nie były jego.

Wtedy i baron, ulegając zaraźliwej wesołości, przyłączył się do nich i wszyscy troje bawili się jak za dawnych dobrych czasów.

Kiedy uspokoił się trochę, Janina powiedziała:

— To dziwne, jak mnie to już nic nie obchodzi. Patrzę na niego teraz jak na człowieka obcego. Trudno mi uwierzyć, że jestem jego żoną. Widzicie, żartuję sobie z jego... z jego... braku delikatności...

I sami nie wiedząc dlaczego uściskali się, uśmiechnięci i rozczuleni.

W dwa dni później, po obiedzie, kiedy Julian udał się na przejażdżkę konno, jakiś rosły zuch w wieku najwyżej dwudziestu pięciu lat, w nowej niebieskiej bluzie o zaprasowanych fałdach, z bufiastymi rękawami ujętymi w mankiet, wśliznął się za bramę, jak gdyby od rana czatował tam na chwilę wyjazdu Juliana, przemknął wzdłuż rowu, dzielącego podwórze od fermy Couillardów, okrążył zamek i chyłkiem podążył w stronę barona i obu pań, siedzących jak zwykle pod platanem.

Na ich widok zdjął czapkę i szedł kłaniając się co chwila, wyraźnie zakłopotany.

Kiedy był już blisko, wymamrotał:

— Moje uszanowanie panu baronowi, pani baronowej i pani wicehrabinie.

A widząc, że tamci milczą, dodał:

— To ja jestem Dezydery Lecoq.

Ponieważ to nazwisko nic im nie mówiło, baron zapytał:

— A czego chciałeś?

Widząc, że musi wyjaśnić, z czym przyszedł, chłopak zmieształ się do reszty. Miętoił w rękę czapkę i spoglądając na przemian to na nią, to na dach pałacu, wyjąkał:

— Bo to wedle tej sprawy, co mi wspominał ksiądz proboszcz...

Zamilkł z obawy, że powie za wiele i zaszkodzi swym interesom.

Baron nie rozumiejąc, o co idzie, pytał dalej:

— Jakiej sprawy? Ja o niczym nie wiem.

Wtedy tamten, zniżając głos, wyjaśnił:

— No, względem tej pokojówki... Rozalii...

Janina, domyśliwszy się, wstała i odeszła z dzieckiem na ręku, a baron powiedział:

— Podejdz no bliżej — i wskazał mu krzesło, z którego przed chwilą wstała córka.

Wieśniak usiadł natychmiast, mrużąc:

— Pan baron bardzo łaskawy.

I czekał, jak gdyby nie miał już nic do powiedzenia. Dopiero po chwili odezwał się znów, wznosząc oczy ku błękitnemu niebu:

— Jakoś pogoda sprzyja. Zboże powinno ładnie wzejść.

I zamilkł ponownie.

Baron, znieczepliwiony, od razu przystąpił do rzeczy, pytając sucho:

— Więc to ty żenisz się z Rozalią?

Chłop zmieszał się — taka obcesowość nie odpowiadała jego przebiegłej normandzkiej naturze. Zaniepokojony odparł nieco żywiej:

— To zależy; może tak, a może i nie, to zależy.

Ale baron, rozdrażniony tymi wykrętami, krzyknął:

— Do licha! odpowiadaj mi jasno: w tej sprawie przychodzisz czy nie w tej? Bierzesz ją czy nie bierzesz?

Wieśniak spoglądał na czubki swych butów nie wiedząc, co ma odpowiedzieć:

— Jeśli będzie tak, jak mówi ksiądz proboszcz, to ją biorę, a jeśli tak, jak mówi pan Julian, to jej nie biorę.

— A cóż ci powiedział pan Julian?

— Ano, pan Julian powiedział, że dostanę półtora tysiąca franków, a ksiądz proboszcz mówił, że dwadzieścia tysięcy! Na dwadzieścia tysięcy, to się godzę, ale na półtora, to nie.

Siedząc wygodnie w fotelu baronowa zaczęła się śmiać na widok trwożnej podstawy wieśniaka. Nie rozumiejąc tej

wesołości spojrzął na nią spode łba z niezadowoleniem i czekał.

Baron zażenowany tym targiem, uciał krótko:

— Powiedziałem księdzu proboszczowi, że dostaniesz fermę Barville w dożywocie, a potem przejdzie ona na dziecko. Ferma warta jest dwadzieścia tysięcy franków. Nie mam zwyczaju cofać tego, co powiedziałem. Więc jakże?

— Och, skoro tak, to nie mówię, że nie. O to mi się tylko rozchodziło. Jak mi ksiądz proboszcz powiedział o tym, to zgodziłem się od razu; chciałem też zadowolnić pana barona, bo wiedziałem, że mi to wynagrodzi. Tak to przecie jest między ludźmi: jak jeden drugiemu wygodzi, to tamten o tym pamięta. Ale potem przyszedł pan Julian i powiedział, że tylko półtora tysiąca. Więc sobie myślę: trza się dowiedzieć; no i przyszedłem. Nie o to, żebym nie wierzył panu baronowi, tylko że lepiej zawsze mieć pewność. Prawda, panie baronie?...

Chcąc powstrzymać ten potok wymowy, baron zapytał:

— A więc kiedy ślub?

Chłop zmieszał się i z powrotem stał się nieśmiały, a wreszcie bąknął z wahaniem:

— Bo tego... bo możemy najpierw spisać na papierze?

Tym razem baron się rozgniewał:

— Do kaduka! przecież dostaniesz ślubną intercyzę! Jeszcze ci mało?

Ale chłop się upierał:

— No tak, ale przedtem można by spisać, to nie zaszkodzi.

Baron wstał, żeby raz z tym skończyć:

— Decyduj się: tak czy nie. Jeśli nie, to mam już innego kandydata.

Przebiegły Normandczyk przeraził się i wyciągnął rękę jak po kupnie krowy:

— Niech pan baron przybije. Gałgan, kto nie dotrzymuje słowa.

Baron przybił i zawołał:

— Ludwino!

Kucharka wysunęła głowę przez okno.

— Proszę przynieść butelkę wina!

Trącono się kieliszkami, żeby oblać załatwioną sprawę. I wieśniak odszedł krokiem żwawszym, niż przyszedł.

O wizycie tej nie wspomniano Julianowi, a intercyzę sporządzono w wielkiej tajemnicy. Ogłoszono zapowiedzi i pewnego poniedziałku rano odbył się ślub.

Za nowożeńcami jedna z sąsiadek niosła do kościoła niemowlę, jako niezawodną rękojmię szczęścia. Nikogo to nie dziwiło; zazdrozczono tylko Dezyderemu Lecoq. — W czepku się rodził — mówiono ze złośliwym uśmiechem, ale bez oburzenia.

Julian urządził straszną scenę, która przyspieszyła wyjazd teściów z Peuples. Janina żegnała rodziców bez zbytniego smutku, gdyż Pawełek stał się dla niej niewyczerpanym źródłem szczęścia.

IX

Wobec tego, że Janina przysła już do siebie po połogu, postanowiono wybrać się z wizytą do Fourville'ów i do markiza de Coutelier.

Julian kupił na licytacji nowy jednokonny faeton, żeby mogli wyjeżdżać dwa razy w miesiącu.

W pewien pogodny dzień grudniowy zaprzężono doń i po dwóch godzinach jazdy poprzez normandzką równinę dotarli do płytkiej, uprawnej kotliny o zalesionych zboczach.

Miejsce obsianych pól zajęły łąki, a za nimi ciągnęły się bagna porosłe wyschlą o tej porze trzcina, której długie liście, podobne do żółtych wstążek, wydawały szelest.

Minęli zakręt i nagle wyłonił się przed nimi zamek de la Vrilllette, oparty z jednej strony o zalesione zbocze, a z drugiej zanurzony w olbrzymim stawie, na którego brzegu, u przeciwnego krańca, rozpościerał się las wysokich jodeł, wspinających się po przeciwnym zboczu kotliny.

Przejechali przez stary most zwodzony i przez szeroką bramę w stylu Ludwika XIII i znaleźli się na podwórcu, przed elegancką siedzibą z tej samej epoki, zbudowaną z kamienia, ujętego w obramowania z cegieł; po jej bokach wznosiły się wieżyczki, kryte łupkiem.

Julian objaśniał Janinie poszczególne części zamku, jak stały jego gość doskonale ze wszystkim obeznany. Czynił niejako honory domu, zachwycając się jego pięknnością:

— Spójrz tylko na bramę! Co za wspaniała siedziba, nieprawdaż? Przeciwniegi fasada wychodzi na staw. Do wody schodzi się po stopniach iście królewskiego tarasu. Przy brze-

gu przymocowane są cztery łodzie, dwie dla hrabiego i dwie dla hrabiny. Tam na prawo, gdzie rosną te topole, kończy się staw i zaczyna rzeka, która płynie aż od Fécamp. Pełno tu zwierzyny dokoła. Hrabia przepada za polowaniem. Oto rezydencja iście wielkopańska.

Drzwi wejściowe otworzyły się i ukazała się w nich blada hrabina. Szła na spotkanie gości uśmiechnięta i ubrana w powłóczystą suknię, jak dawne kasztelanki. Wydawała się rzeczywiście piękną Panią Jeziora, stworzoną na to, żeby zamieszkiwać ten zamek z bajki.

Salon miał osiem okien; cztery z nich wychodziły na staw i na ciemny las jodłowy, porastający przeciwległe wzgórze.

Niemal czarna zieleń drzew sprawiała, że staw wydawał się głęboki, ponury i dziki, a kiedy wiał wiatr, ich szum zdawał się być głosem bagniska.

Hrabina ujęła obydwie ręce Janiny, jak gdyby przyjaźniła się z nią od lat dziecinnych, posadziła ją i sama usiadła koło niej na niskim krzeselku, a Julian, w którym w przeciągu ostatnich pięciu miesięcy odżyły dawne eleganckie maniere, zabawiał je rozmową, uśmiechał się, uprzejmy i miły.

Wspominali z hrabiną wspólne przejażdżki. Śmiejąc się, nazywała go „rycerzem Niezgrabą“, podrwiwając z jego sposobu wsiadania na konia, a on, śmiejąc się również, mianował ją „królową Amazonek“. Nagle Janina krzyknęła, słysząc wystrzał za oknami. To hrabia polował na cyranki.

Żona zawołała go natychmiast. Stuknęły wiosła, łódź uderzyła o kamienny brzeg i ukazał się on sam, olbrzymi, w wysokich butach, a za nim dwa mokre psy, rudawe jak on, które ułożyły się na dywanie przed drzwiami.

We własnym domu wydawał się swobodniejszy, był zachwycony przybyciem gości. Kazał dorzucić dREW do kominka, po dać maderę i biszkopty; nagle wykrzyknął:

— Ależ prosimy zostać u nas na kolacji, koniecznie!

Janina, której ani na chwilę nie opuszczała myśl o dziecku, odmówiła; hrabia nalegał, a kiedy ona nie ustępowała, Julian uczynił nagle gest zniecierpliwienia. Bojąc się nawrotu jego

złego humoru i kłótni, przyjęła zaproszenie, zrozpaczona, że dopiero nazajutrz zobaczy Pawelka.

Spędzili czarujące popołudnie. Najpierw udali się do źródeł. Tryskały one z podnóża obrosłej mchem skały, w zagłębieniu, pełnym przejrzystej wody, której powierzchnia falowała nieustannie. Potem odbyli przejażdżkę łodzią, płynąc jakby jakimś korytarzem przecinającym las uschłego sitowia. Hrabia wiosłował, siedząc pomiędzy dwoma psami, węszącymi pod wiatr; każde uderzenie wiosła unosiło łódź do góry i posuwało ją naprzód. Janina zanurzała chwilami rękę w zimnej wodzie, a lodowaty chłód, biegnący od palców aż do serca, sprawiał jej przyjemność. W głębi łodzi Julian i hrabina, otuleni szalami, uśmiechali się nieprzerwanym uśmiechem ludzi zamilkłych ze szczęścia.

Nadchodził wieczór. Zeschłe trzciny drżały, wstrząsane dreszczem w podmuchach północnego wiatru. Słońce zniknęło za lasem, a czerwone niebo, usiane dziwacznymi purpurowymi chmurkami, mroziło samym swym widokiem.

Wrócili do przestronnego salonu, gdzie płonął olbrzymi ogień na kominku. Błogie uczucie ciepła przejęło ich radością już od progu. Hrabia, różweselony, porwał żonę w ramiona i unosząc ją do góry jak dziecko, ucałował mocno w oba policzki, w nagłym porywie radości człowieka prostodusznego.

Janina patrzyła z uśmiechem na tego dobrotliwego olbrzyma, któremu wasy nadawały wygląd wilkołaka, i myślała:

— Jak łatwo jest się pomylić sądząc ludzi według ich powierzchowności. I prawie bezwiednie przenosząc wzrok na Juliana, ujrzała go stojącego we drzwiach, straszliwie bladego, z oczyma utkwionymi w gospodarza. Zaniepokojona podeszła do męża i zapytała go cicho:

— Czyś ty nie chory? Co ci jest?

— Nic, daj mi spokój. Zmarzłem — odparł gniewnie.

Kiedy przeszli do jadalni, hrabia zapytał, czy może wpuścić psy; usiadły natychmiast po obu stronach swego pana. Co chwila podawał im jakiś kęs, gładząc ich długie, jedwabiste

uszy. A zwierzęta wyciągały głowy, machały ogonami, drżąc z zadowolenia.

Po kolacji, kiedy Julian i Janina mieli zamiar odjechać, pan de Fourville zatrzymał ich, żeby pokazać im połów ryb przy pochodniach.

Zostawił ich razem z żoną na tarasie prowadzącym do stawu, a sam wsiadł do łodzi ze służącym, niosącym sieć i zapaloną pochodnię. Noc była jasna i mroźna pod niebem usianym złotem.

Blask łuczywa zostawiał na wodzie smugi ognia, ruchliwe i dziwaczne, rzuczał tańczące błyski na trzciny, oświecał olbrzymią zasłonę drzew. I nagle, kiedy łódź zakręciła, ogromny fantastyczny cień, cień człowieka, zarysował się na oświetlonym skraju lasu. Jego głowa wznosiła się ponad drzewa, gubiąc się w niebiosach, a nogi zanurzały się w stawie. Po chwili olbrzymia ta postać wyciągnęła ręce, jak gdyby chciała zgarnąć parę gwiazd.

Łódź zatoczyła łagodnie półkole, a ogromne widmo przemknęło wzdłuż oświetlonego pochodnią lasu, zniknęło w ciemności i ukazało się znów na fasadzie zamku, mniejsze już, lecz bardziej wyraźne, wykonywając dziwaczne ruchy.

Rozległ się donośny głos hrabiego:

— Gilberto, mam ich osiem.

Wiosła uderzyły o wodę. Olbrzymi cień tkwił dalej nieruchomo na murze, lecz stawał się coraz mniejszy i chudszy, a kiedy poprzędzając służącego z pochodnią pan de Fourville stanął na stopniach tarasu, cień przybrał jego rozmiary, powtarzając każdy jego ruch.

W sieci trzepotało się osiem dużych ryb.

Kiedy Janina i Julian wracali do domu, otuleni w płaszcze i koce, które im pożyczono, Janina zauważyła bezwiednie:

— Cóż za miły człowiek z tego olbrzyma!

A Julian odparł powożąc:

— Tak, tylko że nie zawsze zachowuje się dosyć powściągliwie będąc w towarzystwie.

W tydzień potem udali się z wizytą do Coutelierów, którzy uważani byli za pierwszą rodzinę w całej prowincji. Ich posiadłość, Reminal, graniczyła z miasteczkiem Cany. Nowy zamek, zbudowany za czasów Ludwika XIV, ukryty był we wspaniałym parku, otoczonym murem. Ze wzgórza opodal widać było mury dawnego zamku. Lokaje w liberii wprowadzili przybyłych do imponującej sali. Pośrodku wznosił się rodzaj cokołu, na którym stała olbrzymia czara z serwskiej porcelany, a pod spodem, za kryształową płytką, umieszczony był list, pisany własnoręcznie przez króla, w którym ten prosił markiza Leopolda — Hervégo — Józefa — Germera de Varneville de Rollebosc de Coutelier o przyjęcie jego daru.

Janina i Julian oglądali ów królewski podarek, kiedy wszedł markiz z żoną. Ona była upudrowana, uprzejma z obowiązku i zmanierowana, chcąc uchodzić za przystępną. On, tęgi mężczyzna o siwych włosach, zaczesanych do tyłu, swymi gestami, głosem, całym swym zachowaniem dawał odczuć własną wielkość.

Byli to ludzie, których umysł, uczucia i słowa zdawały nie rozstawać się ze szczytami etykiety.

Mówili sami, nie słuchając odpowiedzi, uśmiechali się obojętnie i wydawali się spełniać obowiązek, nałożony im przez ich pozycję — przyjmowania uprzejmie drobnej szlachty okolicznej.

Janina i Julian, przygwożdżeni do miejsca, starali się zrobić jak najlepsze wrażenie, zażenowani, że pozostają zbyt długo, nie wiedząc, jak mają się wycofać: lecz markiza sama zakończyła wizytę, w sposób naturalny i prosty, przerywając w pewnym punkcie rozmowę, niby uprzejma królowa, żegnająca swych gości.

W drodze powrotnej Julian oświadczył:

— Jeśli chcesz, to możemy zaprzestać już dalszych wizyt; mnie osobiście wystarczy znajomość z Fourville'ami.

Janina zgodziła się z jego zdaniem.

Grudzień dłużył się — ów czarny miesiąc, posępny lej w głębi roku. Znowu rozpoczęło się życie pośród czterech ścian,

jak i poprzedniej zimy. Janina nie nudziła się jednak, ciągle zajęta Pawełkiem, na którego Julian spoglądał z boku, wzrokiem niespokojnym i niezadowolonym.

Nieraz trzymając go na ręku i zasypując pieścizotami, podsuwała go Julianowi, mówiąc:

— Pocałujże go, można by pomyśleć, że go nie kochasz.

Z wyrazem niesmaku dotykał wargami tysej główki malca, opisując nad nim całym ciałem łuk, aby przypadkiem nie dotknąć jego skurczonych, ruchliwych rączek. I szybko wychodził z pokoju, jakby gnany uczuciem wstrętu.

Czasem przychodził na obiad mer, doktor i proboszcz, a czasem Fourville'owie, z którymi łączyły ich coraz bliższe stosunki.

Hrabia zdawał się ubóstwiać Pawełka. Przez cały czas wizyty, a często przez całe popołudnie, trzymał go na kolanach. Dotykał go delikatnie swymi rękami olbrzyma. Łaskotał go w czubek nosa końcami długich wąsów i obsypywał pocałunkami tak, jak to robią matki. Stale cierpiał nad tym, że nie ma własnych dzieci.

Przyszedł marzec, pogodny, suchy i prawie łagodny. Hrabina Gilberta zaczęła znów mówić o spacerach konno, które mieli teraz odbywać we czwórkę. Janina znużona trochę długimi wieczorami, długimi nocami i długimi dniami, podobnymi do siebie, przyjęła z radością ten projekt i przez cały tydzień zabawiała się szykowaniem swej amazonki.

Rozpoczęły się wycieczki. Jeździli parami, hrabina z Julianem na przedzie, a hrabia z Janiną o sto kroków za nimi. Ci dwoje rozmawiali spokojnie, po przyjacielsku, gdyż zetknąwszy się ze sobą bliżej, oboje prawi i prostolinijni, zaprzyjaźnili się rzeczywiście. Za to hrabina i Julian często szeptali coś do siebie, to znów wybuchali głośnym śmiechem lub spoglądali na siebie, jakby chcąc wzrokiem wyrazić to, o czym milczały usta. I nagle ruszali przed siebie galopem, ogarnięci pragnieniem ucieczki, chcąc znaleźć się daleko, jak najdalej.

Po pewnym czasie Gilberta popadła w rozdrażnienie. Jej podniesiony głos dobiegał czasem uszu zapóźnionej pary jeźdźców. Hrabia uśmiechał się wtedy mówiąc:

— Moja żona wstaje czasem z łóżka lewą nogą.

Pewnego wieczora, kiedy w drodze powrotnej hrabina drażniła swą klacz, spinając ją ostrogą, to znów ściągając raptownie lejce, dał się słyszeć głos Juliana:

— Niech pani uważa, niech pani uważa, bo panią poniesie.

— No to co ? Cóż to pana może obchodzić? — odparła tonem tak dobitnym i twardym, że słowa jej rozległy się wyraźnie ponad polami, jakby zawisły w powietrzu.

Koń stawał dęba, wierzgał, pienił się. Hrabia, zaniepokojony, zawołał nagle donośnym głosem:

— Gilberto, uważaj-że!

Wtedy ona jakby na przekór, w przystępie rozdrażnienia, jakie widzi się czasem u kobiet i na które nie ma lekarstwa, uderzyła zwierzę brutalnie szpicrutą między uszy. Klacz stanęła na tylnych nogach, przednimi wymachując w powietrzu, a potem rzuciła się z furią naprzód i pomknęła przez równinę.

Minęła najpierw łąkę, a potem wydostała się na pola, wzbijając w powietrze grudki ziemi wilgotnej i tłustej. Pędziła z taką szybkością, że trudno było odróżnić wierzchowca od amazonki.

Julian stał w miejscu, wołając rozpaczliwie!

— Pani hrabino, pani hrabino!

Lecz hrabia wydał rodzaj pomruku i pochylając się nad karkiem swego ciężkiego konia, nagłym podaniem w przód całego ciała zmusił go do biegu. Kierował nim tak zręcznie, przynaglając go głosem i ostrogą, iż wydawało się, że olbrzymi jeździec unosi zwierzę pomiędzy swymi udami, podrywa je do góry, jakby chciał wzbiec się w powietrze.

Mknęli wprost przed siebie z niepojętą szybkością, a Janina widziała, jak te dwie sylwetki, męża i żony, oddalają się, oddalają, maleją, zacierają się i nikną, niby dwa ptaki, gubiące się w błękicie.

Julian nadjechał stępa i mruknął z wściekłością:

— Ona dziś oszalała!

I oboje ruszyli za przyjaciółmi, niewidocznymi w tej chwili, gdyż zagłębili się w kotlinie.

Po kwadransie ujrzeni ich zawracających i wkrótce przyłączyli się do nich.

Hrabia, czerwony, spocony, uśmiechnięty, zadowolony, triumfujący, przytrzymał żelazną dłoń dygocącego konia żony. Ona blada, z twarzą bolesną, skurczoną, jedną ręką wspierała się na ramieniu męża, jakby miała zemdleć.

Janina zrozumiała tego dnia, że hrabia jest do szaleństwa zakochany.

W ciągu następnego miesiąca hrabina była wesola, jak nigdy przedtem. Częściej przyjeżdżała do Peuples, śmiała się ciągle, zasypywała Janinę czułymi pocałunkami. Wydawało się, że żyje w jakimś tajemnym zachwycie. Jej mąż, uszczęśliwiony, nie spuszczał z niej wzroku i co chwila starał się dotknąć jej ręki czy sukni, coraz bardziej w niej zakochany.

Pewnego wieczora powiedział do Janiny:

— Przeżywamy teraz okres szczęścia. Nigdy jeszcze Gilberta nie była równie miła. Nie miewa już napadów złego humoru, nie wybucha gniewem. Czuję, że mnie kocha. A przedtem nie byłem tego pewien.

Również Julian wydawał się zmieniony, weselszy, bardziej cierpliwy, jak gdyby przyjaźń dwóch rodzin wniosła spokój i radość w życie każdej z nich.

Wiosna była niezwykle wczesna i upalna.

Od łagodnych poranków aż po spokojne, ciepłe wieczory słońce, grzejąc, wydobywało kiełki spod powierzchni ziemi.

Wszystko rozwijało się naraz bujnie, jakby naturę, pełną niecierpliwych soków, ogarnęła nagle pasja odradzania się, jakiej bywamy świadkami w pewne uprzywilejowane lata, i która mogłaby nasunąć nam przypuszczenie, że są okresy, kiedy świat się odmładza.

Janina czuła się dziwnie poruszona tą fermentacją życia. Doznawała nagłego wzruszenia na widok kwiatka pośród trawy, popadała w rozkoszne zamyślenia, miewała godziny miękkiego bezwładu.

Czasem znów wspominała z rozczuleniem pierwsze chwile swej miłości, nie żeby w jej sercu odezwało się z powrotem

uczucie dla Juliana, nie — to już było skończone, skończone na zawsze — lecz ciało jej, pieszczone delikatnymi podmuchami, pojone zapachem wiosny, ogarniał niepokój, jakby wyczuwało ono jakiś czuły zew.

Lubiła przebywać sama i wygrzewać się w słońcu, nie myśląc o niczym, przejęta nieokreślonym uczuciem błogości.

Pewnego ranka, podczas jednej z takich drzemek, przeszła ją nagle wizja, wizja owego słonecznego leja pośród ciemnego listowia, w lasku koło Étretat. Tam to przeniknął ją pierwszy dreszcz, kiedy siedziała obok młodego człowieka, który kochał ją wówczas; tam wyjawiał on jej po raz pierwszy swe nieśmiałe pragnienie; i tam również wydało jej się nagle, że otwiera się przed nią promienna przyszłość, o której marzyła.

Ogarnęła ją chęć, żeby zobaczyć znów ten las, odbyć do niego sentymentalną, przesadną pielgrzymkę, jak gdyby powrót do tego miejsca mógł zmienić w czymkolwiek bieg jego życia.

Julian wyjechał tego dnia o świcie, nie wiedziała dokąd. Kazała więc osiodłać małego siwka Martinów, na którym jeździła teraz czasem, i wyruszyła.

Był to jeden z owych spokojnych dni, kiedy nie drgnie żadna trawa, żaden liść; wszystko wydaje się na wieki zastygłe w bezruchu, jak gdyby wiatr zamarł. Rzekłbyś, że nawet owady znikają.

Słońce przytłaczało ziemię ognistym spokojem, który spływał na nią niepostrzeżenie złotawą mgłą; Janina jechała wolno, kołysząc się rytmicznie, szczęśliwa. Od czasu do czasu podnosiła oczy i patrzyła na mały obłoczek, nie większy od strzępka waty, płatek pary, zawisły w powietrzu, zapomniany, sam pośród niebieskiego nieba.

Skierowała się w dolinę, zstępującą ku morzu i ujętą przy brzegu w dwa wielkie łuki skalne, zwane bramami Étretat.

Strumienie światła padały na ziemię poprzez wątlą jeszcze zieleń. Błądząc po ścieżkach Janina szukała tamtego miejsca, lecz nie mogła go znaleźć.

Nagle, przecinając długą aleję, u samego jej wylotu dostrzegła dwa osiodlane konie, przywiązane do drzewa; poznała je natychmiast: były to wierzchowce Gilberty i Juliana. Samotność zaczęła jej już ciążyć, więc ucieszona tym niespodziewanym spotkaniem ruszyła klusem.

Kiedy była już przy koniach, czekających cierpliwie, jakby przyzwyczajone były do długich postojów, zaczęła nawoływać. Nikt jej nie odpowiedział.

Na zdeptanej trawie leżała damska rękawiczka i dwie szpicruty. A więc siedzieli tutaj, a potem musieli się oddalić zostawiając konie.

Czekała kwadrans, dwadzieścia minut, zdumiona, nie rozumiejąc, co mogą robić tak długo.

Zsiadła z konia, oparła się o pień drzewa i trwała nieruchomo, a dwa ptaszki, nie widząc jej, sfrunęły na trawę tuż obok. Jeden z nich podlatywał raz po raz, podskakiwał naokoło drugiego, tłukł skrzydełkami i kiwał główką, ćwierkocąc; i nagle zwarły się ze sobą.

Janina zdziwiła się, jakby to było dla niej coś nowego, a potem pomyślała: — Prawda, przecież to wiosna. — I nagle nasunęło jej się pewne podejrzenie. Spojrzała na rękawiczkę, szpicruty, przywiązane do drzewa konie — i skoczyła na siodło, ogarnięta nieprzewartą chęcią ucieczki.

Galopem wracała do Peuples. Umysł jej pracował: rozumowała, łączyła fakty, przypominała sobie pewne okoliczności. Jak mogła nie domyślić się wcześniej? Jak mogła niczego nie dostrzec? Nie zauważyć tak częstej nieobecności Juliana, jego dbałości o powierzchowność, dobrego humoru? Przypomniała sobie również nerwowe wybuchy Gilberty, przesadne pieszczoty, jakimi tamta ją obsypywała, i ów rodzaj błęgiego zadowolenia, w jakim wydawała się pogrążona od pewnego czasu, ku uszczęśliwieniu hrabiego.

Zwolniła biegu, musiała bowiem dobrze wszystko rozważyć, a szybka jazda mąciła jej myśli.

Kiedy minęło pierwsze wzburzenie, serce jej odzyskało całkowity spokój, wolne od zazdrości i nienawiści, lecz przepeł-

nione wzgardą. O Julianie nie myślała nawet; z jego strony nic jej już nie dziwiło; oburzała ją jednak podwójna zdrada hrabiny, jej przyjaciółki. Więc widać wszyscy ludzie są perfidni, pełni kłamstwa i fałszu. Łzy napłynęły jej do czu. Nasze złudzenia oplakujemy niekiedy równie boleśnie jak zmarłych.

Postanowiła jednak udawać, że nie wie o niczym, nie dopuszczać do siebie żadnych uczuć, oprócz miłości do Pawełka i rodziców, a innych ludzi tolerować ze spokojną twarzą.

Wróciwszy do domu, rzuciła się na synka, porwała go do swego pokoju i przez godzinę tuliła zapamiętale, nie mogąc się od niego oderwać. Julian wrócił na kolację uśmiechnięty, czarujący, pełen dobrych chęci.

— Czy ojciec i mateczka nie wybiorą się do nas w tym roku? — zapytał.

Tak mu była wdzięczna za ten miły odruch, że wybaczyła mu niemal odkrycie w lesie; i ogarnięta nagle gwałtownym pragnieniem zobaczenia jak najprędzej tych dwóch istot, najbliższych po Pawełku jej sercu, cały wieczór spędziła na pisaniu listu, chcąc przyspieszyć ich przyjazd.

Zapowiedzieli swój powrót na dwudziestego maja, a był już siódmy.

Oczekiwała ich z rosnącą niecierpliwością, jak gdyby — niezależnie od przywiązania, jakie żywiła dla nich jako córka — odczuwała jeszcze nieznaną jej dotąd potrzebę bliskiego kontaktu z istotami uczciwymi, potrzebę szczerej rozmowy z ludźmi nieskazitelnymi, których życie, uczynki, myśli i pragnienia zawsze były prawe.

Czysta duchem, doznawała teraz uczucia osamotnienia pośród tych, którzy ją otaczali — słabych, łatwo ulegających pokusom. I chociaż nauczyła się udawać, chociaż przyjmowała hrabinę z wyciągniętą ręką i uśmiechem na ustach, to jednak uczucie pustki i pogardy dla ludzi wzrastało w niej ciągle, a dobiegające co dzień jej uszu nowiny z okolicy wzmagaly jeszcze jej wstręt do rodzaju ludzkiego.

Córka Couillardów urodziła dziecko i miano wydać ją za mąż. Służąca Martinów, sierota, była w ciąży; piętnastoletnia

dziewczynka ze sąsiedztwa była w ciąży; pewna wdowa, biedna, kulawa i brudna do tego stopnia, że przezwano ją gnojkiem, była w ciąży.

Stale dowiadywała się o jakiejś nowej ciąży lub nowym wyburku jakiejś dziewczyny, mężatki, matki czy też jakiegoś bogatego farmera, ogólnie poważanego.

Upalna wiosna zdawała się przyspieszać krążenie soków żywotnych zarówno u ludzi jak u roślin.

Janina, której przygasłe zmysły milczały, a jedynie udreżone serce i sentymentalna dusza zdawały się odczuwać ciepłe, płodne podmuchy wiosny — rozmarzona, egzaltowana, wolna od pożądań, żyjąca fantazją, a umarła dla potrzeb cielesnych, dziwiła się pełna wstrętu, graniczącego z nienawiścią, temu ohydnemu zezwierzęceniu.

Parzenie się stworzeń oburzało ją teraz, jak gdyby było wykroczeniem przeciw naturze i, jeżeli miała żal do Gilberty, to nie o to, że zabrała jej męża, lecz o to, że i ona również wpadła w to błoto, w którym grzęzli wszyscy.

A przecież nie była jednym z tych prostaków podlegających najniższemu instynktom. Więc jak mogła zapominać się tak samo jak oni?

W dniu przyjazdu rodziców w Janinie odezwał się na nowo, ze wzmożoną siłą, wstręt do tych spraw, kiedy Julian opowiedział jej ze śmiechem, jako rzecz zupełnie naturalną i zabawną, że ubiegłego wieczoru (a nie był to dzień wypieku) piekarz, słysząc jakieś szelesty w piecu myślał, że przyłapie tam bezpańskiego kota, a tymczasem przyłapał żonę, która „wcale nie była zajęta wsadzaniem chleba“.

— Piekarz zatkał otwór pieca, tak że tamci omal się nie udusili; dopiero synek piekarski zaalarmował sąsiadów, bo widział, jak matka włożyła do pieca z kowalem — dodał.

— Ci dowcipnisie karmią nas chlebem miłości! Zupełnie jak w jakiejś opowieści Lafontaine'a! — powtarzał, śmiejąc się.

Janina nie śmiała teraz dotknąć chleba.

Kiedy dyliżans pocztowy zatrzymał się przed gankiem, a za szybą ukazała się rozpromieniona twarz barona, młoda kobieta

doznała głębokiego wzruszenia, gwałtownego porwywu uczucia, jakiego nie doświadczyła nigdy dotąd.

Lecz na widok mateczki przystanąła wstrząśnięta, bliska omdlenia. W ciągu sześciu miesięcy zimowych baronowa postarzała się o dziesięć lat. Jej olbrzymie, obwisłe policzki nabrały barwy purpurowej, jakby nabiegły krwią; wzrok wydawał się zagasły; kiedy chciała się poruszyć, trzeba ją było podtrzymać z obu stron; jej świszczący oddech wydobywał się z takim trudem, że otaczających ją ogarniało uczucie bolesnego zakłopotania.

Baron, widując ją codziennie, nie dostrzegał tych zmian, a kiedy skarżyła mu się na duszności i wzrastającą ociężałość, odpowiadał:

— Wydaje ci się, moja droga, od kiedy cię pamiętam, zawsze czułaś się tak samo.

Odprowadziwszy rodziców do ich pokoju, Janina poszła do siebie i poruszona do głębi, rozplakała się rozpaczliwie.

Potem odszukała ojca i rzuciła mu się na piersi, z oczyma pełnymi jeszcze łez:

— Och, jakże mamusia się zmieniła! Co jej jest, powiedz mi, co jej jest?

Zdziwił się bardzo i odparł:

— Co ci znów przyszło do głowy? Nie rozstawałem się z nią ani na chwilę i nie widzę żadnej zmiany! Zapewniam cię, że wygląda tak samo jak dawniej!

Wieczorem Julian rzekł do żony:

— Coś mi się wydaje, że z twoją matką jest krucho.

A kiedy Janina wybuchnęła łkaniem, zniecierpliwził się:

— Nie mówię przecież, że jest stracona. Ty zawsze byłaś przeczulona. Zmieniła się i tyle, to normalne w jej wieku.

Po upływie tygodnia Janina przestała o tym myśleć oswoiwszy się z wyglądem matki, instynktownie odsuwając od siebie obawy, jak zwykliśmy odsuwać od siebie egoistycznie wszelki lęk i troskę, które mogłyby zamącić nasz spokój wewnętrzny.

Chodzenie sprawiało baronowej taką trudność, że zaledwie pół godziny dziennie poświęcała teraz na spacer. Kiedy przeszła raz „swoją“ aleję, niezdolna już była do dalszej przechadzki i siadała na „swojej“ ławce. A czasem nie miała nawet dość sił, żeby dojść do końca alei, i prosiła wtedy:

— Zatrzymajmy się; moja hipertrofia podcina mi dziś nogi.

Rzeczy, które w roku ubiegłym przyprawiłyby ją o wybuch spazmatycznego śmiechu, teraz przyjmowała zaledwie z uśmiechem. Zachowała jednak doskonały wzrok i całe dni spędzała na czytaniu „Korynny“ lub „Rozmyślań“ Lamartina, a następnie kazała sobie przynosić szufladkę z „pamiątkami“. Stawiała ją obok siebie na krześle, wysypywała na kolana stare listy, drogie jej sercu, a później układała z powrotem, jedną po drugiej, te swoje „relikwie“, każdą z nich odczytawszy przedtem powoli. A kiedy była sama, zupełnie sama, całowała niektóre z nich, tak jak się całuje potajemnie włosy kochanych zmarłych.

Czasem wszedłszy niespodziewanie do jej pokoju Janina zastawała ją płaczącą, płaczącą gorzko.

— Co tobie, mateńko? — pytała.

A baronowa, westchnąwszy głęboko, odpowiadała:

— To wina moich relikwi. Człowiek powraca do tego, co kochał, a co minęło. Przypomina sobie ludzi, o których dawno już przestał myśleć. I nagle wydaje mu się, że znów widzi ich przed sobą, słyszy ich głos; to wstrząsające. Przekonasz się o tym sama, kiedyś.

Baron, ilekroć trafił na taką chwilę melancholii, mruzczał:

— Janinko, kochanie, jeżeli mi ufasz, to spal swoje listy, wszystkie swoje listy, i moje także, i matki, wszystkie. Nie ma nic straszliwszego, kiedy jest się starym, jak odgrzebywać własną młodość.

Lecz Janina również przechowywała swą korespondencję, przygotowywała „szkatułkę z relikwiami“, posłuszna, mimo iż we wszystkim różniła się od matki, jakby swego rodzaju dziedzicznemu instynktowi marzycielskiego sentymentalizmu.

Po paru dniach baron, mając do załatwienia pewną sprawę, wyjechał.

Pogoda była wspaniała. Łagodne noce, roziskrzzone od gwiazd, następowały po cichych wieczorach, pogodne wieczory po promiennych dniach, a promienne dni po olśniewających porankach. Mateczka czuła się lepiej. Janina, zapominając o miłostkach Juliana i obłudzie Gilberty, czuła się niemal szczęśliwa. Cała wieś przepojona była zapachami kwieciami; a spokojny ocean lśnił od rana do wieczora w słońcu.

Pewnego popołudnia Janina poszła z Pawelkiem na rękę w pole. Spoglądała to na synka, to na trawę upstrzoną kwiatami i pogrążając się w bezgranicznej szczęśliwości, całowała dziecko i tuliła je do siebie, a czasem, kiedy musnął ją pachnący oddech wsi, czuła, że ogarnia ją rozkoszny bezwład. Zaczęła marzyć o przyszłości syna. Co z niego wyrośnie? Chwilami pragnęła, aby stał się wielkim człowiekiem, sławnym, potężnym. To znów wołała, żeby został przy niej na zawsze, jako przywiązany, czuły syn. Kiedy górę brał marzycielski egoizm, życzyła sobie, żeby był tylko jej małym chłopcem, niczym więcej; lecz kiedy do głosu dochodził rozsądek, pragnęła, żeby zajął jakąś pozycję w świecie.

Usiadła nad rowem i zaczęła mu się przyglądać. Wydało się jej, że nigdy go jeszcze nie widziała. I zdumiała się nagle na myśl, że ta maleńka istotka urośnie, będzie chodzić pewnym krokiem, mieć zarost na twarzy i mówić dźwięcznym, męskim głosem.

Z dala dobiegło ją wołanie. Podniosła głowę. To Mariusz biegł ku niej. Pomyślała, że zapewne czekają na nią jacyś goście, i podniosła się niezadowolona, że jej przeszkadzono. Chłopak pędził jednak co siłą, a będąc już niedaleko zawołał:

— Pani baronowa zachorowała!

Wydało jej się, że kropla zimnej wody spływa jej wzdłuż pleców; szybkim krokiem ruszyła ku domowi sama nie wiedząc, co się z nią dzieje.

Z daleka już dostrzegła grupę ludzi zgromadzonych pod platanem. Rzuciła się naprzód, a kiedy tamci się rozstąpili, ujrza-

ła matkę, leżącą na ziemi, z głową wspartą na dwóch poduszkach. Twarz miała poczerniała, oczy zamknięte, a jej pierś, którą od lat dwudziestu podnosił nierówny, urywany oddech, znieruchomiła. Mamka wzięła dziecko z ramion młodej kobiety i odeszła z nim.

Janina, patrząc błędnym wzrokiem, pytała:

— Jak się to stało? W jaki sposób ona upadła? Niech ktoś idzie zaraz po doktora.

Odwróciwszy się, ujrzała księdza, który niewiadomo skąd dowiedział się o wypadku. Zakasując rękawy sutanny ofiarował jej swą pomoc. Ale ani ocet, ani woda kolońska, ani nacierania nie odniosły żadnego skutku.

— Trzeba ją będzie rozebrać i położyć do łóżka — powiedział ksiądz.

Dzierżawca Józef Couillard, stary Szymon i Ludwina chcieli przy pomocy księdza Picot przenieść baronową do zamku; lecz kiedy unieśli ją do góry, głowa jej opadła do tyłu, a suknia rozdarła się od ciężaru ciała, które z trudem zdołali dźwignąć. Janina zaczęła krzyczeć z przerażenia.

Dopiero umieściwszy ją w przyniesionym z salonu fotelu można ją było przenieść. Idąc krok za krokiem wnieśli ją po schodach do pokoju i położyli na łóżku.

Kucharka nie zdążyła jej jeszcze rozebrać, kiedy zjawiała się wdowa Dentu, tak samo jak ksiądz „zwęszywszy śmierć“, jak mówiła służba.

Józef Couillard wsiadł na konia i pomknął galopem po lekarza. Widząc, że ksiądz wybiera się po oleje święte, pielęgniarka szepnęła mu na ucho:

— Niech się ksiądz dobrodziej nie trudzi, ja znam się na tym — to już koniec.

Janina, przerażona, błagała o pomoc, nie wiedząc, co ma robić, w jaki sposób ratować matkę. Ksiądz na wszelki wypadek wyrzekł na głos formułkę rozgrzeszenia.

Dwie godziny spędzono w oczekiwaniu przy tym ciele fioletowym i bez życia. Janina łkała klęcząc, szarpana bólem i trwogą.

Kiedy we drzwiach ukazał się lekarz, wydało jej się, że wraz z nim zjawia się ratunek, pociecha, nadzieja. Rzuciła się ku niemu przerywanym głosem opowiadając wszystko, co wiedziała o wypadku.

— Przechadzała się jak co dzień... czuła się dobrze... nawet bardzo dobrze... na śniadanie zjadła rosół i dwa jajka... i nagle upadła... zrobiła się zupełnie czarna... i już się nie poruszyła... próbowaliśmy wszystkich środków, żeby ją przywołać do przytomności... wszystkich...

Zamilkła, pochwycawszy z przerażeniem dyskretny gest pielęgniarki, dającej lekarzowi do zrozumienia, że już wszystko skończone. Broniąc się jednak przed tą myślą, pytała trwożnie:

— Czy to niebezpieczne? Czy sądzi pan, że to niebezpieczne?

Tamten odparł wreszcie:

— Boję się, że... że to już koniec. Odwagi, pani hrabino, odwagi.

Otwierając ramiona, Janina upadła na łóżko matki. Zjawił się Julian. Stał osłupiały, bez słowa bólu czy rozpaczy, i widać było, że zaskoczyło go to zbyt nagle, żeby mógł w jednej chwili przybrać odpowiedni wyraz twarzy.

— Spodziewałem się tego — mruknął.

Wyjął chusteczkę, otarł oczy, klęknął, przeżegnał się i wymamrotał parę słów. Wstając, chciał podnieść również żonę, lecz ona obejmowała zwłoki i całowała je, leżąc na nich prawie. Trzeba było odrywać ją siłą. Robiła wrażenie obłąkanej.

Po godzinie pozwolono jej wrócić. Nie było już żadnej nadziei. Pokój przemieniono na kaplicę żałobną. Koło okna Julian rozmawiał po cichu z księdzem. Wdowa Dentu, siedząc wygodnie w fotelu, jak osoba przyzwyczajona do czuwania nad zmarłymi, która czuje się jak u siebie w domu nawiedzonym przez śmierć, zdawała się już drzemać.

Zapadała noc. Ksiądz podszedł do Janiny, ujął jej ręce i usiłował ją pokrzepić, zalewając niepocieszone jej serce potokiem pełnych namaszczenia pociech religijnych. Mówił o zgasłej, sławiąc ją w wyrazach uroczystych i pełen owego fałszywego

smutku księży, dla których trupy są dobrodziejstwem, oświadczył, że gotów jest spędzić noc na modlitwie przy ciele zmarłej.

Jednak Janina odmówiła poprzez łzy. Chciała być sama, zupełnie sama, w tę noc pożegnalną. Zbliżył się Julian:

— Ależ to niemożliwe, zostaniemy oboje.

Odmówiła ruchem głowy, nie mogąc wyrzec słowa. Na koniec wykrztusiła:

— To moja matka, moja matka. Chcę przy niej czuwać sama.

Lekarz szepnął:

— Nie trzeba się jej sprzeciwiać; pielęgniarka może zostać w sąsiednim pokoju.

Proboszcz i Julian zgodzili się, myśląc o wygodnym spoczynku w łóżku. Ksiądz Picot przyklęknął, odmówił modlitwę, podniósł się i wyszedł, mówiąc:

— To była święta kobieta — tym samym tonem, jakim mówił „Dominus vobiscum“.

Wówczas wicehrabia zapytał normalnym tonem:

— Może zjesz coś?

Milczała, nie uświadamiając sobie, że to do niej zwrócone były te słowa.

— Powinnaś coś zjeść, żeby pokrzepić się trochę — powtórzył.

— Poślij zaraz po ojca — odparła nieprzytomnie.

Wyszedł, żeby wyprawić posłańca do Rouen.

Zastygła w boleści, jakby czekała na to ostatnie sam na sam, aby dać się unieść wzbierającej fali rozpaczliwego żalu.

Cienie zaległy pokój, mrokiem przesłaniając postać zmarłej. Wdowa Dentu krążyła bezszelestnie biorąc do ręki jakieś niewidoczne przedmioty i ustawiając je, gdzie należy. Zapaliła dwie świece i ustawiła je ostrożnie u wezglowia, na szafce nocnej przykrytej białą serwetką.

Wydawało się, że Janina nic nie widzi, nic nie czuje, nic nie rozumie. Czekiła, żeby zostawiono ją samą. Wszedł Julian; był już po kolacji i zapytał ponownie:

— Czy nie zjadłabyś czegoś?

Odmówiła ruchem głowy.

Usiadł w milczeniu, z miną raczej zrezygnowaną niż smutną. Wszyscy troje siedzieli nieruchomo, jedno z dala od drugiego. Pielęgniarka pochrapywała chwilami, potem budziła się nagle.

Julian podniósł się wreszcie i zbliżył do Janiny:

— Czy chcesz zostać teraz sama?

Bezwiednie chwyciła go za rękę:

— Och tak, zostawcie mnie samą.

Pocałował ją w czoło i szepnął:

— Będę do ciebie zaglądał od czasu do czasu — i wyszedł z wdową Dentu, która przesunęła swój fotel do sąsiedniego pokoju.

Janina zamknęła drzwi i otworzyła na oścież oba okna. Owiał ją ciepły oddech wieczoru, pachnący sianem; w świetle księżyca rozpościerał się skoszony poprzedniego dnia trawnik.

Odczuła ten łagodny spokój boleśnie, jak ironię.

Podeszła z powrotem do łóżka, ujęła jedną z bezwładnych zimnych dłoni i zaczęła przyglądać się zmarłej.

Nie była już tak obrzmiała jak w chwili ataku, zdawała się spać teraz spokojniej niż kiedykolwiek; błyśnięcie płomienia świecy, chybotający się w podmuchach powietrza, przesuwał cienie po jej twarzy, ożywiając ją niejako, wywołując złudzenie ruchu.

Janina wpatrywała się w nią chciwie, ogarnięta falą wspomnień z odległego dzieciństwa.

Przypominała sobie odwiedziny mateczki w rozmownicy klasztornej; sposób, w jaki podawała jej ona torebkę pełną ciastek; mnóstwo drobnych szczegółów, faktów, pieśzcot, słów, ulubionych gestów; brzmienie głosu, zmarszczki koło oczu, kiedy się śmiała, głębokie westchnienie, z jakim siadała, zadyszana.

Pogrążona w tej kontemplacji, powtarzała w tępych zapaśniętaniu:

— Nie żyje — i cała groza tego słowa dotarła nagle do jej świadomości.

Ta, która tu leży, jej matka... mateczka... pani Adelajda nie żyje? Już się nie poruszy, nie będzie mówić, ani śmiać się, nie

siądzie już nigdy do obiadu naprzeciw ojczulka; nigdy już nie pewie: dzień dobry, Janinko... Umarła!

Gwoździami zabiją trumnę, zakopią ją i wszystko się skończy. Nie zobaczą jej więcej. Czy to możliwe? Jako? nie będzie już miała matki? Ta droga postać, tak bliska, pierwsza, jaka ukazała się naszym oczom, pierwsza, jaką objęły nasze ramiona, to źródło tkliwości, ta istota jedyna, matka, bardziej potrzebna sercu niż wszystkie inne istoty — zniknęła. Jeszcze tylko kilka godzin będzie mogła patrzeć na jej twarz, tę twarz nieruchomą i bez wyrazu, a później nie pozostanie już nic, nic prócz wspomnienia.

Upadła na kolana w przystępie rozpacz i mnąc kurczowo prześcieradło w rękach, ustami przywierając do łóżka, krzyknęła rozzwierającym głosem, który ugrzązł w pościeli:

— Mamusiu, mamusiu, moja kochana mamusiu!

Po chwili, czując, że ogarnia ją szaleństwo, jak w ową noc, kiedy uciekała przez zasypane śniegiem pola, podniosła się i podbiegła do okna, żeby się orzeźwić, odetchnąć świeżym powietrzem, innym niż to, które otaczało posłanie zmarłej.

Skoszony trawnik, drzewa, wydmy, morze wypoczywały w spokojnej ciszy, uśpione czułą pieśczętą księżycy. Trochę ukojenia spłynęło na Janinę i łzy zwolna zaczęły spływać jej po twarzy.

Podeszła do łóżka, usiadła i ujęła z powrotem dłoń matki, jak gdyby czuwała nad chorą.

Do pokoju wpadł jakiś owad, zwabiony blaskiem świec. Tłukł się o ściany jak piłka, fruując z jednego kąta w drugi. Janina wyrwana z kręgu swych myśli jego bzykaniem podniosła oczy, żeby go zobaczyć, lecz dostrzegła tylko jego cień, błędzący po suficie.

Po chwili ucichł. Wtedy do jej uszu dobiegło lekkie tykanie zegara i jeszcze inny, ledwie dosłyszalny szelest. To zegarek mateczki zostawiony przez zapomnienie w sukni, rzuconej na krzesło stojące przy łóżku, nie przestał chodzić. I nagle jakieś niejasne prównanie między zmarłą, a tym mechanizmem, który

nie przestał funkcjonować na powrót przeniknęło ostrym bólem serce Janiny.

Spojrzała, która godzina. Było dopiero pół do jedenastej — zdjął ją straszliwy lęk przed spędzeniem tu całej nocy.

Ogarnęły ją inne wspomnienia; z jej własnego życia — Rozalia, Gilberta — gorzkie rozczarowania. Więc nie ma nic, oprócz podłości, zgryzot, nieszczęść i śmierci? Wszystko zawodzi, kłamie, sprawia cierpienie i przynosi łąy. Gdzie szukać odrobiny spokoju i radości? Pewnie na tamtym świecie, kiedy dusza ma już za sobą okres próby ziemskiej! Dusza! Zaczęła rozmyślać nad tą niezgłębioną tajemnicą, przerzucając się od wyobrażeń poetyckich do innych równie niejasnych hipotez. Gdzież więc jest teraz dusza matki? Dusza tego ciała nieruchomego i zlodowaciałego? Może bardzo daleko? Gdzieś w przestrzeni? Lecz gdzie? Ulotniła się jak woń zeschłego kwiatu czy też błąka się, jak niewidzialny ptak, który wymknął się z klatki?

Wezwana do Boga czy też rozproszona pomiędzy nowopowstające byty?

Może jest bardzo blisko? W tym pokoju, obok tego martwego, porzuconego przez nią ciała! I nagle wydało się Janinie, że poczuła jakieś tchnienie, jakby dotknięcie ducha. Ogarnął ją lęk, okrutny lęk, tak gwałtowny, że nie śmiała się poruszyć, odechnąć, ani odwrócić, żeby spojrzeć za siebie. Serce biło jej gwałtownie.

Wtem ów niewidzialny owad znów zaczął krążyć po pokoju, objając się o ściany. Zadrżała od stóp do głów, a potem, poznawszy jego bzykanie, uspokoiła się nagle, wstała i odwróciła się. Jej wzrok padł na sekretarzyk, ozdobiony głowami sfinksów, ów sprzęt z relikwiami.

I nagle przyszła jej do głowy myśl dziwna i pełna czułości, żeby w tę ostatnią noc, kiedy czuwa przy matce, przeczytać stare listy, drogie sercu zmarłej. Wydało jej się, że spełni w ten sposób jakąś subtelną powinność córki, coś, czym sprawi przyjemność matce.

Były to listy dziadków, których wcale nie znała. Pragnęła wyciągnąć do nich ręce ponad ciałem ich córki, złączyć się z nimi w tę noc żałobną, jakby i oni cierpieli w nią również, utworzyć rodzaj tajemnego łańcucha tkliwości pomiędzy tamtymi zmarłymi sprzed wielu lat, tą, która dopiero co odeszła i nią samą, pozostającą jeszcze na ziemi.

Wstała, otworzyła sekretarzyk, z dolnej szuflady wyjęła kilkanaście pożółkłych paczuszek, starannie pociwianych sznurkiem i poukładanych obok siebie.

Posłuszna wyrafinowanej subtelności uczuć położyła je na łóżku, pomiędzy rękami baronowej i zaczęła czytać.

Były to stare listy, jakie znajduje się w rodzinnych sekretarzykach, listy pachnące przeszłością.

Pierwszy z nich zaczynał się: „Moje kochanie“, drugi „Moja śliczna wnusiu“, jeszcze inny: „Moja maleńka“, „Moja pieścizotko“, „Moja ubóstwiana córeczko“, „Moje drogie dziecko“, „Moja kochana Adelajdo“, zależnie od tego, czy zwracały się od małej dziewczynki do podlotka czy też do młodej mężatki.

Pełne były zwrotów tkliwych i dziecinnych, intymnych błahostek, wielkich i nieskomplikowanych wydarzeń domowych, pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia dla obcych: „Tatus ma grypę; pokojówka Hortensja sparzyła się w palec; zdechl kot Mruczek; ścięto jodłę, rosnącą po prawej stronie bramy; wracając z kościoła mamusia zgubiła książkę do nabożeństwa i przypuszcza, że ją ukradziono“.

Była w nich też mowa o ludziach nieznanym Janinie, lecz których nazwiska żyły niejasno w jej pamięci z czasów dzieciństwa.

Przyjmowała to wszystko jak rewelację i miała wrażenie, że odsłania się przed nią całe minione, ukryte, wewnętrzne życie mateczki. Spoglądała na jej ciało i nagle zaczęła czytać głośno dla zmarłej, jakby chciała ją rozerwać, pocieszyć.

A nieruchoma postać na łóżku wydawała się zadowolona.

Jeden po drugim kładła Janina przeczytane listy w nogach łóżka i pomyślała, że trzeba będzie włożyć je do trumny, tak jak kładzie się kwiaty.

Rozwiązała następną paczkę. Charakter pisma był tu inny. Zaczęła czytać: „Nie mogę już żyć bez twej pieczyoty. Kocham cię do szaleństwa“.

Nic więcej; bez podpisu.

Obracała list w rękę, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć. Adres brzmiał: „Jaśnie Wielmożna Pani baronowa Le Perthuis des Vauds“.

Otworzyła następny: „Przyjdź dziś wieczór zaraz po jego wyjściu. Będziemy mieli godzinę dla siebie. Ubóstwiam cię“.

Inny znów brzmiał: „Spędziłem obłądną noc, pożądając cię nadaremnie. Czuję twoje ciało w moich ramionach, twoje wargi pod moimi wargami, twoje oczy patrzyły w moje oczy. Porywał mnie nieprzytomny gniew na myśl, że w tej chwili ty śpisz u jego boku i on może uczynić z tobą, co zechce...“

Janina, zdumiona, nie mogła nic zrozumieć.

Co to miało znaczyć? Czyje, do kogo, od kogo były te listy miłosne?

Czytała dalej, stale napotykając namiętne wyznania, prośby o schadzki i o zachowywanie ostrożności, a przy końcu zawsze te same cztery słowa: „Pamiętaj, spal ten list“.

Wreszcie trafiła na jakiś banalny bilecik — przyjęcie zaproszenia na kolację — napisany tym samym pismem i opatrzony podpisem Paweł d'Ennemare. Był to ten sam człowiek, o którym baron jeszcze do tej pory nie mówił inaczej, jak: „mój kochany, stary Paweł“, a którego żona była najserdeczniejszą przyjaciółką baronowej.

Przez głowę Janiny przemknęło nagle podejrzenie, które natychmiast przeobraziło się w pewność. To był kochanek matki.

Ogarnął ją zamęt. Otrząsnęła ze siebie te haniebne kartki, niby jadowite żmije, podbiegła do okna i wybuchnęła straszliwym płaczem, od czasu do czasu wydając bezwiedne okrzyki, a później osunęła się bezsilnie na podłogę i kryjąc twarz w firankę, żeby nie słyhać było jej jęków, załkała pogrążona w bezdennej rozpacz.

Byłaby tak może spędziła całą noc, gdyby nie jakiś szmer w sąsiednim pokoju. Słyszac go poderwała się na nogi. Może

to ojciec? A wszystkie te listy leżały na łóżku i na podłodze! Wystarczyłoby, żeby otworzył jeden z nich. Miałby dowiedzieć się o tym? On!

Rzuciła się i garściami zgarniając te pożółkłe papiery, listy dziadków i listy kochanka, te, których nie czytała jeszcze i te, które spoczywały związane w szufladach sekretarzyka, wszystkie je wrzuciła do kominka. Następnie wzięła jedną ze świec palących się na nocnej szafce i podpaliła ten stos. Buchnął wysoki płomień, żywym, ruchomym blaskiem oświetlając pokój, łożę i ciało zmarłej. Na tle białej zasłony, zwieszającej się po obu stronach łóżka, zarysował się czarno drżący profil jej zastygłej twarzy i linie olbrzymiego ciała, przykrytego prześcieradłem.

Kiedy w głębi kominka pozostała już tylko kupka popiołu, Janina usiadła z powrotem przy otwartym oknie, jakby nie śmiała pozostawać dłużej przy zmarłej, i zaczęła płakać z twarzą ukrytą w dłoniach, pojękując żałośnie tonem bolesnej skargi:

— Och, mamusiu, mamusiu!

Nagle przeszła ją okrutna myśl:

— A jeżeli mateczka nie umarła, jeżeli popadła tylko w le-targiczny sen i podniesie się za chwilę, zacznę mówić?

Czy odkrycie straszliwego sekretu nie umniejszyło jej miłości do matki? Czy ucałowałyby ją tak jak dawniej, z nabożnym szacunkiem? Czy potrafiłaby ją kochać w ten sam sposób? Nie. To było niemożliwe. I świadomość tego rozdarła jej serce.

Noc bladła, gwiazdy gasły; nadchodziła chłodna godzina przedświt.

Księżyc zanurzał się w morze, którego powierzchnia mieniła się w jego blasku jak masa perłowa.

W Janinie odżyło wspomnienie owej nocy spędzonej przy oknie po przybyciu do Peuples. Jakże to było odległe, jakże się wszystko zmieniło od tego czasu, jakże inaczej myślała teraz o przyszłości!

Niebo oblało się różowością, radosną, zakochaną, czarującą. Janina patrzyła zdumiona, jakby to było coś niezmiernie dziwnego, na ten promienny rozkwit dnia, zadając sobie pytanie, czy to możliwe, żeby na ziemi, gdzie wstają podobne zorze, nie

było ani radości, ani szczęścia. Drgnęła słysząc, że ktoś otwiera drzwi. Był to Julian.

— I cóż, czy nie jesteś zbyt zmęczona? — zapytał.

Wyjąkała:

— Nie — szczęśliwa, że nie jest już sama.

— Idź się teraz położyć — powiedział.

Pocałowała matkę — długim, bolesnym, zrozpaczonym pocałunkiem i wyszła do swego pokoju.

Dzień upłynął na smutnych zajęciach, związanych ze śmiercią. Baron przyjechał wieczorem.

Plakał bardzo.

Pogrzeb odbył się nazajutrz.

Janina po raz ostatni dotknęła wargami lodowatego czoła zmarłej, ubrała ją i była obecna przy zamykaniu trumny, po czym wycofała się do siebie. Oczekiwano przyjazdu osób zaproszonych.

Pierwsza przybyła Gilberta i łkając rzuciła się na szyję przyjaciółki.

Przez okno widać było karety, wjeżdżające na dziedziniec. W westybulu rozbrzmiewały głosy. Do pokoju wchodziły jakieś nieznanne Janinie panie, ubrane na czarno. Markiza de Coustelier i wicehrabina de Briseville podeszły, by ją ucałować.

Nagle zauważyła, że ciocia Liza wśliznęła się za nią. Uścisnęła ją serdecznie, a stara panna omal nie zemdląła ze wzruszenia.

Wszedł Julian, w głębokiej żałobie, elegancki, przejęty swoją rolą, zadowolony z napływu gości. Szeptem zapytał o coś żonę i dorzucił poufnie:

— Przyjechała cała arystokracja, pogrzeb powinien wypaść bardzo dobrze.

I wyszedł, z powagą kłaniając się damom.

Tylko ciocia Liza i hrabina Gilberta towarzyszyły Janinie podczas ceremoniału pogrzebowego.

Hrabina ścisnęła ją co chwila, powtarzając:

— Moje biedne kochanie, moje biedne kochanie!

Hrabia de Fourville przyjechał po żonę i płakał, jak gdyby stracił własną matkę.

X

Nadeszły dni smutne i posępne; odejście bliskiego człowieka napełnia zawsze dom pustką, a widok przedmiotów, jakimi stale posługiwał się zmarły, przejmując bólem. Co chwila kładą się na sercu jakieś dręczące wspomnienia. Oto jej fotel, jej parasolka zostawiona w przedpokoju, jej szklanka, której pokójka nie sprzątnęła! To tu, to tam natrafia się na jakieś rzeczy: na nożyczki, rękawiczkę, książkę, której kartki noszą ślady jej ociężałych palców, na mnóstwo drobiazgów, które nabierają bolesnego znaczenia przez to, że przypominają mnóstwo drobnych faktów.

Wydaje się, że głos zmarłej dotąd brzmi nam w uszach; pragnęłoby się uciec dokądkolwiek, byle tylko uwolnić się od nieustępliwych wspomnień, zamieszkujących dom. Lecz trzeba pozostać w nim i cierpieć z innymi, którzy także pozostali.

Janinę dręczyła oprócz tego myśl o odkryciu, jakiego dokonała. Uginała się pod nim, a zmiażdżone jej serce nie mogło ozdrowieć. Ów straszliwy sekret potęgował w niej jeszcze uczucie samotności. Z utratą ostatniego złudzenia utraciła też resztę zaufania do ludzi.

Ojciec wyjechał niedługo, czując potrzebę ruchu, zmiany powietrza, wyjścia z mrocznego kręgu cierpienia, w którym się coraz bardziej pograżał.

A wielki dom, który pożegnał już wielu swoich panów, powrócił do spokojnego, uregulowanego życia.

Po pewnym czasie zachorował Pawełek. Janina była nieprzytomna, nie spała przez dwanaście nocy, nie brała prawie nic do ust. Dziecko wyzdrowiało; lecz ona nie potrafiła otrząsnąć

się z myśli, że mogło umrzeć. Co by ona wówczas zrobiła? Co by się z nią stało? I z wolna wśliznęło się do jej serca pragnienie, żeby mieć drugie dziecko. Poczęła o tym marzyć, tak jak dawniej, kiedy wyobrażała sobie, że będzie mieć dwoje dzieci, synka i córeczkę. Wkrótce stało się to jej obsesją.

Lecz od czasu sprawy z Rozalią żyła z Julianem w separacji. W ich sytuacji zbliżenie wydawało się wręcz niemożliwe. Julian kochał inną kobietę; wiedziała o tym, a przy tym na samą myśl o jego pieśczołach ogarniał ją wstręt. Gotowa była jednak przezwyciężyć się, byle tylko mieć jeszcze jedno dziecko, ale nie wyobrażała sobie, w jaki sposób stosunki pomiędzy nimi mogłyby znów się nawiązać. On przestał zwracać na nią uwagę, a ona byłaby umarła z upokorzenia, gdyby miała zdradzić mu swe pragnienia...

Byłaby więc może zrezygnowała z ich urzeczywistnienia, gdyby nie to, że co noc śniła się jej teraz jej córeczka; widziała ją bawiącą się z Pawełkiem pod platanem i czasem ogarniała ją chęć, żeby wstać i bez słowa wsunąć się do sypialni męża. Dwukrotnie nawet podeszła już do drzwi, lecz za każdym razem zawróciła, z sercem bijącym ze wstydu.

Baron wyjechał; mateczka nie żyła; nie miała już nikogo, kto mógłby jej poradzić, komu mogłaby się zwierzyć ze swych najskrytszych tajemnic.

Postanowiła więc udać się do księdza Picot i pod osłoną sakramentu pokuty podzielić się z nim swymi trudnościami.

Zastała go czytającego brewiarz w sadzie.

Po kilku minutach rozmowy o tym i owym wyjąkała, czerwieniąc się:

— Księżę proboszczu, ja... ja chciałabym się wyspowiadać.

Zdumiony poprawił okulary, żeby się jej lepiej przyjrzeć, a potem zaczął się śmiać:

— Nie zdaje mi się, żeby miała pani zbyt ciężkie grzechy na sumieniu.

Zmieszła się do reszty i odparła:

— Nie, lecz chciałabym prosić księdza o radę, a jest to sprawa tak... tak przykra dla mnie, że nie śmiem poruszyć jej w zwykłej rozmowie.

Momentalnie porzucił swój dobroduszny sposób bycia i przyjął uroczystą postawę kapłana:

— A zatem, moje dziecko, przejdźmy do konfesjonału.

Lecz ona powstrzymała go, niezdecydowana, odczuwając nagle pewne skrupuły na myśl, że miałyby mówić o tych krępujących rzeczach w skupionej ciszy pustego kościoła.

— Albo... nie, proszę księdza... ja mogę... mogę ostatecznie powiedzieć tu, co mnie sprowadza. Może przejdziemy do altanki i tam porozmawiamy?

Wolnym krokiem skierowali się w tamtą stronę. Janina szukała w myśli odpowiednich słów. Usiedli. Wtedy zaczęła jak na spowiedzi:

— Mój ojciec... — zawahała się, powtórzyła znów:

— Mój ojciec... — i zamilkła, zmieszana do reszty.

Widząc jej zakłopotanie ksiądz czekał cierpliwie z rękami splecionymi na brzuchu.

— Śmiało, moja córko. Mógłby kto pomyśleć, że się boisz — powiedział, żeby dodać jej odwagi:

Zdecydowała się nagle jak tchórz, który z zamkniętymi oczami rzuca się w niebezpieczeństwo:

— Mój ojciec, chciałabym mieć drugie dziecko...

Milczał, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Wtedy zaczęła tłumaczyć, płacząc słowa:

— Jestem teraz zupełnie sama na świecie; mój ojciec i mój mąż nie zgadzają się ze sobą; moja matka umarła, a... a...

Cicho, wzdrygając się, dokończyła:

— Niedawno omal nie straciłam syna! I co byłoby się ze mną wtedy stało?...

Zamilkła. Ksiądz, zdezorientowany, patrzył na nią.

— Słucham cię, moje dziecko. Nie powiedziałaś mi jeszcze dotąd, o co ci chodzi.

Powtórzyła:

— Chciałabym mieć drugie dziecko.

Uśmiechnął się, przyzwyczajony do tłustych żartów wiejskich — chłopci nie krępowali się wobec niego — i odparł, chytrze kiwając głową:

— To chyba tylko od pani zależy.

Podniosła na niego niewinne oczy i wyjąkała w zakłopotaniu:

— Ale... ale... ksiądz przecież rozumie, że od czasu... od czasu tego wydarzenia z pokojówką... mój mąż i ja żyjemy... żyjemy w całkowitej separacji.

Przyzwyczajony do rozwiązanych obyczajów wiejskich zdumiony był tym oświadczeniem, a potem wydało mu się nagle, że zrozumiał, o co naprawdę chodzi tej kobiecie. Spojrzał na nią spod oka życzliwie i ze współczuciem.

— Tak, tak, pojmuję panią doskonale. Rozumiem, że to... wdowieństwo pani ciąży. Jest pani młoda, zdrowa. Zresztą to naturalne, zupełnie naturalne.

I znów zaczął się uśmiechać, podchodząc do sprawy zgodnie ze swym usposobieniem wiejskiego proboszcza, lubiącego sprośne historyjki; klepiąc Janinę po ręce dodał:

— Ma pani do tego prawo, pełne prawo. Sam kościół dał je pani, uświęcając sakramentem małżeństwa to, co bez niego jest grzechem. Nie po to przecież jest pani mężatką, żeby żyć jak wdowa.

Z kolei ona nie zrozumiała w pierwszej chwili jego aluzji, a kiedy już stały się dla niej jasne, oblała się rumieńcem oburzenia i łzy napłynęły jej do oczu:

— Och, księżu proboszczu, co też ksiądz mówi? Ja przysięgam... przysięgam, że...

Łkanie zdławiło jej głos.

Zdziwiony, zaczął ją uspokajać:

— Ależ ja nie chciałem zrobić pani przykrości. Żartowałem tylko, to przecież nie grzech, kiedy się nie ma żadnych złych intencji. Ale może pani liczyć na mnie. Pomówię o tym z panem Julianem.

Nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć. Chciała uniknąć teraz jego pośrednictwa, gdyż bała się, że będzie ono nieostrożne

i niezręczne, lecz nie śmiała i wymknęła się z altany szepnąwszy:

— Dziękuję księdzu proboszczowi.

Minął tydzień. Spędziła go w trwodze i niepokoju.

Pewnego wieczora, przy kolacji, Julian spojrzął na nią w szczególny sposób, wyginając lekko wargi w uśmiechu, jaki widywała u niego, kiedy podrwiwał sobie z kogoś. Galanteria, z jaką zachowywał się w stosunku do niej, miała ledwo dostrzeżalny odcień ironii. Kiedy przechadzali się następnie aleją macezki, szepnęła jej do ucha:

— To podobno między nami zgoda?

Nic nie odpowiedziała. Spoglądała na ziemię, szukając wzrokiem prostej linii, niewidocznej już teraz prawie spod trawy. Był to ślad wydeptany ciężką stopą baronowej, który zacierał się tak samo jak wspomnienia.

Serce Janiny ścisnęło się smutkiem; czuła się zgubiona i samotna.

A Julian podjął:

— Co do mnie, to jestem z tego bardzo zadowolony. Nie chciałem ci się tylko narzucać.

Słońce zachodziło; powietrze było łagodne. Janinę dławili łzy. Czuła nieprzepartą potrzebę czułości, zwierzeń, bliskości kogoś oddanego. Rozwarła ramiona, padła na pierś Juliana i rozplakała się.

Zdziwiony spoglądał z góry na jej włosy, nie mogąc dojrzeć jej twarzy. Pomyślał, że widać kocha go jeszcze, i złożył na jej koku łaskawy pocałunek.

Milcząc wrócili do domu i spędzili razem noc.

I znów rozpoczęły się dawne ich stosunki. On traktował je jak obowiązek, który wypełniał nie bez przyjemności, a ona jako wstrętą konieczność, którą znosiła z przykrością, zdecydowana przerwać je z chwilą, kiedy ponownie zajdzie w ciążę.

Wkrótce jednak zauważyła, że pieczyoty Juliana były teraz inne niż dawniej. Bardziej może wyrafinowane, lecz mniej pełne. Zachowywał się jak ostrożny kochanek, a nie jak spokojny mąż.

Pewnej nocy, z ustami na jego ustach, szepnęła:

— Dlaczego nie dajesz mi się całkowicie, tak jak dawniej?

Roześmiał się drwiąco:

— Żebyś znów nie zaszła w ciążę!

Zadrżała:

— A dlaczego nie chcesz mieć więcej dzieci?

Znieruchomiał ze zdumienia:

— Co? Co ty mówisz? Oszalałaś chyba! Więcej dzieci? A to dobry pomysł! Jakby nie wystarczyło jednego, żeby napęłnić krzykiem cały dom, zajmować wszystkich swoją osobą i narażać rodziców na ciągłe wydatki. Więcej dzieci! Dziękuję!

Oplotła go ramionami, zaczęła całować i tulić, szepcząc:

— Och, błagam cię, pozwól mi raz jeszcze zostać matką.

Ale on rozgniewał się, jakby go uraziła:

— Nie pleć głupstw, dobrze?

Zamilkła, postanawiając jednak podstępem zdobyć szczęście, o którym marzyła.

Próbowała więc przedłużać pieścizoty, grając komedię namiętności, tuląc go do siebie kurczowo w uniesieniu, którego nie odczuwała. Używała wszelkich podstępów, lecz on pozostał panem siebie i ani razu się nie zapomniał.

Trawiona zaciekłym pragnieniem zostania matką, doprowadzona do ostateczności i gotowa na wszystko, żeby tylko osiągnąć swój cel, udała się ponownie do księdza Picot.

Kończył właśnie obiad; był bardzo czerwony, gdyż po jedzeniu krew uderzała mu stale do głowy. Ujrzawszy Janinę zawołał:

— No i jak tam? — ciekawy, jaki skutek odniosły jego pertraktacje.

Tym razem odpowiedziała mu natychmiast i bez trwożnej wstydlivosti:

— Mój mąż nie chce mieć więcej dzieci.

Proboszcz zwrócił się z ogromnym zainteresowaniem w jej stronę, gotów grzebać się z księżą ciekawością w sekretach alkowy, których roztrząsanie uprzyjemniało mu jego obowiązki spowiednika.

— Jak to? — zapytał.

Mimo swych postanowień, zmieszała się mocno, tłumacząc:

— No... po prostu... nie chce... nie chce... uczynić mnie matką.

Pomyślał chwilę, po czym spokojnym głosem, jakby mówił o zbiorach, zapowiadających się pomyślnie, nakreślił jej zręczny i dokładny plan działania:

— Moje dziecko, pozostaje pani tylko jeden sposób: wmówić mężowi, że jest pani w ciąży. Wtedy przestanie się on wystrzeżać i zajdzie w nią pani rzeczywiście.

Zaczerwieniła się po uszy, lecz zdecydowana na wszystko zapytała:

— A jeżeli mi nie uwierzy?

Ksiądz wiedział dobrze, jak należy postępować z mężczyznami.

— Niech pani rozpowiada wszystkim o swojej ciąży, to i on też w nią w końcu uwierzy.

I jakby chcąc rozgrzeszyć się, że podsunął jej ten fortel, dodał:

— Ma pani do tego prawo, bowiem Kościół uważa, iż jedynym celem pożycia małżeńskiego jest płodzenie potomstwa.

Zastosowała się do tej przebiegłej rady i w dwa tygodnie później powiedziała Julianowi, że zdaje się jej, iż zaszła w ciążę. Poderwał się na wiadomość:

— Niemożliwe! To nieprawda!

Podawała mu powody swego przypuszczenia. Lecz on uspokoił się nagle:

— Ba! poczekaj jeszcze. Przekonasz się, że nie.

Odtąd pytał ją każdego rana:

— No jak tam?

A ona odpowiadała stale:

— Bez zmian. Nie wydaje mi się, żebym się myliła mówiąc ci, że jestem w ciąży.

Zaczął się znów niepokoić, w równym stopniu zdumiony, co zrozpaczony i wściekły.

— Nic, ale to nic nie rozumiem — powtarzał — Niech mnie powieśz, jeśli wiem, jak się to mogło stać.

Po upływie miesiąca Janina zaczęła rozgłaszać wszędzie wielką nowinę, omijając jedynie — kierowana subtelnym i skomplikowanym uczuciem, zbliżonym do wstydu — hrabinę Gilbertę.

W pierwszej chwili zaniepokojenia Julian przestał zbliżać się do Janiny; po pewnym jednak czasie pogodził się — choć z wściekłością — z losem i oświadczywszy kiedyś: — tylko tego smarkacza jeszcze nam brakowało — znów zaczął odwiedzać sypialnię żony.

Przewidywania księdza spełniły się całkowicie. Zaszła w ciążę.

Nieprzytomna z radości zamykała teraz co wieczór drzwi do swego pokoju, ślubując w porywie wdzięczności dla nieokreślonego bóstwa, w które wierzyła, zachować odtąd dozoną czystość.

Znów czuła się prawie szczęśliwa, dziwiąc się, że tak szybko ucichł jej ból po śmierci matki. Wyobrażała sobie, że nic nie zdoła jej pocieszyć, a tymczasem wystarczyło dwa miesiące, żeby zabiłnić tę otwartą ranę. Pozostała tylko łagodna melancholia, cień smutku, kładący się na jej życie, w którym, jak sądziła, nic się już więcej nie mogło zdarzyć. Dzieci urosną, będą ją kochały, a ona zestarzeje się spokojnie, zadowolona, nie troszcząc się o męża.

Pod koniec września ksiądz Picot, w nowej sutannie, dopiero od tygodnia noszącej ślady plam, złożył w Peoples uroczystą wizytę, żeby przedstawić swego następcę, księdza Tolbiaca. Był to niski, chudy mężczyzna, wyrażający się z emfazą; jego zapadłe, podkrążone oczy wskazywały na to, że jest on gwałtownego usposobienia.

Dawny proboszcz został mianowany dziekanem w Goderville.

Perspektywa jego wyjazdu zasmuciła Janinę. Postać pocziwca wiązała ze wszystkimi jej wspomnieniami młodej mężatki. To on dawał jej ślub, on chrzczył Pawełka, on pochował baronową. Nie wyobrażała sobie Étouvent bez brzuchatego księ-

dza Picot, krążącego pomiędzy zagrodami; lubiła go, bo był wesoły i bezpośredni.

Mimo awansu, nie wydawał się zadowolony:

— Ciężko mi się rozstać z tymi stronami, bardzo ciężko, pani hrabino. Osiemnaście lat tu spędziłem. Och! parafia nie jest ani bogata, ani przykładna. Mężczyźni chodzą do kościoła tylko wtedy, kiedy muszą, a kobiety, kobiety nie dbają wcale o swą cnotę. Żadna dziewczyna nie wyjdzie za mąż, dopóki nie odbędzie pielgrzymki do Matki Boskiej Karmiącej, a kwiat pomarańczy bardzo tu jest tani. Ale mimo to pokochałem tych ludzi.

Nowy proboszcz czerwienił się i okazywał zniecierpliwienie. Nagle odezwał się:

— Jak ja tu będę, wszystko to będzie musiało się zmienić!

Wyglądał jak dziecko skłonne do gniewu — drobny, chudy, w sutannie zniszczonej, lecz czystej.

Ksiądz Picot spojrział nań z ukosa, jak zwykł to czynić w chwilach wesołości, i odparł:

— Widzicie, księżę proboszczu, musielibyście najpierw zakuć waszych parafian w łańcuchy, a obawiam się, że i to by nie pomogło!

Młody ksiądz odparł ostro:

— Zobaczymy!

Starszy uśmiechnął się i zażył szczyptę tabaki.

— Wiek ostudzi wasze zapędy, księżę proboszczu, a i doświadczenie zrobi swoje. A tymczasem oddalicie tylko od Kościoła resztę wiernych. Ludzie tutaj są wierzący, ale uparci jak kozły. Radzę wam postępować z nimi ostrożnie. Ja, ilekroć zauważę na kazaniu jakąś dziewczynę trochę zbyt okrągłą, mówię sobie: — Będzie o jednego parafianina więcej — i staram się wydać ją za mąż. Od grzechu ich ksiądz nie odwiedzie, ale może ksiądz zawsze odszukać winowajcę i dopilnować, żeby nie opuścił matki swego dziecka. Żeń ich, księżę proboszczu, żeń ich, a o resztę się nie troszcz.

Nowy proboszcz odparł twardo:

— Dajmy temu lepiej spokój; nasze poglądy są całkowicie różne.

Ksiądz Picot znów zaczął mówić o tym, jak trudno mu rozstać się z wioską, z morzem, które widział z okien prezbiterium, z małymi kotlinkami w kształcie leja, po których przechadzał się odmawiając brewiarz i patrząc na przesuwające się w dali okręty.

Po czym obaj księża pożegnali się. Starszy uściskał Janinę, która omal się nie rozpląkała.

W tydzień później ksiądz Tolbiac ponownie zjawił się w zamku. Mówił o zmianach, jakie wprowadza w parafii tak, jakby był władcą, obejmującym w posiadanie królestwo. Poprosił hrabinę, żeby nie zapomniała o niedzielnej mszy i żeby przystępowała do komunii w każde święto.

— Pani i ja — mówił — jesteśmy głowami parafii; powinniśmy nią rządzić i świecić zawsze przykładem. Tylko działając wspólnie zdobędziemy władzę i szacunek. Kiedy Kościół i pałac podadzą sobie rękę, wieś będzie musiała być im posłuszna.

Religijność Janiny opierała się całkowicie na uczuciu; jej wiara, jak u większości kobiet, graniczyła z marzeniami i jeżeli wypełniała jakieś obowiązki, nakładane przez Kościół, to przede wszystkim dlatego, że przyzwyczajono ją do tego w klasztorze, gdyż krytyczne poglądy barona dawno już obaliły jej przekonania religijne.

Ksiądz Picot zadowalał się tym, co mogła mu dać, i nigdy jej nie strofował, lecz jego następca zauważywszy jej nieobecność na nabożeństwie niedzielnym, przybiegł od razu, zaniepokojony i surowy.

Nie chciała zrywać z plebanią i ustąpiła, postanawiając okazywać gorliwość przez kilka pierwszych tygodni, żeby nie być nieuprzejmą.

Lecz zwolna przyzwyczała się chodzić do kościoła i zaczęła ulegać wpływowi tego wątlego księdza o władczej naturze i nieskazitelnej moralności. Podobały się jej jego wzloty mistyczne, jego egzaltacja. Poruszał w niej struny poezji religijnej, ukryte w duszy każdej kobiety. Jego nieustępliwa suro-

wość, pogarda dla świata i spraw ciała, niechęć do drobnostek zaprzętających umysł ludzkie, miłość do Boga, młodzieńcze niedoświadczenie, bezwzględność i nieugięta wiara przywodziły Janinie na myśl postaci męczenników; zboleła i rozczarowana pozwalała ovladnąć sobą srogiemu fanatyzmowi tego młodzieńszka, będącego sługą bożym.

Wskazywał jej drogę do Chrystusa pocieszyciela pouczając ją, że nabożna radość, płynąca z wiary, koi wszystkie cierpienia; a ona klękała pokornie przy konfesjonale, czując się małą i słabą wobec tego kapłana, wyglądającego na piętnastoletniego chłopca.

Wkrótce jednak znieciercierliwiała go cała wieś.

Twardy i surowy dla samego siebie, nie potrafił okazać najmniejszego pobłażania innym. Jedna rzecz przede wszystkim wzbudzała w nim gniew i oburzenie: miłość. Mówił o niej w swych kazaniach z pasją, bez osłonek, zwyczajem eklezjastów, zasypując swych prostodusznych słuchaczy grzmiącymi inwektywami przeciwko pożądliwości ciała; tupał nogami i drżał cały, opętany obrazami, które wywoływał w swym gniewie.

Chłopcy i dziewczęta rzucali sobie w kościele ukradkowe spojrzenia, a starzy wieśniacy, którzy lubią pożartować na te tematy, potępiali brak wyrozumiałości małego księdza wracając po nabożeństwie do domu w towarzystwie swych synów w niebieskich bluzach i żon w czarnych mantylach. Cała okolica była poruszona.

Opowiadano sobie o surowych pokutach, jakie zadawał, a kiedy zaczął odmawiać rozgrzeszenia dziewczętom, których cnota narażona została na szwank, do oburzenia dołączyły się kpiny; śmiano się podczas sumy, kiedy młodzież, zamiast przystępować do komunii razem z innymi, pozostawała w ławkach.

Niebawem zaczął tropić kochanków, żeby udaremnić ich schadzki, jak gajowy tropiący kłusowników. Polował na nich w księżycowe noce wzdłuż rowów, za stodołami, wśród zarośli trzciny nadbrzeżnej, na stokach pagórków.

Pewnego wieczoru spotkał parę, która na jego widok nie odsunęła się od siebie: obejmowali się wespół i idąc kamienistym parowem całowali się.

— Przestać mi natychmiast, prostaki jedne! — krzyknęła.

Chłopiec odwrócił się i odparł: —

— Niech się ksiądz zajmie swojemi sprawami, a nie miesza do cudzych.

Proboszcz podniósł parę kamyków i rzucił za nimi, jak rzuca się za psami.

Uciekli ze śmiechem, a w najbliższą niedzielę ksiądz wobec wszystkich zgromadzonych wymienił w kościele ich nazwiska.

Od tego czasu chłopcy ze wsi przestali chodzić do kościoła.

Każdego czwartku ksiądz bywał w pałacu na obiedzie, a czasem przychodził tam również w ciągu tygodnia, żeby porozmawiać ze swą penitentką. Janina egzaltowała się tak samo jak on, dyskutowała o sprawach ducha posługując się skomplikowanym arsenalem argumentów, używanych w dawnych sporach religijnych.

Przechadzali się aleją baronowej rozmawiając o Chrystusie i apostołach, Marii Pannie i Ojcach Kościoła, jak gdyby ich byli znali. Chwilami zatrzymywali się i oddawali się głębokim dociekaniom, błędząc po ścieżkach mistyki; ona gubiła się przy tym w poetyckich rozważaniach, a on, bardziej ścisły, rozumował jak człowiek opętany jedną myślą, który usiłowałby dowieść matematycznie kwadratury koła.

Julian odnosił się do nowego księdza z wielkim szacunkiem, powtarzając niejednokrotnie:

— Odpowiada mi ten ksiądz; nie uznaje kompromisów.

Spowiadał się i przystępował do komunii przy każdej okazji, szczerze dając przykład parafii.

Codziennie prawie odwiedzał teraz Fourville'ów, polował z hrabią, który nie mógł się już obejść bez jego towarzystwa, i towarzyszył hrabinie w spacerach konno, mimo deszczów i brzydkiej pogody.

— Uwzięli się z tą jazdą konną, ale mojej żonie dobrze to robi — mawiał hrabia.

Baron wrócił do Peoples w połowie listopada.

Janina nie zwierzyła mu się ze zmian, jakie w niej zaszły: z zażyłości z księdzem Tolbiakiem ani ze wlotów religijnych. Za pierwszym razem, kiedy zobaczył proboszcza, baron poczuł do niego od razu gwałtowną niechęć.

A gdy młoda kobieta zapytała go wieczorem:

— Jak ci się on podoba? — odparł:

— To inkwizytor! Musi być bardzo niebezpieczny.

A kiedy dowiedział się następnie od chłopów, z którymi żył w przyjaźni, o surowości młodego kapłana, jego gwałtowności i prześladowaniu praw i instynktów wrodzonych, zawrzał do niego nienawiścią.

On sam przypominał jednego z owych dawnych filozofów, wielbicieli natury — wzruszał się widokiem zwierząt łączących się ze sobą, korzył przed rodzajem panteistycznego bóstwa i odrzucał katolicką koncepcję jedyne Boga, który myślał jak mieszczanin, płonął gniewem jak jezuita i mściwy był jak tyran, Boga, który umniejszał w jego oczach twórczą siłę wszechświata, fatalną, nieograniczoną, wszechmocną, twórczą siłę, objawiającą się jednocześnie pod wieloma postaciami, jako życie, światło, ziemia, myśl, roślina, skała, człowiek, powietrze, zwierzę, gwiazda, Bóg i owad, twórcza siła, potężniejsza od woli poszczególnego stworzenia, rozleglejsza niż poszczególne rozumowanie, płodząca bez celu, bez przyczyny i bez końca pośród nieogarnionych przestrzeni, wielostronnie i zachowaniem wielorakości form, na zasadzie przypadku i zależnie od położenia słońc, ogrzewających światy.

Nic nie istniało poza nią, myśl i życie rozwijały się w niej jak kwiaty i owoce na drzewach.

Według niego więc rozmnażanie się było ogólnym prawem natury, aktem świętym, godnym szacunku, boskim, w którym wypełniała się niedocieczona i niezmierna wola Wszechistoty. I obchodząc zagrodę po zagrodzie rozpoczął namiętną walkę przeciw temu niewyrozumiałemu księdzu, prześladowcy życia.

Janina, zrozpaczona, zanosila modły do Boga, błagała ojca, żeby tego zaprzestał, lecz on odpowiadał jej stale:

— Trzeba zwalczać tych ludzi; to nasze prawo i nasz obowiązek. Oni nie mają w sobie prawdziwego człowieczeństwa.

I wstrząsając długimi, siwymi włosami powtarzał:

— Nie, nie mają w sobie człowieczeństwa; niezdolni są nic, ale to nic zrozumieć. Działają pod wpływem zgubnych idei. Są antycieleśni.

— Antycieleśni! — wykrzykiwał, jakby rzucał jakieś przekleństwo.

Książd wyczuł w nim nieprzyjaciela, lecz ponieważ chciał zachować władzę nad pałacem i młodą kobietą, hamował się, pewny ostatecznego zwycięstwa.

Opętała go teraz jedna myśl: odkrył kiedyś przypadkiem romans Juliana i Gilberty i postanowił ich rozłączyć.

Pewnego dnia odwiedził Janinę i po długiej rozmowie w tonie mistycznym zażądał od niej, żeby pomogła mu zwalczyć, wypełnić zło, krzewiące się w jej własnym domu, i ocalić dwie dusze, którym groziło niebezpieczeństwo.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi, i poprosiła o wyjaśnienie.

— Nie nadeszła jeszcze właściwa godzina — odparł. — Lecz powrócę tu niebawem.

I oddalił się niespodziewanie.

Zima dobiegała końca, zgniła zima, jak mówią na wsi, wilgotna i łagodna.

Po kilku dniach proboszcz powrócił i w sposób zawily zaczął opowiadać jej o haniebnym stosunku, łączącym dwoje ludzi, którzy powinni prowadzić się nienagannie.

— Obowiązkiem tych — mówił — którzy o tym wiedzą, jest położyć temu kres.

Po czym oddał się wzniosłym rozważaniom i ujawszy dłoń Janiny zaklinał ją, żeby przejrzała i przyszła mu z pomocą.

Tym razem zrozumiała, lecz milczała, przerażona myślą o przykrych następstwach, jakie mogły zamącić spokój panujący obecnie w jej domu; udawała więc, że nie wie, co chciał powiedzieć. Wówczas przestał się wahać i zaczął mówić otwarcie.

— Pani hrabino, obowiązek, jaki muszę wypełnić, jest bardzo przykry, lecz nie wolno mi się od niego uchylać. Urząd, jaki piastuję, nie pozwala mi zostawiać pani w nieświadomości tego, czemu mogłaby pani zapobiec. Niechaj więc pani wie, że mąż jej utrzymuje grzeszny stosunek z panią de Fourville.

Spuściła głowę, zrezygnowana i bezsilna.

Ksiądz podjął:

— Co zamierza pani teraz uczynić?

— Co miałabym uczynić, księże proboszczu? — wyjąkała.

— Przeciwstawić się tej występnej namiętności — odpowiedział gwałtownie.

Zaczęła płakać i głosem nabrzmiałym rozpaczą zawołała:

— Ależ on zdradził mnie już kiedyś z pokojówką; on mnie nie słucha, nie kocha mnie, gniewa się na mnie, ilekroć chcę zrobić coś wbrew jego woli. Cóż ja mogę teraz poradzić?

Nie odpowiedział jej wprost, wykrzykując:

— Ach, więc pani się zgadza? Ustępuje pani, przyzwala! W swoim własnym domu toleruje pani cudzołóstwo! Na pani oczach dokonywa się występki, a pani tylko wzrok odwraca? Taka z pani małżonka? Chrześcijanka? Matka?

— Co ja mam uczynić? — łkała.

— Wszystko raczej, niż pozwolić na taką ohydę, — odparł.

— Wszystko, powiadam. Porzuć go pani. Uciekaj z tego splugawionego gniazda.

— Ależ ja nie mam pieniędzy, proszę księdza proboszcza, ani odwagi — odpowiedziała. — A przy tym jak mogę go porzucić nie mając dowodów zdrady? Nie mam nawet prawa.

Podniósł się drżący z gniewu:

— Tchórzy pani! Inne miałem o pani wyobrażenie! Nie godna jesteś pani miłosierdzia bożego!

Padła mu do nóg:

— Och, błagam, niech mnie ksiądz nie opuszcza! Niech mi ksiądz coś poradzi!

— Niech pani otworzy oczy hrabiemu de Fourville. Jego rzeczą jest przerwać te stosunki! — odparł krótko.

Na myśl o tym ogarnęło ją przerażenie.

— Ależ on by ich zabił, księżu proboszczu! A ja popełniłabym denuncjację! Och! nie, nigdy!

Podniósł do góry rękę, jakby miał rzucić na nią przekleństwo, i krzyknął w gniewie:

— Więc tkwij dalej w występku i wstydzie! Wina twoja większa jest jeszcze od ich winy! Jesteś pani małżonką tolerującą grzechy męża! Nie ma już dla mnie nic do roboty w tym domu!

I odszedł dygocąc w pasji.

Wybiegła za nim zrozpaczona, gotowa ustąpić, ze słowami przyrzeczenia na ustach. Lecz on, drżąc z oburzenia, szedł szybkim krokiem, z wściekłością wymachując niebieskim parasolem, niemal tej samej wysokości, co on.

Z daleka ujrzał Juliana stojącego przy bramie i pilnującego ścinania gałęzi, skręcił więc na lewo ku fermie Couillardów, powtarzając:

— Proszę mnie zostawić w spokoju, pani hrabino. Nie mam pani już nic więcej do powiedzenia.

Po drodze, na środku podwórza, natknął się na gromadkę dzieci, zebranych koło psiej budy i przypatrujących się czemuś z zainteresowaniem, w milczeniu pełnym skupienia. Pośród nich baron, z rękoma skrzyżowanymi na plecach, przyglądał się z równą ciekawością. Można go było wziąć za nauczyciela. Lecz na widok zbliżającego się księdza odszedł, żeby uniknąć spotkania z nim, przywitania i rozmowy.

Janina mówiła błagalnie:

— Księżu proboszczu, proszę zostawić mi kilka dni do namysłu i przyjść potem. Opowiem księdzu, co zdołałam zrobić przez ten czas, co przygotowałam, i zastanowimy się nad dalszym planem działania.

Dochodzili właśnie do gromadki dzieci; ksiądz zbliżył się do nich, żeby zobaczyć, co je tak mocno zajmuje. To suka wydała na świat młode. Przed budą kręciło się już pięcioro szceniąt, a biedna matka leżąc na boku lizała je czule.

W chwili, kiedy ksiądz pochylał się nad nim, zwierzę wyprężyło się i ukazało się szóste szczeniátko.

Dzieci zaczęły wtedy klaskać w dłonie z radości:

— Jeszcze jeden piesek, jeszcze jeden piesek!

Traktowali to jak zabawę, rzecz zupełnie naturalną i nie mającą w sobie nic nieprzyzwoitego. Przyglądali się tym rodzinom, jakby patrzyli na spadające jabłka.

Ksiądz Tolbiac osłupiał w pierwszej chwili, a później ogarnięty niepohamowanym gniewem, wznosił do góry swój wielki parasol i ze wszystkich sił zaczął bić nim po głowach dzieci. Przerażona gromadka rozpierzchła się w oka mgnieniu, a ksiądz znalazł się nagle naprzeciwko suki, która próbowała wstać. Lecz on nie pozwolił jej dźwignąć się i jak szalony zaczął okładać ją parasolem. Szamotała się na łańcuchu, nie mogąc uciec i skomlała straszliwie. Złamał parasol. Wtedy, nie mając czym bić, wskoczył na nią i zaczął deptać z wściekłością, gnieść i miażdżyć. Pod naciskiem jego butów ostatnie szczenię wysunęło się z jej łona, a rozjuszony ksiądz dobijał obciami drgające, pokrwawione ciało, otoczone niezgrabnymi szczeniętami, które piszczwały szukając sutek.

Janina uciekła; lecz nagle ksiądz uczuł, że ktoś chwycił go za kark i wymierzył mu policzek, strącając na ziemię jego trójkątny kapelusz. Doprowadzony do pasji baron dowlókł go do bramy i wypchnął na drogę.

Odwracając się pan de Perthuis zobaczył, że jego córka kłęczy wśród szceniąt i z płaczem zbiera je do sukni.

Podszedł do niej wielkimi krokami i zawołał gestykulując:

— Oto masz księży! Widziałaś, do czego są zdolni?

Przybiegli dierzawcy i wszyscy przyglądali się zameczonemu zwierzęciu, a matka Couillard oświadczyła:

— Nie ma chyba drugiego takiego złego człowieka na świecie!

Janina zabrała siedmioro szceniąt postanawiając je wychować.

Próbowano dawać im mleko, lecz troje z nich zdechło następnego dnia. Stary Szymon szukał po całej wsi karmiącej

suki. Nie znalazł takiej, lecz przyniósł do domu kotkę, twierdząc, że potrafi ją ona zastąpić. Troje szczeniąt utopiono, a ostatnie powierzono tej obcej żywicielce. Przyjęła je natychmiast i kładąc się na boku zaczęła je karmić.

Po dwóch tygodniach odstawiono je, żeby nie męczyło zbyt-
nio przybranej matki, a Janina podjęła się karmić je butelką. Nazwała je Toto. Ale baron zmienił to imię i ochrzcił je Pogrom.

Proboszcz nie pokazał się więcej, lecz w najbliższą niedzielę miotał z ambony groźby i przekleństwa na zamek. Mówił o wrzodach, które trzeba wypalić żelazem, złorzeczył baronowi, którego to bawiło, i robił — na razie nieśmiało — aluzje do nowego romansu Juliana. Wicehrabia wpadł we wściekłość, lecz obawa straszego skandalu kazała mu stłumić gniew.

Odtąd na każdym kazaniu ksiądz zapowiadał swą zemstę gło-
sząc, iż nadejdzie godzina sprawiedliwości, kiedy wszyscy jego nieprzyjaciele zostaną ukarani.

Julian napisał do arcybiskupa list, pełen szacunku, lecz stanowczy. Księdzu Tolbiacowi zagrożono niełaską. Wtedy zamilkł.

Widywano go teraz często, jak odbywał samotne spacer-
y, wyciągniętym krokiem, z wyrazem egzaltacji na twarzy. Gilberta i Julian spotykali go często na swych przejażdżkach. Raz ukazywał im się jako mały czarny punkt przy końcu do-
liny lub na skałach nadbrzeżnych, to znów dostrzegali go, jak czytał brewiarz w jakimś wąskim parowie, w którym zamierzali się zagłębić. Skręcali wówczas, żeby nie przejeżdżać koło niego.

Nadeszła wiosna potęgując ich miłość, rzucając ich sobie w ramiona i każąc im szukać kryjówek.

Listowie drzew było jeszcze zbyt wątłe, a trawa wilgotna. Nie mogli też jak latem zanurzać się w zarośla, więc najczęściej chronili się w wędrownej budzie jakiegoś pasterza, pozostawionej jesienią na szczycie zbocza Vaucotte.

Stała samotnie na skale wysokości pięciuset metrów, w miejscu, gdzie ta opadała stromo ku dolinie. Nikt ich tam nie mógł zaskoczyć, gdyż widzieli stamtąd całą okolicę; konie, przywiązane do dyszla, czekały, aż znużą się pocałunkami.

Lecz pewnego dnia opuszczając tę skrytkę dojrzeli księdza Tolbiaca, siedzącego na ziemi, niewidocznego niemal spoza trzcin.

— Trzeba będzie zostawiać konie w wąwozie — powiedział Julian — gdyż mogłyby nas zdradzić z daleka.

I od tego czasu przywiązywali konie w załomie doliny, zarosłym krzakami.

Pewnego wieczoru wracając do Vrilette, gdzie hrabia czekał na nich z kolacją, spotkali księdza z Étouvent, jak wychodził z zamku. Usunął się, żeby ich przepuścić i ukłonił się nie patrząc im w oczy.

Zdjął ich niepokój, lecz zaraz przestali o tym myśleć.

Pewnego popołudnia, podczas silnej wichury (było to z początkiem maja). Janina czytała przy kominku, kiedy nagle ujrzała hrabiego de Fourville, który szedł w stronę pałacu pieczo i z taką szybkością, iż pomyślała, że stało się jakieś nieszczęście.

Zeszła na dół, żeby go przyjąć, a kiedy znalazła się na przeciw niego, wydało jej się, że oszalał. Na głowie miał futrzaną czapkę, którą nosił tylko u siebie, ubrany był w myśliwską kurtkę i tak błady, że jego rude wąsy, które zazwyczaj nie odbijały od jego czerstwej cery, teraz przypominały dwa płomienie. Wzrok miał błędny.

— Moja żona jest tutaj, prawda? — wyjąkał.

Janina, tracąc głowę, odparła:

— Nie, wcale jej dziś nie widziałam.

Usiadł, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa; zdjął czapkę, mechanicznym ruchem otarł kilka razy czoło chustką, a potem zerwał się gwałtownie i podszedł ku młodej kobiecie z wyciągniętymi rękami i otwartymi ustami, jakby chciał coś

powiedzieć, zwierzyć się jej z jakiegoś straszliwego cierpienia; lecz zatrzymał się, utkwił w niej nieruchome spojrzenie i odezwał się nieprzytomnie:

— Przecież to pani mąż... pani również...

I wybiegł udając się w kierunku morza.

Janina chciała go zatrzymać; wołała go, błagała, myśląc z sercem ściśniętym trwogą:

— Wie o wszystkim! Co teraz uczyni? Och! żeby ich tylko nie znalazł!

Nie mogła go jednak dogonić, a na jej wezwania nie zważał. Szedł przed siebie bez wahania, pewny swej drogi. Przesadził rów, minął pas zarośnięty sitowiem i dotarł do skał przybrzeżnych.

Janina, stojąc na wzgórzu porośłym drzewami, śledziła go wzrokiem; później, tracąc go z oczu, wróciła do domu pełna lęku. A on skręcił na prawo i zaczął biec. Morze było wzburzone; ciężkie, czarne chmury nadpływały z szaloną szybkością, mijaly, a za nimi nadciągały inne, siekąc ziemię ulewnym deszczem. Wiatr świszczwał, zawodził, gwałcił trawy i młode zboża i gwałcił w głąb lądu białe ptaki, podobne do płatków piany.

Grad smagał twarz hrabiego, szumem wypełniając mu uszy i zgięciem serce; krople wody spływały mu po policzkach i wąsach.

Przed nim otwierała głęboką gardziel dolina Vaucotte. Nie dzieliło go od niej nic prócz chatki pastucha i pustego ogrodu dla owiec. Dwa konie stały przywiązane do dyszla ruchomego domku. Kogóż mogli obawiać się w taką burzę?

Zobaczywszy konie hrabia położył się na ziemi i zaczął się czolgać, podobny do jakiegoś potwora: wielki, pokryty błotem, w futrzanej czapie na głowie. Dotarł aż do samotnej chatki i ukrył się pod nią, żeby nie dostrzeżono go przez szpary w deskach.

Na jego widok konie zaczęły się niepokoić. Nożem, który trzymał w ręku, przeciął wolno cugle, a oba wierzchowce pomknęły, smagane wichrem i gradem, który bił w pochyły dach drewnianego domku, aż ten drżał na swych kołach.

Wówczas hrabia, dźwignąwszy się na kolana, przywarł twarzą do szczeliny pod drzwiami i zajrzał do wnętrza.

Trwał bez ruchu zdając się na coś czekać. Upłynęła długa chwila; wtem zerwał się, ubłocony od stóp do głów. Z wściekłością zasunął rygiel, zamykający drzwi z zewnątrz i chwytając za dyszle zaczął wstrząsać tą klatką, jakby chciał roztrzaskać ją na kawałki. Nagle zaprzął się do niej i zginając w rozpaczliwym wysiłku swą olbrzymią postać, zaczął ciągnąć ze wszystkich sił, dysząc ciężko, aż zaciągnął wędrowny dom wraz z zamkniętymi w niej ludźmi na sam skraj wzgórza.

Tamci krzyczeli, bili pięściami w zamknięte drzwi, nie rozumiejąc, co się stało.

Kiedy znaleźli się na krawędzi, hrabia puścił ów lekki wózek, który zaczął zsuwać się po pochyłości.

W miarę, jak nabierał rozpędu, toczył się coraz szybciej, podskakując, potykając się jak zwierzę, uderzając dyszlami o ziemię.

Przemknął nad głową jakiegoś skulonego w rowie żebraka, który usłyszał wydobywające się z niego straszliwe krzyki.

Nagle, zawadziwszy o coś, utracił jedno koło i przewracając się na bok, zaczął koziółkować jak dom, który by strącono z wierzchołka góry. Kiedy znalazł się na brzegu ostatniego parowu, zakreślił w powietrzu łuk i uderzając o kamieniste dno rozbił się jak jajko.

Stary żebrak zaczął wtedy schodzić na dół przedzierając się powoli przez zarośla; kierując się chłopską ostrożnością wolał nie zbliżać się do rozbitego pudła i udał się od najbliższej fermy, żeby powiadomić o tym, co się stało.

Zbiegli się ludzie i podnieśli szczątki. Zobaczyli dwa ciała. Były potłuczone, zmiażdżone, krwawe. Mężczyzna miał rozbិតą czaszkę i strzaskaną twarz. Kobiecie zwisiała szczęka; ich połamane członki były miękkie, jakby bez kości.

Poznano ich jednak i zaczęto dociekać przyczyny nieszczęśliwego wypadku.

— Co oni tam mogli robić w tej budzie? — zapytała jedna z kobiet.

Wtedy stary żebrak zaczął opowiadać, że schronili się tam pewnie przed deszczem, a wichura musiała przewrócić chatkę i zepchnąć ją ze zbocza. I wyjaśnił, że on sam miał zamiar tam się schować, ale widząc przywiązane do dyszla konie domyślił się, że ktoś go uprzedził.

I z zadowoleniem dodał:

— Gdyby nie to, już byłoby po mnie.

— Może by się i lepiej stało? — odezwał się jakiś głos.

Wtedy pocziwiec wpadł w straszny gniew:

— Dlaczego lepiej? Że ja jestem biedny, a oni bogaci? Przypatrzcie się im teraz...

I drżący, obdarty, ociekający wodą, brudny, z rozczochraną brodą i długimi włosami, wymykającymi mu się spod pogniecionego kapelusza, wskazywał końcem zakrzywionej laski dwa trupy:

— *Tam* wszyscy jesteście równi — oświadczył.

Nadeszli inni chłopci i przyglądali się spode łba, wzrokiem niespokojnym, wystraszonym, egoistycznym i tchórzliwym. Zaczęto radzić, co należy robić, a spodziewając się nagrody postanowiono odstawić zwłoki do zamków.

Zaprzeżono więc do dwóch wózków. Wyłoniła się jednak nowa trudność. Jedni chcieli, żeby podesłać tylko trochę słomy na dno, a inni byli zdania, że trzeba podłożyć sienniki.

Ta sama kobieta, która już przedtem zabierała głos, zawołała:

— Ubrudzą tylko krwią i trzeba je będzie potem chlorkować!

Wtedy jakiś gruby wieśniak o wesołej twarzy odparł:

— Przecież za nie zapłacą. Jak będą ładniejsze, to więcej dadzą.

Ten argument okazał się decydujący.

I dwa wózki na wysokich kołach, bez resorów, ruszyły truchtem, jeden w prawo, drugi w lewo, trzęsąc się na nierównej drodze i podrzucając szczątki istot, które obejmowały się kiedyś uściskiem miłym i więcej już miały nie spotkać.

Skoro tylko zobaczył, że wędrowną chatka toczy się w dół po zboczu, hrabia rzucił się do ucieczki. Biegł kilka godzin pośród deszczu i wichury, przecinając drogi, zeskakując z pagórków, łamiąc płoty; z nadejściem wieczoru znalazł się w domu, sam nie wiedząc jak.

Przerażona służba czekała na niego i oznajmiła mu, że koń hrabiny i towarzyszący mu koń Juliana wróciły bez jeźdźców.

Pan de Fourville zachwiał się:

— Musiał ich spotkać jakiś nieszczęśliwy wypadek w tę okropną pogodę. Niech wszyscy udadzą się na poszukiwania— powiedział urywanym głosem.

Sam wyruszył również, lecz skoro tylko znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, skrył się pod krzakiem jeżyny wypatrując, skąd przywiozą nieżywą, umierającą lub może okaleczoną i na całe życie zeszcpeoną tę, którą dotąd jeszcze kochał dziką miłością.

Niebawem minął go wózek, wiozący dziwną jakąś rzecz.

Tak, to była Ona; lecz okropna trwoga przygwoździła go do miejsca, potworny strach przed spojrzeniem rzeczywistości prosto w twarz, lęk przed prawdą; nie ruszał się, skulony jak zając, drżąc za najłżejszym szmerem.

Czekał godzinę, może dwie. Wózek nie wyjeżdżał. Powiedział sobie wtedy, że widocznie jego żona walczy ze śmiercią i myśl, że miałby ją zobaczyć, spotkać jej wzrok, napęłniła go taką zgrozą, iż bojąc się, aby go nie odnaleziono i nie zmuszono do asystowania przy tej agonii, uciekł w głąb lasu. Wtedy przemknęło mu nagle przez głowę, że może ona potrzebuje pomocy, której nikt na pewno nie potrafi jej udzielić; i biegiem zawrócił do zamku.

Po drodze spotkał ogrodnika i zawołał:

— No i co?

Tamten nie śmiał mu odpowiedzieć.

Wtedy hrabia zawył prawie:

— Umarła?

— Tak, proszę pana hrabiego — wyjąkał służący.

Pan de Fourville doznał bezmiernej ulgi. Jego krew, jego rozedrgane mięśnie uspokoiły się nagle i pewnym krokiem wszedł na stopnie tarasu.

Drugi wózek nadjechał do Peuples. Janina dojrzała go z daleka, zobaczyła siennik, domyśliła się, że spoczywa na nim jakieś ciało i zrozumiała wszystko. Wrażenie było tak wielkie, że osunęła się na podłogę, tracąc przytomność.

Kiedy ją odzyskała, poczuła, że ojciec podtrzymuje jej głowę i zwilża skronie octem.

— Czy wiesz już?... — zapytał z wahaniem w głosie.

— Tak, ojcze — szepnęła.

Kiedy jednak chciała się podnieść, siły odmówiły jej posłuszeństwa — tak była zboląła.

Tego samego wieczora powiła nieżywe dziecko — córeczkę.

Nie widziała pogrzebu Juliana, nie wiedziała o niczym. Dopiero po upływie jednego czy dwóch dni zauważyła, że ciocia Liza przyjechała do Peuples. Dręczona gorączkowymi koszmarami usiłowała przypomnieć sobie, kiedy stara panna opuściła ostatnim razem zamek, w jakim czasie, w jakich okolicznościach — lecz na próżno, nie udawało jej się to nawet w chwilach, kiedy odzyskiwała jasność myśli. Była tylko pewna, że widziała ją po śmierci mateczki.

XI

Trzy miesiące spędziła w swym pokoju tak wycieńczona i blada, że uważano ją za straconą. Później zaczęła z wolna odzyskiwać siły. Ojczulek i ciotka Liza pielęgowali ją, osiedliwszy się na stałe w Peuples. Wstrząs, jakiego doznała, przyprawił ją o rodzaj choroby nerwowej. Omdlewała za najłżejszym hałasem, z najbliższej przyczyny na długo tracąc przytomność.

Nigdy nie pytała o szczegóły śmierci Juliana. Po co? Czyż nie dość wiedziała na ten temat? Wszyscy uważali, że spowodował ją nieszczęśliwy wypadek, lecz ona nie miała złudzeń; chowała w sercu dręczącą tajemnicę: cudzołóstwo tamtych dwojga i wspomnienie nagłego, strasznego pojawienia się hrabiego w dniu katastrofy.

I oto zaczęły ją teraz nawiedzać słodkie, czule i pełne melancholii wspomnienia krótkich chwil rozkoszy, jakie przeżyła z mężem. Obrazy, jakie nieoczekiwanie nasuwała jej pamięć, przejmowały ją drżeniem. Znów widziała go takim, jakim był za ich dni narzeczeńskich i takim, jakim kochała go w godzinach namiętności, rozkwitłych pod upalnym niebem Korsyki, w godzinach, które nie powtórzyły się więcej. W coraz to odleglejszej perspektywie grobu wszystkie jego wady malały, szorstkość nikła, nawet zdrady zacierały się. Ogarnięta nieokreśloną wdzięcznością dla człowieka, który trzymał ją kiedyś w swych ramionach, Janina wybaczyła mu cierpienia, jakie jej zadawał, i wracała myślą tylko do chwil szczęśliwych. Czas upływał, miesiąc po miesiącu pyłem niepamięci przysy-

pywał wszystkie jej wspomnienia i żale, aż wreszcie oddała się całkowicie i wyłącznie swemu synowi.

Stał się on bóstwem, jedyną myślą trzech otaczających go istot i rządził nimi jak despota. Wytworzył się nawet rodzaj zazdrości między trojgiem jego niewolników: Janina spoglądała z rozdrażnieniem, jak chłopiec obsypywał pocałunkami barona, zachwycony „jazdą na koniku“, a ciocia Liza, lekceważona przez wnuczka jak zawsze przez wszystkich, traktowana czasem jak służąca przez tego pana, nie umiejącego jeszcze mówić, płakała w swoim pokoju, porównując pieśczęty z trudem przez siebie wyżebrane z uściskami, jakimi obdarowywał matkę i dziadka.

Minęły dwa spokojne lata, wolne od jakichkolwiek wydarzeń i poświęcone jedynie dziecku. Z początkiem trzeciej zimy postanowiono przenieść się do Rouen i pozostać tam aż do wiosny; cała rodzina wyemigrowała z Peuples. Lecz w starym domu, niezamieszkałym, wilgotnym, Pawelek nabawił się bronchitu tak silnego, że obawiano się zapalenia płuc; troje zrozpaczonych opiekunów doszło do przekonania, że dziecko przyzwyczało się do powietrza wiejskiego i skoro tylko wyzdrowiał, wrócili do Peuples.

Rozpoczęły się lata jednostajne i błogie.

Zawsze razem, skupieni wokół małego, bądź to w jego pokoju, bądź to w salonie, bądź to w ogrodzie, zachwycali się jego gaworzeniem, jego śmiesznymi wyrazami, każdym jego gestem.

Matka nazwała go pieśczętliwie Kurczątkiem i ten przydomek już mu pozostał.

Chłopiec rósł szybko i ulubionym zajęciem trojga jego opiekunów, „trzech matek“, jak mawiał baron, było mierzenie jego wzrostu.

Na futrynie drzwi salonu zaznaczano co miesiąc scyzorykiem, ile urósł. Ta drabinka, nazwana „drabinką Kurczątka“, była ważną pozycją w życiu całego domu.

Po pewnym czasie jeszcze jedna istota zaczęła odgrywać znaczną rolę w rodzinie: pies Pogrom, zapomniany przez Ja-

ninę, całkowicie pochłoniętą synem. Pozostawiony na opiece Ludwiny żył samotnie w starej beczce przed stajnią, uwiązany na łańcuchu.

Pewnego ranka Pawelek zobaczył go i zaczął krzyczeć, że chce się z nim pobawić. Z wielkim strachem zaprowadzono go do budy. Pies powitał z radością dziecko, które zaczęło płakać, kiedy ich chciano rozdzielić. Wobec tego Pogrom został spuszczonego z łańcucha i przyjęty do domu.

Stał się odtąd nieodłącznym towarzyszem Pawelka. Tarzali się razem po podłodze i leżeli obok siebie na dywanie. Niedługo Pogrom zaczął sypiać w łóżku przyjaciela, który ani na chwilę nie chciał się z nim rozstać. Janina martwiła się tym nieraz ze względu na pchły, a ciocia Liza miała żal do psa, że zajmuje tyle miejsca w sercu dziecka i kradnie jego miłość, której ona tak łaknęła.

Z rzadka tylko udawano się z wizytą do Briseville'ów i Cou-telierów i jedynie stałe odwiedziny mera i lekarza rozprasały samotność starego zamku. Janina, która była świadkiem, jak proboszcz zamordował bezbronne zwierzę, i której straszna śmierć hrabiny i Juliana nasunęła pewne podejrzenia co do jego udziału w tej sprawie, przestała chodzić do kościoła, rozgniewana na Boga, mającego takich przedstawicieli.

Od czasu do czasu ksiądz Tolbiac rzucał — w przejrzystych aluzjach — klątwy na zamek, nawiedzany przez Ducha Występku, Ducha Wiecznego Buntu, Ducha Błędu i Kłamstwa, Ducha Niesprawiedliwości, Ducha Zepsucia i Nieczystości. W ten sposób nazywał barona.

Kościół jednak opustoszał, a gdy ksiądz szedł polami, oracze idący za pługiem nie przystawali, żeby z nim porozmawiać, nie odwracali się, żeby go pozdrowić. Uchodził zresztą za czarownika, gdyż wypędził diabła z kobiety opętanej. Opo-wiadano sobie, że zna tajemne zaklęcia, odwracające uroki, które były według niego jedynie złośliwą igraszką szatana. Kładł ręce na krowach, które dawały niebieskie mleko lub nie mogły rozplątać ogona, a kilka niezrozumiałych słów wypo-

wiedzianych przez niego sprawiały, że odnajdywały się zagubione przedmioty.

Fanatyk o ciasnym umyśle oddawał się z pasją studiowaniu książek religijnych, traktujących o pojawianiu się Diabła na ziemi, o rozmaitych przejawach jego władzy, o jego różnorodnych, niezbadanych wpływach, o jego sposobach i fortelach. A uważając się za specjalnie powołanego do zwalczania tej Mocy tajemniczej i fatalnej, przyswoił sobie wszystkie formuły egzorcyzmów zawarte w podręcznikach kościelnych.

Ustawicznie węszył w mroku Złego Ducha i co chwila powracało mu na usta zdanie łacińskie: *Sicut leo rugiens circuit quaerens quem devoret.*

Zaczęto się go bać. Nawet jego koledzy, prości księża wiejscy wierzący w Belzebuba, którzy ogłupieni szczegółowymi wskazaniem, jak należy postępować w wypadku zetknięcia się z mocami piekielnymi, mieszały w końcu religię z magią, nawet oni uważali księdza Tolbiaca za czarownika. Tajemna władza, jaką mu przypisywali, zwiększała jeszcze szacunek, jaki budziła w nich nieposzlakowana czystość jego obyczajów.

Kiedy spotykał Janinę, nie kłaniał jej się.

Taki stan rzeczy niepokoił i martwił ciocię Lizę, której trwożna dusza starej panny nie pojmowała, jak można nie chodzić do kościoła. Ona sama była pobożna, spowiadała się i przystępowała do komunii, ale nikt o tym nie wiedział i nie starał się wiedzieć.

Ilekróć zostawała sama, zupełnie sama z Pawełkiem, mówiła mu cichutko o dobrej Bozi. Kiedy opowiadała mu cudowne historie o początku świata, słuchał jej dość uważnie, lecz dowiadując się, że trzeba bardzo, bardzo kochać dobrą Bożę, pytał czasem:

— A gdzie ona jest, ciociu?

Palcem wskazywała niebo:

— Tam, wysoko, Kurczętko, ale nie trzeba o tym mówić nikomu.

Pewnego dnia Pawełek oświadczył jej:

— Pan Bóg jest wszędzie, ale nie w kościele.

Zwierzył się bowiem dziadkowi z tajemniczych rozmów z ciotką.

Chłopiec kończył dziewięć lat; jego matka wyglądała na czterdzieści. Był silny, hałaśliwy, doskonale wspinał się na drzewa, lecz umiał niewiele. Lekcje nudziły go i przerywał je od razu. Ilekroć baron zatrzymywał go trochę dłużej nad książką, zjawiała się Janina i mówiła:

— Daj mu się teraz pobawić. Nie trzeba go męczyć, on jeszcze taki mały.

Dla niej nie przestał on być niemowlęciem. Z trudem uświadamiała sobie, że już chodzi, biega, mówi. Żyła w ciągłej trwodze, żeby nie upadł, żeby się nie zaziębił, żeby się nie zgrzał, żeby nie zjadł za dużo lub za mało.

Kiedy miał lat dwanaście, wyłoniła się trudna kwestia pierwszej komunii.

Pewnego ranka Liza udała się do Janiny i zaczęła jej tłumaczyć, że nie można już dłużej pozbawiać małego nauki religii i wstrzymywać od wypełnienia obowiązków katolika. Używała wszelkich argumentów, podawała najrozmaitsze uzasadnienia powołując się przede wszystkim na to, co powiedzą ludzie, z którymi utrzymywali stosunki. Matka zakłopotana, niezdecydowana, wahała się, twierdząc, że można z tym jeszcze poczekać.

Ale w miesiąc później, podczas wizyty u wicehrabiny de Briseville usłyszała pytanie, które dama ta zadała jej jakby od niechcenia:

— Zdaje się, że to w tym roku Pawełek ma przystąpić do pierwszej komunii?

Janina, zaskoczona, odparła:

— Tak, proszę pani.

To słowo przechyliło szalę i nie mówiąc o niczym ojcu, poprosiła ciotkę Lizę, żeby zaprowadziła dziecko na naukę katechizmu.

Przez miesiąc wszystko było dobrze, lecz pewnego wieczora Pawełek wrócił do domu zachrypnięty. Następnego dnia kasłał. Przerażona matka zaczęła go wypytywać i dowiedziała się, że

ksiądz kazał mu pod koniec lekcji stać w przedsionku kościoła na przeciagu, ponieważ źle się zachowywał.

Zatrzymała więc chłopca w domu i sama uczyła go katechizmu. Ale ksiądz Tolbiac, mimo błagań cioci Lizy, nie chciał dopuścić go do komunii twierdząc, że nie jest dostatecznie przygotowany.

To samo powtórzyło się w roku następnym. Baron, doprowadzony do ostateczności, zawyrokował z gniewem, że chłopiec nie potrzebuje wcale wierzyć w te niedorzeczności, w dziecinny symbol transsubstancji, żeby wyrosnąć na uczciwego człowieka; postanowiono wychowywać go jak chrześcijanina, lecz nie jak praktykującego katolika, zostawiając mu wolność wyboru, gdy dorośnie.

Po pewnym czasie Janina złożyła wizytę Briseville'om, ci jednak nie wybrali się do niej z rewizytą. Zdziwiła się, wiedząc, jak skrupulatnie przestrzegali oni form towarzyskich; lecz markiza de Coutelier wyjaśniła jej w sposób wyniosły przyczynę tej rezerwy ze strony sąsiadów.

Uważając się ze względu na pozycję męża, własny autentyczny tytuł i ogromną fortunę, za królową arystokracji normandzkiej, sprawowała nad nią rządy jak prawdziwa władczyni, otwarcie wypowiadając swe zdanie, pełne życzliwości lub ostrej nagany, zależnie od okoliczności, strofując lub udzielając pochwał przy każdej okazji. Kiedy więc Janina zjawiła się u niej, dama ta, po kilku lodowatych uwagach, oświadczyła sucho:

— Ludzie dzielą się na wierzących i niewierzących. Tych pierwszych, nawet gdy są najniższego stanu, uważamy za równych nam, za przyjaciół; drudzy nie istnieją dla nas.

Janina, czując skierowany przeciw sobie atak, odparła:

— Czy nie można wierzyć w Boga nie uczęszczając do kościoła?

— Nie, pani — odpowiedziała markiza. — Wierni modlą się do Boga w kościele tak samo, jak ludzi odwiedza się w ich domach.

Janina, dotknięta, oświadczyła:

— Bóg jest wszędzie. Ja, która w głębi serca wierzę w Jego dobroć, przestaję czuć Jego obecność, kiedy niektórzy kapłani stają pomiędzy Nim a mną.

Markiza wstała:

— Kapłan niesie sztandar kościoła; ktokolwiek nie idzie za tym sztandarem, jest przeciw niemu i przeciw nam.

Teraz Janina podniosła się, drżąc:

— Pani wierzy w Boga jednej kasty, a ja wierzę w Boga ludzi uczciwych.

Skloniła się i wyszła.

Wieśniacy również mieli za złe Janinie, że nie posłała Pawełka do pierwszej komunii. Oni sami nie chodzili co prawda na nabożeństwa i nie przystępowali do komunii, chyba że na Wielkanoc, zgodnie z przepisami kościoła; ale dzieci to co innego; żaden z nich nie odważyłby się wychowywać swego dziecka wbrew ogólnie przyjętym prawom. Religia to jest Religia!

Wyczuwała tę ukrytą naganę z ich strony i oburzała się w duszy na owe układy i kompromisy z sumieniem, na ów lęk przed wszystkim, na wielkie tchórzostwo, kryjące się na dnie wszystkich ludzkich serc i przybierające przeróżne czcigodne maski.

Baron zajął się edukacją Pawełka i zaczął uczyć go łaciny. Janinie nie schodziło teraz z ust jedno tylko zalecenie:

— Pamiętaj, żeby się nie przemęczał.

Krażyła niespokojnie wokół pokoju, w którym odbywała się nauka, gdyż ojczulek zabronił jej wchodzić tam podczas lekcji, ponieważ przerywała ją co chwila, pytając:

— Czy nie zmarzły ci nogi, Kurczątko?

Albo:

— Czy nie boli cię głowa, Kurczątko?

Lub też, aby powstrzymać nauczyciela:

— Nie każ mu tyle mówić, bo zachrypie.

Po skończonej nauce chłopiec schodził do ogrodu z matką i ciotką. Wszyscy troje z zamięłowaniem oddawali się ogrodnictwu, sadzili drzewka na wiosnę i siali ziarna, których kieł-

kowanie i rozwój napełniały ich zachwytem, obcinali gałęzie, zrywali kwiaty i układali z nich bukiety.

Chłopca zajmowała najbardziej uprawa sałaty. Miał cztery duże grzędy w ogrodzie warzywnym i hodował tam troskliwie różne jej odmiany. Kopał, podlewał, plewił, przesadzał, a jego dwie matki pomagały mu i pracowały razem z nim jak robotnice najmowane na godziny. Widywano je, jak klęczały pochylone, z brudnymi rękami i wsuwały w ziemię korzonki sadzonek, dziurawiąc ją przed tym palcem.

Pawełek rósł, miał już piętnasty rok, a drabinka w salonie wskazywała metr pięćdziesiąt osiem; pod względem rozwoju umysłowego pozostał jednak wciąż jeszcze dzieckiem, naiwnym i niemądrym, wychowywanym między dwiema spódnicami i starym człowiekiem, pełnym uroku, ale należącym do minionej epoki.

Wreszcie pewnego wieczoru baron wspomniął o oddaniu chłopca do szkół. Janina wybuchnęła na to płaczem, a ciocia Liza, przerażona, skuliła się w ciemnym kącie.

— Po co ma się tyle uczyć? — pytała matka. — Zostanie dobrym gospodarzem, szlachcicem wiejskim i będzie uprawiał ziemię jak wielu ludzi z naszej sfery. Czeka go szczęśliwe życie i szczęśliwa starość w tym domu, w którym my żyliśmy przed nim i w którym umrzemy. Czegóż można żądać więcej?

Lecz baron potrząsnął głową:

— A co mu odpowiesz, jeżeli mając dwadzieścia pięć lat przyjdzie do ciebie i powie: Nie jestem niczym, nie umiem nic z twojej winy, przez twój macierzyński egoizm. Nie stać mnie na to, żeby pracować, żeby stać się kimś, a przecież nie zostałem stworzony do tego życia ciasnego, pozbawionego treści i śmiertelnie smutnego, na jakie skazała mnie nieopatrznie twoja miłość.

Janina płakała błagając syna:

— Powiedz, Kurczątko, nie będziesz mi nigdy wyrzucał, że za bardzo cię kochałam, prawda?

A zdziwiony chłopiec przyrzekał:

— Nie, mamusiu.

— Przysięgasz mi?

— Tak, mamusiu.

— Chcesz tu zostać, prawda?

— Tak, mamusiu.

Wtedy baron oświadczył stanowczym głosem:

— Janino, nie masz prawa rozporządzać w ten sposób jego życiem. To tchórzostwo, zbrodnia prawie! Dla osobistego szczęścia poświęcasz dziecko.

Ukryła twarz w dłoniach i wyjąkała poprzez łyzy!

— Byłam taka nieszczęśliwa... taka nieszczęśliwa! Teraz, kiedy zaznałam trochę spokoju przy nim, zabierasz mi go... Cóż ja pocznę... sama?...

Ojciec wstał, usiadł koło niej i otoczył ją ramieniem.

— Janinko, a ja?

Objęła go nagle za szyję i uściskała gwałtownie, a później głosem rwącym się jeszcze, powiedziała:

— Tak. Może... masz słuszność... ojczulku... Byłam szalona... ale tyle wycierpiałam... Dobrze, niech idzie do szkół.

Teraz z kolei Pawełek, nie bardzo rozumiejąc, co mają z nim zrobić, wybuchnął płaczem.

Wszystkie trzy matki zaczęły go ścisnąć, pieścić, dodawać mu odwagi. Rozeszli się na spoczynek ze ściśniętym sercem i wszyscy płakali w łóżku, nawet baron, który do tej pory pannaował nad sobą.

Postanowiono, że po wakacjach młodzieniec wstąpi do gimnazjum w Hawrze, a tymczasem w ciągu lata rozpieszczano go więcej niż kiedykolwiek.

Matka jęczała nieraz na myśl o rozstaniu. Przygotowywała mu wyprawę, jak gdyby miał wyjechać w podróż na dziesięć lat; aż wreszcie pewnego październikowego poranka, po nocy spędzonej bezsennie, obydwie kobiety i baron wsiedli z chłopcem do karety i konie ruszyły kłusem.

Już przedtem wybrano dla niego w zakładzie miejsce w sypialni i w klasie. Janina przy pomocy ciotki Lizy układała przez cały dzień jego rzeczy w małej komodzie. Ponieważ zdołała ona pomieścić zaledwie czwartą część tego, co przywiezio-

no, zwróciła się do prowizora z prośbą o wstawienie drugiej. Przywołano zarządzającego, który oświadczył, że tyle bielizny i drobiazgów osobistych zajmowałyby tylko niepotrzebnie miejsce i powołując się na regulamin odmówił dostarczenia drugiej komody. Zmartwiona matka postanowiła wówczas wynająć w sąsiednim hoteliku pokój i poleciła właścicielowi, żeby na każde wezwanie Pawełka zanosił mu wszystko, czego mu będzie potrzeba.

Potem udali się na molo, przypatrzeć się statkom.

Na miasto rozbłyskujące z wolna światłami spłynął wieczór pełen smutku. Weszli do jakiejś restauracji, żeby zjeść kolację. Żadne z nich nie miało apetytu; spoglądali na siebie zaszawionymi oczyma, a kelner zbierał ze stołu prawie nietknięte półmiski.

Po kolacji udali się wolnym krokiem do zakładu. Dzieci najrozmaitszego wzrostu schodziły się ze wszystkich stron, pod opieką krewnych lub służących. Wielu malców płakało. Na obszernym, słabo oświetlonym dziedzińcu słychać było ich płacz.

Janina i Kurczątko ściskali się długo. Ciocia Liza stała z tyłu zupełnie zapomniana, z twarzą ukrytą w chusteczce. Lecz baron, czując, że ogarnia go wzruszenie, skrócił chwilę pożegnania zabierając córkę. Karetą czekała przed bramą; wsiedli do niej i w mroku nocy ruszyli w stronę Peuples.

Od czasu do czasu rozlegało się w ciemności czyjeś łkanie.

Nazajutrz Janina płakała aż do wieczora. Następnego dnia kazała zaprząć do faetonu i pojechała do Hawru. Wydawało jej się, że Pawełek pogodził się już z rozłąką. Po raz pierwszy w życiu miał kolegów, a chęć zabawy nie dawała mu usiedzieć spokojnie w rozmównicy.

Matka odwiedzała go co drugi dzień i w każdą niedzielę. Nie wiedząc, co robić ze sobą podczas lekcji, pomiędzy jedną przerwą, a drugą, siadywała w rozmównicy, nie mając siły ani odwagi oddalić się od zakładu. Prowizor wezwał ją kiedyś do siebie i poprosił, żeby nie przyjeżdżała tak często. Nie posłuchała go.

Uprzedzono ją więc, że jeśli nie przestanie przeszkadzać synowi w czasie zabaw na pauzach i niepokoić go w pracy, dyrekcja szkoły będzie zmuszona odesłać go z powrotem do domu; powiadomiono o tym również barona. Odtąd strzeżono jej jak więźnia, nie pozwalając oddalać się z Peuples.

Wyczekiwała wakacji z większym utęsknieniem niż jej syn.

Trawił ją nieustanny niepokój. Całymi dniami błąkała się po okolicy z Pogromem, pogrążona w zadumie. Czasem spędzała popołudnia siedząc na skałach nadbrzeżnych i patrząc na morze; czasem znów dochodziła lasem aż do Yport, śladem dawnych spacerów, których wspomnienie jej nie opuszczało. Jakże one były daleko, jakże one były daleko owe dni, kiedy przebiegała te same ścieżki jako młoda dziewczyna, pijana marzeniami.

Za każdym razem, kiedy spotykała się z synem, wydawało jej się, że od ostatniego ich widzenia minęły całe lata. Z każdym miesiącem stawał się coraz bardziej dorosły, a jej z każdym miesiącem przybywało po parę lat. Jej ojciec wyglądał na jej brata, a ciocię Lizę, która nie starzała się wcale, zawsze jednakowo zwiędła od czasu, gdy ukończyła dwadzieścia pięć lat, można było wziąć za jej starszą siostrę.

Pawełek nie chciał się uczyć; został na drugi rok w czwartej klasie. Przez trzecią udało mu się jakoś przebrnąć, lecz w drugiej obciął się znowu. I dopiero mając dwadzieścia lat dobrnął do klasy retoryki.

Był to teraz rosły blondyn o gęstych faworytach i sypiącym się wąsie. Przyjeżdżał co niedzielę do Peuples. Ponieważ od dawna już brał lekcje konnej jazdy, więc wypożyczał po prostu wierzchowca i po dwóch godzinach był w domu.

Janina wychodziła mu naprzeciw z ciotką i baronem, coraz bardziej pochylonym, idącym drobnym krokiem starca, z rękami splecionymi z tyłu, jakby dla zachowania równowagi.

Szli powoli drogą siadając co pewien czas na brzegu rowu i wypatrując, czy nie widać jeszcze jeźdźca. Kiedy się ukazywał — czarny punkt na białej płaszczyźnie — wszyscy troje powiewali chusteczkami, a on puszczał konia galopem i pędził

ku nim jak huragan. Janina i Liza drżały wtedy z lęku, a baron krzyczał „brawo“ z bezsilnym zachwytem człowieka starego.

Mimo, że Paweł był teraz o głowę wyższy od matki, traktowała go w dalszym ciągu jak małe dziecko i pytała czasem:

— Czy nie zmarzły ci nogi, Kurczątko?

A gdy po śniadaniu przechadzał się po tarasie, pałac papieirosa, otwierała okno i wołała:

— Błagam cię, nie wychodź z gołą głową, bo dostaniesz kataru.

Drżała z niepokoju, ilekroć odjeżdżał nocą:

— Proszę cię, nie jedź za prędko, moje Kurczątko maleńkie, pamiętaj o matce, którą byś unieszczęśliwił, gdyby ci się stało coś złego.

Lecz pewnej soboty otrzymała rano list od Pawła, w którym zawiadamiał ją, że nie przyjedzie nazajutrz, gdyż jego przyjaciele urządzają wycieczkę, na którą go zaprosili.

Przez całą niedzielę dręczył ją lęk, jakby zawisło nad nią jakieś nieszczęście, a we czwartek, nie mogąc już wytrzymać dłużej, pojechała do Hawru.

Paweł wydał się jej zmieniony, choć nie uświadamiała sobie, na czym polegała ta zmiana, był ożywiony, mówił głosem bardziej męskim. I nagle powiedział, jakby to była rzecz zupełnie naturalna:

— Wiesz, mamusiu, ponieważ przyjechałaś tu dzisiaj, to ja nie pojedę w najbliższą niedzielę do Peoples, bo znów urządzamy wycieczkę.

Wstrząsnęło nią to, jakby jej obwieścił, że wyjeżdża do Ameryki; kiedy odzyskała panowanie nad sobą, rzekła:

— Och, Kurczątko, co ci jest? Powiedz mi, co się stało?

Zaczął się śmiać i uściskał ją:

— Ależ nic, mamusiu. Chcę się trochę pobawić z przyjaciółmi, jak wszyscy młodzi ludzie.

Nie potrafiła mu na to nic odpowiedzieć, a kiedy znalazła się sama w karecie, obiegły ją dziwne myśli. Nie poznawała

go, swego Kurczątko, swego Kurczątko z dawnych lat. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jest już duży, że nie należy już do niej, że ma własne życie, w którym nie ma miejsca dla nich, starych. Wydało jej się, że wszystkie te zmiany dokonały się w nim w ciągu jednego dnia. Jak to, ten młody człowiek z bródką, który objawiał własną wolę, to był jej syn, jej mały synek, z którym przesadzała kiedyś sałatę?

W ciągu najbliższych trzech miesięcy Paweł rzadko zjawiał się w Peuples, starając się zawsze skrócić do minimum swe odwiedziny. Janina była tym przerażona, lecz baron pocieszał ją powtarzając stale:

— Dajże mu pokój; chłopak ma dwadzieścia lat.

Lecz pewnego ranka zgłosił się do zamku jakiś starzec w podniszczonym ubraniu i oświadczył, że chce się widzieć z panią wicehrabiną. Mówił po francusku z wyraźnym akcentem niemieckim. Po wielu ceremonialnych ukłonach wyjął z kieszeni brudny portfel:

— Ja mam tu dla jaśnie pani mały papierek.

I rozwinąwszy go podał Janinie zatłuszczony świstek. Przeczytała go raz i drugi, spojrzała na Żyda, przeczytała raz jeszcze i zapytała:

— Co to ma znaczyć?

Przybysz wyjaśnił uniżonym tonem:

— Ja to jaśnie pani zaraz powiem. Synek pani wicehrabiny potrzebował trochę pieniędzy, a że ja wiedziałem, że jaśnie pani jest dobrą matką, to ja mu pożyczyłem tę bagatelkę.

Drżała.

— Ale dlaczego nie zwrócił się z tym do mnie?

Żyd tłumaczył jej długo i szeroko, że chodziło tu o dług karciany, który musiał być zapłacony następnego dnia, a ponieważ Paweł nie jest jeszcze pełnoletni, więc nikt nie byłby mu pożyczką, i „panicz byłby skompromitowany“, gdyby on „nie oddał mu tej maleńkiej przysługi“.

Janina chciała przywołać barona, lecz nie mogła ruszyć się z miejsca, tak wielkie zrobiło to na niej wrażenie.

Wreszcie zwróciła się do lichwiarza:

— Czy zechciałby pan być tak uprzejmy i zadzwonić?

Zawahał się w obawie, że to podstęp.

— Jak pani wicehrabina sobie życzy, to ja mogę przyjść kiedy indziej — bąknął.

Zaprzeciżyła ruchem głowy. Zadzwonił więc i oboje czekali w milczeniu, jedno naprzeciw drugiego.

Baron pojął od razu, o co chodzi. Kwit opiewał na tysiąc pięćset franków.

Dał lichwiarzowi tysiąc i powiedział patrząc mu w oczy:

— Tylko niech mi się pan tu więcej nie pokazuje.

Tamten podziękował, skłonił się i odszedł.

Dziadek i matka udali się natychmiast do Hawru, lecz w zakładzie powiedziano im, że Paweł od miesiąca nie był w szkole. Dyrektor otrzymał cztery listy z podpisem Janiny, zawiadamiające o chorobie syna i jej przebiegu. Do każdego listu dołączone było świadectwo lekarskie — wszystko oczywiście sfalszowane.

Rażeni tą wieścią jak gromem, spoglądali na siebie bezradnie.

Dyrektor, zmartwiony, poszedł z nimi do komisarza policji. Baron i jego córka spędzili noc w hotelu.

Nazajutrz odnaleziono młodego człowieka u jednej z prostytuttek. Dziadek i matka zabrali go do Peuples, przez całą długą drogę nie zamieniwszy ani słowa. Janina płakała kryjąc twarz w chusteczce. Paweł spoglądał obojętnie przez okno.

Niebawem okazało się, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy narobił piętnaście tysięcy długów. Wierzyciele nie zgłaszali się początkowo, wiedząc, że niedługo dojdzie do pełnoletności.

W domu nie robiono mu żadnych wymówek, pragnąc odzyskać go łagodnością. Karmiono go najlepszymi kaskami, pieszczono, psuto. Była wiosna. Mimo obaw Janiny baron wynajął mu w Yport barkę, żeby mógł swobodnie odbywać wycieczki po morzu.

Nie dano mu tylko do dyspozycji konia, lękając się, żeby nie pojechał do Hawru.

Całe dnie spędzał beczynn timer, nachmurzony i gniewny. Baron martwił się jego niedokończonymi studiami. Janina, którą myśl o możliwości nowej rozłąki z synem napełniała przerażeniem, zastanawiała się jednak, co z nim będzie.

Pewnego wieczora nie wrócił do domu. Dowiedzieli się, że z dwoma marynarzami wyjechał na morze. Zrozpaczona matka pobiegła w nocy, z gołą głową, do Yport.

Kilku ludzi stało na brzegu czekając powrotu łodzi.

W dali ukazało się nimer światelko i zbliżało się kołyszając. Pawła nie było w barce. Kazał odwieźć się do Hawru.

Policji nie udało się go odnaleźć. Dziewczyna, u której ukrywał się poprzednio, również zniknęła bez śladu sprzedawszy meble i zapłaciwszy za mieszkanie. W pokoju Pawła w Peoples odkryto dwa listy od tej ladaczniczki; zdawała się za nim szaleć. Pisała o wyjeździe do Anglii, twierdząc, że zdołała potrzebne do tego pieniądze.

Troje mieszkańców zamku przeżywało w ponurym milczeniu piekło tortur moralnych. Włosy Janiny zbiełaly do reszty. Raz po raz zadawała sobie naiwne pytanie, dlaczego los ją tak prześladowuje?

Otrzymała list od księdza Tolbiaca:

„Pani! Ręka Boga zaciążyła na tobie. Odmówiłaś Mu swego dziecka; On zabrał ci je teraz i rzucił w błoto rozpusty. Czy i ta nauka niebios nie otworzy Pani oczu? Miłosierdzie Pana jest bez granic. Może wybaczy ci On, jeśli ukorzysz się przed Nim. Ja, pokorny Jego sługa, otworzę ci drzwi Jego domu, kiedy do nich zapukasz“.

Długo siedziała z listem na kolanach. A może to była prawda, co mówił ten ksiądz? I wszystkie wątpliwości religijne na nowo zaczęły nią targać. Czy to możliwe, żeby Pan Bóg był mściwy i zazdrosny, tak jak ludzie? Lecz jeślimerby nie okazywał swej zazdrości, nikt by się go nie obawiał, nikt by go nie czcił. Aby stać się bardziej zrozumiałym dla ludzi, objawiał się im widać na ich obraz i podobieństwo.

I tchórzliwa niepewność, która popycha do kościoła niezdecydowanych i pogrążonych w rozterce, kazała jej przem-

knąć chyłkiem któregoś wieczora aż do prezbiterium, klęknąć u stóp chudego księdza i prosić go o rozgrzeszenie.

Pocieszył ją, że Bóg odpuści jej winy, choć tylko częściowo, bo nie może On zsyłać pełni swych łask na dom, pod którego dachem żyje taki człowiek jak baron.

— Rychło czuje pani skutki dobroci bożej — oświadczył.

W dwa dni później otrzymała list od syna, który w swej rozpaczycy uznała za pierwszy objaw miłosierdzia zapowiedzianego jej przez księdza.

„Kochana mamusiu! Nie martw się o mnie. Jestem w Londynie i nic mi nie dolega, ale bardzo mi potrzeba pieniędzy. Nie mamy już ani grosza i głodujemy czasem. Ta, która mi towarzyszy i którą kocham całą duszą, wydała już wszystko, co miała — pięć tysięcy franków — byle tylko nie rozstawać się ze mną. Pojmujesz więc, że honor nakazuje mi przede wszystkim zwrócić jej tę sumę. Byłabyś więc bardzo kochana, gdybyś zechciała wypłacić mi z góry jakieś piętnaście tysięcy ze spadku po ojcu, tym bardziej, że niedługo już będę pełnoletni; wybawiłabyś mnie z wielkiego kłopotu.

Bądź zdrowa, kochana mameczko. Ściskam Cię z całego serca, a także dziadzia i ciocię Lizę. Mam nadzieję, że zobaczę cię niedługo.

Twój syn
wicehrabia Paweł de Lamare“.

Napisał do niej! Więc nie zapomniał o niej jeszcze. Nie zwróciła uwagi na to, że prosił ją o pieniądze. Pośle mu je, skoro są mu potrzebne. Co tam zresztą pieniądze! Napisał do niej!

I płacząc pobiegła do barona, żeby pokazać mu list. Przywołano ciotkę Lizę, raz jeszcze z nabożną uwagą odczytano te kartki, przynoszące wieści o Pawle, zastanawiając się nad każdym jego słowem.

Janina, przerzucając się z najgłębszej rozpaczycy do upajających nadziei, broniła go:

— On wróci; na pewno wróci, skoro napisał.

Baron, bardziej opanowany, oświadczył:

— Być może, ale i tak opuścił nas dla tej dziewczyny. Wiadąć mu ona jest droższa, bo nie zawahał się co do wyboru.

Straszliwy ból przeszył nagle serce Janiny; zawrzała nienawiścią do tej kobiety, która ukradła jej syna, nienawiścią dziką i nieposkromioną, nienawiścią zazdrosnej matki. Do tej pory myślała tylko o Pawle, nie uświadamiając sobie prawie, że jakaś dziewczyna lekkich obyczajów była przyczyną jego dotychczasowych wybryków. Słowa barona przypomniały jej niespodziewanie tę rywalkę, odsłoniły przed jej oczyma władzę tamtej; i poczuła, że pomiędzy nią a tamtą kobietą rozpoczyna się zaciekle walka i że wolałaby utracić syna, niż go z nią dzielić.

I cała jej radość prysła.

Wysłali mu piętnaście tysięcy franków i przez pięć miesięcy nie otrzymali żadnej wiadomości.

Następnie zjawił się pełnomocnik Pawła, żeby uregulować sprawę spadku po Julianie. Janina i baron bez słowa protestu złożyli rachunki, rezygnując nawet z dożywocia, należącego się matce.

Paweł wrócił do Paryża i otrzymał sto dwadzieścia tysięcy franków. W ciągu najbliższych sześciu miesięcy napisał do domu cztery listy, zawierające związane wiadomości o nim samym i kończące się chłodnymi zapewnieniami o jego przywiązaniu: „Pracuję — pisał. — Mam stanowisko na Giełdzie. Niedługo wpadnę pewno do Peoples, uściskać moich kochanych opiekunów“.

Ani słówkiem nie wspominał o kochance, a milczenie to było wymowniejsze, niż gdyby poświęcał jej całe strony. W tych lodowatych listach Janina wyczuwała ową kobietę, nieubłaganą, śmiertelną nieprzyjaciółkę matek — prostytutkę.

Troje samotników zastanawiało się, jakby ocalić Pawła, lecz nie znajdowali żadnego sposobu. Pojechać do Paryża? Po co?

— Trzeba poczekać, aż jego namiętność wygaśnie. Wtedy sam do nas powróci — mawiał baron.

Życie ich było godne pożalowania.

Janina i ciotka chodziły razem do kościoła, kryjąc się przed baronem.

Dość długo nie mieli wiadomości od Pawła, aż pewnego ranka przyszedł od niego list pełen rozpaczy, który ich przeraził:

„Biedna moja Mamo, jestem zgubiony i nie pozostaje mi nic innego, jak palnąć sobie w łeb, jeżeli nie przyjdiesz mi z pomocą. Pewne przedsięwzięcie finansowe, które otwierało przede mną wszelkie widoki powodzenia, nie powiodło się; mam osiemdziesiąt pięć tysięcy długu. Jeżeli ich nie zapłacę, czeka mnie hańba i ruina, z której już się nie podźwignę. Jestem zgubiony. Powtarzam Ci, że raczej sobie w łeb palnę, niżbym miał przeżyć ten wstyd. Może bym to już był uczynił, gdyby nie otucha, jakiej dodaje mi kobieta, o której nigdy Ci nie wspominał, a która jest moją Opatrznością.

Ściskam Cię z całego serca, moja droga Mateczko, może już po raz ostatni. Żegnaj.

Paweł“.

Kwity dołączone do tego listu, szczegółowo wyjaśniały katastrofę.

Baron wysłał odwrotną pocztą list uspokajający. Następnie pojechał do Hawru, celem zasięgnięcia porady, i zaciągnął pożyczkę hipoteczną, aby uzyskać pieniądze dla Pawła.

Młody człowiek napisał trzy listy, pełne entuzjastycznych podziękowań i czułości, zapowiadając, że przyjedzie, żeby ich uściskać.

Nie przyjechał.

Upłynął rok.

Janina z baronem wybierali się do Paryża, by go odszukać i podjąć ostatnią próbę odzyskania go, kiedy otrzymali wiadomość, że znów jest w Londynie i organizuje przedsiębiorstwo okrętowe pod firmą: „Paweł Delamare i Co“.

Donosił:

„Zapewni to byt, a może nawet przyniesie majątek. Nie ryzykuję nic. Widzicie więc, jakie to dla mnie korzystne. Kiedy się zobaczymy, będę miał już wyrobioną pozycję. W dzisiaj-

szych czasach tylko interesy mogą wydobyć człowieka z kłopotliwej sytuacji“.

W trzy miesiące później Towarzystwo okrętowe zbankrutowało, a przeciw dyrektorowi wdrożono śledztwo zarzucając mu niedokładności w prowadzeniu ksiąg. Janina dostała ataku nerwowego, który trwał kilka godzin, i położyła się do łóżka.

Baron pojechał do Hawru, informował się, naradzał z adwokatami, konferował z przemysłowcami i rejentami; stwierdził, że deficyt „Towarzystwa Delamare“ wynosi dwieście trzydzieści pięć tysięcy franków i zaciągnął ponowną pożyczkę pod zastaw swych dóbr. Zamek Peoples i należące do niego dwie fermy zostały obciążone olbrzymim długiem.

Pewnego wieczora, załatwiając ostatnie formalności w gabinecie adwokata, osunął się na posadzkę tknięty apopleksją.

Do Janiny wysłano konnego posłańca. Zanim przybyła do Hawru, ojciec skonał.

Zabrała zwłoki do Peoples, skamieniała z rozpacz, zobojętniała na wszystko.

Ksiądz Tolbiac, mimo błagań obydwóch kobiet, nie pozwolił wnieść trumny do kościoła. Pogrzebano więc barona o zmierzchu, bez żadnego ceremoniału religijnego.

Paweł dowiedział się o śmierci dziadka przez jednego z likwidatorów zbankrutowanej firmy. W dalszym ciągu ukrywał się jeszcze w Anglii. Napisał do matki usprawiedliwiając się, że nie przyjechał na pogrzeb, ale za późno doniesiono mu o nieszczęściu. „Zresztą teraz, kiedy przyszłaś mi z pomocą, będę mógł wrócić niedługo do Francji i uściskać cię, kochana mamusiu“.

Janina żyła w stanie takiego odrętwienia, że nic już zdawało się do niej nie docierać.

Z końcem zimy ciotka Liza, licząca sześćdziesiąt osiem lat, nabawiła się bronchitu, z którego rozwinęło się zapalenie płuc; skonała cicho, szepcząc:

— Moja biedna Janinko, idę prosić Boga, żeby się nad tobą zlitował.

Janina odprowadziła ją na cmentarz, widziała, jak zasypywano trumnę, i sama zapragnęła umrzeć, żeby nie cierpieć już więcej, nie myśleć i nie czuć. Osuwając się na ziemię jakaś rośla wieśniaczka pochwyciła w ramiona, jak małe dziecko.

Po powrocie do zamku, Janina, która spędziła pięć nocy czuwając u wezłowania starej panny, oddała się bez sprzeciwu w delikatne, lecz stanowcze ręce nieznannej, która położyła ją do łóżka.

Koło północy przebudziła się. Na kominku paliła się lampka nocna. W fotelu spała jakaś kobieta. Kto to był? Nie przypominała jej sobie i wychyliwszy się z łóżka usiłowała rozpoznać jej rysy w migotliwym świetle knota, zanurzonego w oliwie.

Wydało jej się, że widziała już kiedyś tę twarz. Ale kiedy? Gdzie? Kobieta spała spokojnie z głową przechyloną na ramię; czepek spadł jej na podłogę. Mogła mieć jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Była silna, rozłożysta, rumiana. Jej szerokie dłonie zwisały po obu stronach fotela. Włosy miała przyprószone siwizną. Janina wpatrywała się w nią uporczywie, niezupełnie jeszcze oprzytomniała z gorączkowego snu, w jaki zapadamy po bolesnych przeżyciach.

Tak, na pewno widziała już tę twarz! Ale kiedy? Czy w młodości, czy też teraz, nie dawno? Nie wiedziała. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Wstała po cichu, żeby przyjrzeć się z bliska śpiącej, i podeszła do niej na palcach. Była to ta sama wieśniaczka, która podtrzymała ją na cmentarzu, a później położyła do łóżka. Przypominała to sobie niejasno.

Lecz czy widywała ją dawniej, w innym okresie swego życia, czy też zapamiętała od wczoraj? I skąd się ona wzięła tutaj, w jej pokoju? Dlaczego została?

Kobieta uniosła powieki, zobaczyła Janinę i zerwała się gwałtownie. Stały naprzeciw siebie, tak blisko, że dotykały się piersiami.

— Co? Pani wstała? Żeby się zaziębić? Proszę się zaraz kłaść do łóżka — zaczęła zrzedzić nieznanjoma.

— Kto wy jesteście? — zapytała Janina.

Lecz tamta wzięła ją w ramiona, uniosła do góry, silna jak mężczyzna, i zaniosiła na posłanie. Ułożyła ją delikatnie i pochylając się nad Janiną zaczęła płakać i obsypywać pocałunkami jej policzki, włosy i oczy, szepcząc:

— Moja biedna panienka, panna Janinka, moja biedna panienka! Więc mnie pani nie poznaje?

— Rozalia! — wykrzyknęła Janina i objęła ją za szyję, ściskając i całując. Tuląc się do siebie płakały razem, łącząc swe łzy.

Pierwsza uspokoiła się Rozalia.

— Dość już tego — rzekła — bo jeszcze mi pani gotowa zmarznąć.

Podniosła z podłogi kołdrę, przykryła nią łóżko i poprawiła poduszkę swej dawnej pani, która nie przestawała lkać, wydana na pastwę wspomnieniom.

— Jak się to stało, że wróciłaś tutaj, moja droga? — zapytała wreszcie.

— A cóż to, miałam może zostawić panią samiutką teraz? — odparła Rozalia.

— Zapal świecę, żebym mogła ci się lepiej przyjrzeć — podjęła Janina.

Kiedy Rozalia postawiła światło na szafce nocnej, długo przyglądały się sobie w milczeniu. Później Janina wyciągnęła rękę do swej dawnej pokojówki i szepnęła:

— Nie byłabym cię nigdy poznała, moje dziecko; bardzo się zmieniłaś, ale mniej jednak niż ja.

A Rozalia, patrząc na tę siwowłosą kobietę, wychudłą i zwiędłą, którą pamiętała młodą, piękną i świeżą, odparła:

— To prawda, że się pani bardzo zmieniła, ale bo też to już dwadzieścia cztery lata minęło od tamtej pory.

Zamilkły i pogrążyły się w zadumie.

— Czy byłaś przynajmniej szczęśliwa? — zapytała wreszcie szeptem Janina.

A Rozalia, bojąc się potrącić o jakieś wspomnienie zbyt bolesne, wyjąkała:

— Pewnie... pewnie... proszę pani. Nie mogę się skarżyć. Na pewno byłam szczęśliwsza niż pani. Co mnie tylko zawsze gryzło, to to, że musiałam stąd odejść...

Zamilkła nagle, przerażona, że mimo woli wymknęły jej się te słowa. Lecz Janina powiedziała łagodnie:

— Trudno, moje dziecko, w życiu nie zawsze robi się to, co by się chciało. Ty też owdowiałaś, prawda?

I z lękiem w głosie dokończyła:

— Czy masz jeszcze więcej... więcej dzieci?

— Nie, proszę pani.

— A twój... twój syn?... Co się z nim dzieje? Masz z niego pociechę?

— Tak, proszę pani. To dobry chłopak i pracuje za trzech. Ożenił się pół roku temu i będzie teraz sam gospodarował, jak mnie nie będzie.

Janina, drżąc ze wzruszenia, szepnęła:

— Więc zostaniesz ze mną, moje dziecko?

— A jakżeby inaczej, proszę pani? — obruszyła się Rozalia. — Jużem wszystko rozrządziła, jak trzeba.

I obie zamilkły na chwilę.

Janina porównywała bezwiednie swoje życie z życiem Rozalii, bez goryczy już jednak, zrezygnowana teraz i przywykła do niesprawiedliwości losu.

— A twój mąż jaki był dla ciebie? — zapytała.

— O, to był dobry człowiek, proszę pani, i obrotny. Ale się rozchorował na piersi i umarł.

Wtedy Janina, ogarnięta nagłą chęcią dowiedzenia się wszystkiego, powiedziała siadając na łóżku:

— Opowiedz mi o twoim życiu, moje dziecko. Oderwie mnie to od smutnych myśli.

Rozalia przysunęła krzesło, usiadła przy łóżku i zaczęła mówić o sobie, o swoim domu, o swoim najbliższym otoczeniu, nie pomijając żadnego ze szczegółów, drogich sercu wieśniaka, opisując, jak wygląda podwórze, śmiejąc się czasem na wspomnienie jakichś dawno minionych, przyjemnych wydarzeń, podnosząc w miarę opowiadania głos, jak gospodyni przyzwyczajona do wydawania rozkazów. Na zakończenie oświadczyła:

— Dorobiłam się, można powiedzieć. Nie muszę się martwić o kąć na stare lata.

I zmieszana dodała ciszej:

— Wszystko to pani zawdzięczam, więc też nie chcę teraz żadnej zapłaty. Broń mnie Boże! Jak się pani będzie sprzeciwiać, to sobie pójdę.

— Nie będziesz przecież służyć u mnie za darmo! — powiedziała Janina.

— A właśnie, że tak! Brać pieniądze? Brać od pani pieniądze? Kiedy ja mam ich akurat tyle samo, co i pani. Wie to pani chociaż, ile pani zostało majątku po tych wszystkich zapisach u reagenta, po tych wszystkich pożyczkach i po odliczeniu procentów, których się nie płaci i które wciąż rosną? Wie pani? Nie, prawda? No, więc ja pani powiadam, że nie zostało już nawet i dziesięć tysięcy dochodu rocznego. Nawet i dziesięć tysięcy nie zostało, słyszy pani? Ale już ja się tym wszystkim zajmę i to zaraz.

Znów podniosła głos, unosząc się oburzeniem na myśl o tych niezapłaconych procentach i grożącej ruinie. A widząc mglisty uśmiech na twarzy swej pani, zawołała gniewnie:

— Nie trzeba się z tego śmiać, proszę pani, bo co znaczy człowiek, jak nie ma pieniędzy?

Janina ujęła jej dłoń i zatrzymała je w swoich, a potem powiedziała powoli, zaprzątnięta wciąż tą samą, nieustępliwą myślą:

— Och! co do mnie, to nie miałam szczęścia w życiu! Wszystko obracało się przeciw mnie. Los nie przestawał mnie przesładować.

Ale Rozalia potrząsnęła głową:

— Nie trzeba tak mówić, proszę pani, nie trzeba tak mówić. Wyszła pani źle za męża i to wszystko. Któż to słyszał, żeby brać ślub, nie znając dobrze swojego kawalera?

I rozmawiały tak dalej, jak dwie stare przyjaciółki.

Słońce już wzeszło, a one nie zaprzestały jeszcze swych zwierzeń.

XII

W przeciągu tygodnia Rozalia objęła całkowitą władzę nad rzeczami i ludźmi w pałacu. Janina, zrezygnowana, poddawała się jej biernie. Słaba, powłócząc nogami, jak niegdyś mateczka, przechadzała się powoli, wsparta na ramieniu służącej, która udzielała jej napomnień i dodawała otuchy w słowach szorstkich i czułych jednocześnie, traktując ją jak chore dziecko.

Prowadziły rozmowy o przeszłości — Janina ze łzami w głosie, a Rozalia spokojnym tonem wieśniaczki, niełatwo ulegającej wzruszeniu. Stara służąca kilkakrotnie wracała do sprawy zaległych procentów, a wreszcie zażądała od Janiny, zupełnie nie znającej się na interesach, żeby ta pokazała jej dokumenty, które ukrywała dotąd, wstydząc się postępów syna.

Przez cały tydzień Rozalia jeździła codziennie do Fécamp, gdzie znajomy notariusz wyjaśniał jej szczegóły, których nie rozumiała.

Pewnego wieczora, ułożywszy Janinę na spoczynek, siadła koło jej łóżka i powiedziała nagle:

— A teraz porozmawiajmy.

I przedstawiła jej sytuację.

Po spłaceniu wszystkich długów zostanie Janinie siedem do ośmiu tysięcy franków rocznej renty. To wszystko.

— Cóż chcesz, moje dziecko? — odpowiedziała tamta. — Ja i tak długo nie pożyję. Wystarczy mi to.

Rozalia się rozgniewała:

— Pani wystarczy, ale pan Paweł? Więc nic mu pani nie zostawi?

Janina drgnęła.

— Proszę cię, nie wspominaj mi o nim nigdy. To zbyt dla mnie bolesne.

— A właśnie, że będę wspominać, bo pani nie ma racji! On teraz robi głupstwa, ale kiedyś się ustatkuje, ożeni, będzie miał dzieci. I potrzeba będzie pieniędzy na ich wychowanie. Niech pani posłucha, co pani powiem: trzeba sprzedać Peoples!

Janina zerwała się gwałtownie i usiadła w łóżku.

— Sprzedać Peoples! Co ty znowu? Nigdy!

Ale Rozalia pozostała niewzruszona.

— A ja powiadam, że trzeba sprzedać.

I wytłumaczyła jej swoje obliczenia, projekty i racje.

Po sprzedaniu Peoples i dwu należących do niego ferm — o nabywcę już się postarała — Janina zatrzyma cztery fermy w Saint-Léonard, które, oczyszczone całkowicie z długów hipotecznych, przyniosą jej osiem tysięcy trzysta franków rocznie, z czego tysiąc trzysta franków przeznaczy się na wydatki gospodarskie i konieczne naprawy, a z pozostałych siedmiu tysięcy pięć będzie na życie, a dwa odłoży się co roku, tworząc w ten sposób kasę przezorności.

— Tyle pani zostało — dodała. — Resztę się już przejadło. Ale teraz ja zajmę się interesami i gospodarstwem. A co do pana Pawła, to nie dostanie od tej pory ani grosza, inaczej puściłby panią z torbami.

Janina, płacząc cicho, szepnęła:

— A jeżeli on nie ma co jeść?

— To przyjedzie do nas, jak będzie głodny. Zawsze znajdzie się dla niego łóżko i ciepła strawa. Pani myśli, że byłby robił te wszystkie głupstwa, gdyby mu pani od początku nie dawała pieniędzy?

— Ależ on miał długi; byłby się okrył hańbą, gdyby ich nie spłacił.

— A jak pani nie będzie już miała nic, to przestanie je ciągać, myśli pani? Płaciła pani dotąd, w porządku; ale teraz

nie będzie pani już płacić. Ja pani to mówię. A teraz — do-
branoc.

I wyszła.

Janina nie spała tej nocy, wstrząśnięta myślą, że miałyby
sprzedać Peuples, wyjechać stąd, opuścić ten dom, w który
wrosła.

Na widok Rozalii, wchodzącej rano do jej pokoju, powie-
działa:

— Moje dziecko, ja nigdy nie zdobędę się na to, żeby opu-
ścić te miejsca.

Służąca rozgniewała się:

— A jednak nie ma innej rady, proszę pani. Niedługo
przyjdzie tu notariusz z tym, co chce kupić zamek. A jak nie,
to za cztery lata nie będzie pani miała na łyżkę strawy.

Janina powtarzała, zgnębiona:

— Nie zdobędę się na to, nigdy się na to nie zdobędę.

W godzinę później listonosz wręczył jej list od Pawła, który
znów prosił ją o dziesięć tysięcy franków. Co począć? Przeraza-
zona zwróciła się o radę do Rozalii. Ta podniosła ręce:

— A nie mówiłam pani? Ach, ładnie byście oboje wyglą-
dali, gdybym ja tu nie wróciła!

Posłuszna woli służącej, Janina odpisała młodemu człowie-
kowi:

„Mój drogi synu, nie mogę ci już nic więcej posłać. Zrujno-
wałeś mnie i zmuszona jestem sprzedać Peuples. Pamiętaj
jednak, że zawsze znajdziesz schronienie, jeśli zechcesz wró-
cić do Twej starej matki, której przysporzyłeś tak wiele cier-
pień. Janina“.

A kiedy przybył notariusz z panem Jeoffrin, eks-właścicie-
lem cukrowni, przyjęła ich osobiście i sama im zaproponowała,
żeby obejrzeć całą posiadłość.

W miesiąc później podpisała kontrakt sprzedaży, a jedno-
cześnie nabyła skromny domek niedaleko Goderville, na dro-
dze wiodącej z Montvilliers do Batteville.

Tego dnia spacerowała aż do zmroku aleją mateczki, sama,
z sercem rozdartym rozpaczą, śląc ku niebu, drzewom, spróch-

niałej ławce pod platanem, ku wszystkim tym rzeczom, tak dobrze znanym, iż zdawały się istnieć w niej samej, ku gajowi, zboczu nad wydumą, na którym siadywała tak często i z którego, w ów straszny dzień śmierci Juliana, patrzyła, jak hrabia de Fourville biegł w stronę morza, ku staremu więzowi, o który lubiła się opierać, ku całemu ogrodowi, którego każdy kąt był jej bliski, pożegnania nabrzmiałe bólem i łzami.

Rozalia musiała siłą odprowadzić ją do domu.

Jakiś rosły wieśniak, mogący liczyć dwadzieścia pięć lat, czekał przed drzwiami. Przywitał ją swobodnie, jakby znał ją od dawna.

— Dzień dobry pani, co słyhać? Matka kazała mi przyjść względem tej przeprowadzki. Chciałbym wiedzieć, co pani zabierze ze sobą, bo będą przewoził to po trochu — konie potrzebne są teraz w polu.

Był to syn jej służącej i Juliana, brat Pawła.

Przez chwilę miała wrażenie, że serce przestaje jej bić, a jednocześnie miała ochotę uściskać tego chłopca.

Przyglądała mu się szukając w nim podobieństwa do swego męża i syna. Był rumiany, barczysty, jasnowłosy i niebieskooki jak matka. A jednak przypominał jej Juliana. Czym? Nie wiedziała; lecz miał w sobie coś z niego.

Ciągnął dalej:

— Gdyby mi tak pani mogła pokazać od razu te rzeczy, to byłbym rad.

Ona jednak nie wiedziała jeszcze, co zdecyduje się wziąć ze sobą, wobec tego, że jej nowy dom był bardzo mały; poprosiła go więc, żeby przyszedł się dowiedzieć pod koniec tygodnia.

Przygotowania do przeprowadzki wniosły smutne urozmaicenie do jej posępnego, ogołoconego z nadziei życia.

Krążyła po pokojach wybierając meble, które przypominały jej pewne wydarzenia, owe meble bliskie sercu, które stały się częścią naszego życia, nas samych, które znamy od dzieciństwa, z którymi wiążą się wspomnienia naszych smutków i radości, daty naszej historii; niemi świadkowie naszych

chwil słodkich lub ponurych, którzy zestarzeli się obok nas, których nogi zaczęły się chwiać, obicia popękały, a barwy spelzły.

Wybierała je jeden po drugim, wahając się często, niespokojna, jakby miała powziąć jakąś decyzję wielkiej wagi, zmieniając co chwila swe postanowienia, wążąc w myśli zasługi dwóch foteli, sekretarzyka lub staromodnego stolika do robót.

Otwierała szuflady, usiłując przypomnieć sobie różne wydarzenia, a kiedy postanawiała ostatecznie: — Tak, to zabiorę — mebel znoszono do jadalni.

Zatrzymała całe urządzenie swego pokoju: łóżko, gobeliny, zegar, wszystko.

Wzięła kilka foteli z salonu, tych, których obicia lubiła od dzieciństwa; lisa i bociana, kruka i lisa, konika polnego i mrówkę, melancholijną czapkę.

Snując się po domu, który miała opuścić, weszła któregoś dnia na strych.

Przystanąła zdumiona na widok gąszczu sprzętów wszelkiego rodzaju: jedne z nich były połamane, inne brudne tylko, jeszcze inne wyniesiono tu niewiadomo dlaczego — bo przestały się podobać, bo zastąpiono je nowymi. Dostrzegąca cacka, niegdyś znajome, których zniknięcia nie zauważyła nawet, drobiazgi, którymi posługiwała się kiedyś, owe przedmioty bez znaczenia, które otaczały ją w ciągu piętnastu lat, które widywała co dzień nie zwracając na nie uwagi, a które odnalezione nagle tu, na strychu, obok innych, jeszcze starszych — przypominała sobie dokładnie miejsce, jakie zajmowały, kiedy przybyła do Peuples — nabierały nagle w jej oczach znaczenia zapomnianych świadków dawnych dni, odnalezionych przyjaciół. Robiły na niej wrażenie ludzi, z którymi obcowaliśmy przez długie lata, nie znając ich naprawdę i którzy pewnego wieczoru, niemal że bez przyczyny, zaczynają nagle opowiadać nam o sobie i odsłaniać przed nami swą duszę, zmieniając nasze dotychczasowe o nich wyobrażenia.

Podchodziła od jednego do drugiego z drżeniem, mówiąc sobie:

— Ach, to ja nadtłukłam tę chińską filiżankę na parę dni przed ślubem. — O, a to latarka mamusi i laska, którą ojczulek złamał chcąc otworzyć bramę, spaczoną wilgocią.

Znajdowało się tu również wiele rzeczy nieznanych jej i nie mówiących. Należały one niegdyś do jej dziadków lub pradziadków i przypominały wygnańców z innej epoki, smutnych i opuszczonych. Nikt nie znał ich dziejów, bo nikt nie widział tych, którzy je wybierali, kupowali, posiadali i kochali, nikt nie pamiętał rąk, które ich dotykały, ani oczu, które spoglądały na nie z przyjemnością.

Janina podnosiła je, obracała w dłoniach, zostawiając ślady palców na grubej warstwie kurzu. Nie mogła oderwać się od tych rzeczy, ledwo widocznych w nikłym świetle padającym przez parę kwadratowych szybek umieszczonych w dachu.

Przyglądała się uważnie krzesłom o trzech nogach, zastanawiając się, czy nie wiążą się z nimi jakieś wspomnienia, mosiężnemu grzejnikowi, szkandeli bez dna, która wydawała jej się znajoma, i naczyniom kuchennym nie używanym od dawna.

Następnie wybrała te przedmioty, które postanowiła zabrać, i zeszedłszy na dół, posłała po nie Rozalię. Oburzona słyszająca nie chciała znosić tych „brudów“, ale Janina, mimo że zupełnie pozbawiona woli, tym razem nie ustępowała i trzeba jej było posłuchać.

Pewnego ranka młody gospodarz, syn Juliana, Dionizy Lecoq, przyjechał wózkiem po pierwszą partię rzeczy. Rozalia pojechała z nim razem, żeby przypilnować wyładowywania mebli i ustawić je na właściwym miejscu.

Kiedy została sama, Janina zaczęła krążyć po zamku ogarnięta straszliwą rozpaczą, całując w nagłych porywach uczucia wszystko, co musiała zostawić, białe ptaki na tapetach w salonie, stare świeczniki, wszystko, co napotykała na drodze. Przechodziła z jednego pokoju do drugiego, pół przytomna, nie przestając płakać, a później wyszła pożegnać się z morzem.

Był koniec września, niebo niskie i szare zdawało się ciążyć nad światem. Jak okiem sięgnąć widać było tylko smutne, żółtawe fale. Długo stała na urwistym brzegu nie mogąc uwolnić się od dręczących myśli. Z nadejściem zmroku wróciła do domu, znużona cierpieniem, jak w najcięższych dniach swego życia.

Rozalia czekała już na nią, zachwycona nowym domem. Oświadczyła, że jest on o wiele weselszy od tego wielkiego zamczyska, położonego z dala od drogi.

Janina płakała cały wieczór.

Dowiedziawszy się o sprzedaży zamku dzierżawcy przestali się z nią liczyć i — sami nie wiedząc dobrze dlaczego — nazywali ją między sobą „wariatką“, wyczuwając widać instynktownie jej wzrastającą z każdym dniem chorobliwą uczucio-wość, marzycielstwo i egzaltację, cały ów zamęt, w jakim zagrożona była jej skołatana nieszczęściem dusza.

W przeddzień wyjazdu Janina znalazła się przypadkiem w stajni. Nagle zadrżała, słysząc jakiś pomruk. To warczał Pogrom zapomniany przez nią od miesięcy. Ślepy i na pół sparaliżowany, dożywszy niezwykłego jak na psa wieku, wegetował na posłaniu ze słomy, dogładany przez Ludwinę. Janina wzięła go na ręce, uściskała i zaniósła do domu. Opasły jak beczka, włókł się z trudem na sztywnych łapach, rozstawiając je szeroko i szczekając skrzypliwie, podobnie jak drewniane psy, służące dzieciom za zabawkę.

I oto nadszedł dzień odjazdu. Janina spędziła noc w dawnym pokoju Juliana, gdyż jej własny był już opróżniony.

Rano wstała wyczerpana i zadyszana jak po długim biegu. Na podwórzu stał już wóz pełen kufrów i reszty sprzętów. Za nim czekała dwukółka, która miała zabrać Janinę i Rozalię.

Stary Szymon i Ludwina pozostawali sami w zamku, aż do przybycia nowego właściciela, a potem mieli przenieść się do krewnych. Janina wyznaczyła im niewielką rentę. Byli już teraz bardzo starzy, bezużyteczni i gadatliwi. Mariusz ożenił się i dawno już porzucił służbę.

Koło godziny ósmej zaczął mżyć lodowaty deszczyk. Od morza wiał lekki wiatr. Trzeba było przykryć wózek. Z drzew opadały liście.

Na stole w kuchni stały filiżanki z gorącą kawą. Janina usiadła i małymi łykami wypila swoją, a potem powiedziała wstając:

— Chodźmy!

Włożyła kapelusz i szal, a kiedy Rozalia wkładała jej kalosze, rzekła zdławionym głosem:

— Pamiętasz, moje dziecko, jaka była ulewa, kiedy jechaliśmy tutaj z Rouen...

Chwycił ją spazm: obie ręce przycisnęła do piersi i upadła do tyłu zemdlna.

Przeszło godzinę leżała jak nieżywa, a kiedy otworzyła oczy, chwyciły ją konwulsyjne drgawki i zaczęła płakać.

Gdy się trochę uspokoiła, była tak osłabiona, że nie miała siły się podnieść. Nie chcąc jednak opóźnić odjazdu w obawie przed nowymi atakami Rozalia zawołała syna i oboje dźwignęli leżącą, zanieśli ją do bryczki i posadzili na drewnianej ławce, pokrytej ceratą; stara służąca zajęła miejsce obok niej, otuliła jej nogi i okryła ją grubym płaszczem, a później, otwierając nad jej głową parasol, zawołała:

— Jedziemy, Dionizy!

Młody człowiek wdrapał się na bryczkę, przysiadł bokiem obok matki i zaciął konie, które ruszyły wyciągniętym kłusem. Za każdym wstrząśnięciem obie kobiety podskakiwały do góry.

Za zakrętem wiodącym do wsi spostrzegli jakiegoś człowieka, spacerującego tam i z powrotem wzdłuż drogi; był to ksiądz Tolbiac, który zdawał się czatować na chwilę ich odjazdu. Jedną ręką unosił do góry sutannę, żeby jej nie zamoczyć, a jego chude nogi w czarnych pończochach tonęły w olbrzymich pantoflach, oblepionych błotem.

Janina spuściła oczy, żeby nie spotkać jego wzroku, lecz Rozalia, która wiedziała o wszystkim, wpadła w gniew.

— A to łajdak — mruknęła — a później, chwytając syna za rękę, zawołała:

— A śmignij go tam batem!

W chwili, kiedy mijali księdza, młody człowiek wjechał całym pędem w kałużę, opryskując proboszcza błotem od stóp do głów.

Rozalia, rozpromieniona, odwróciła się pokazując mu zacisniętą pięść, a on wycierał sobie twarz olbrzymią chustką.

Ujechali już kawałek drogi, kiedy Janina wykrzyknęła nagle:

— Zapomnieliśmy o Pogromie!

Trzeba się było zatrzymać. Dionizy oddał lejce matce i pobiegł po psa.

Wrócił niebawem niosąc w ramionach zniekształcone chorobą i wyłysiałe zwierzę, które ułożył pomiędzy obiema kobietami.

XIII

W dwie godziny później bryczka zatrzymała się przed mурowanym domkiem zbudowanym nieopodal drogi i otoczonym sadem, pełnym grusz.

W jego czterech rogach stały cztery altanki, oplecione wiciokrzewiem i powojem, a pomiędzy grządkami biegły wąskie ścieżki, wysadzone drzewami owocowymi.

Wysoki żywopłot okalał tę posiadłość, oddzieloną polem od sąsiedniej fermy. Jakie sto kroków od niej znajdowała się kuźnia. Inne zabudowania wiejskie oddalone były o kilometr.

Naokół rozpościerał się widok na równinę Caux, usianą fermami, ginącymi wśród drzew.

Zaraz po przyjeździe Janina chciała się położyć, lecz Rozalia nie pozwoliła jej, bojąc się, że znów odda się rozpamiętywaniom.

Stolarz z Goderville czekał już na nich i zaraz przystąpiono do ustawiania przywiezionych rzeczy. Ostatnia ich partia miała nadjechać lada chwila.

Było to poważne zadanie, wymagające długich namysłów i narad.

Po upływie godziny ukazał się przed bramą oczekiwany wózek; wyładowywano go na deszczu.

Z nadejściem wieczoru dom znajdował się jeszcze w zupełnym nieładzie, pełen nagromadzonych byle jak przedmiotów. Janina, zmęczona pracą, usnęła natychmiast, jak tylko położyła się do łóżka.

W ciągu następnych dni nie miała czasu się roztkliwiać, obciążona mnóstwem zajęć. Odczuwała nawet pewną przyjem-

ność upiększając swą nową siedzibę, gdyż ani na chwilę nie opuszczała jej myśl, że jej syn zamieszka tu kiedyś.

Gobeliny z jej dawnej sypialni wisiały teraz w stołowym, który służył jednocześnie jako salon; ze specjalną pieczołowitością zajęła się urządzeniem jednego z pokoi na piętrze, nazywając go w myśli „pokojem Kurczątko“.

Drugi z nich zajęła sama, a Rozalia zamieszkała nad nią, obok strychu.

Domek przybrał teraz miły wygląd i Janina z początku dobrze się w nim czuła, chociaż zdawała sobie niejasno sprawę, że czegoś jej tu brak. Nie wiedziała tylko czego.

Pewnego dnia pomocnik notariusza z Fécamp przywiózł jej trzy tysiące sześćset franków za meble pozostawione w Peuples i ocenione przez tapicera. Na widok tych pieniędzy przebiegł ją radosny dreszcz i skoro tylko mężczyzna wyszedł, włożyła pośpiesznie kapelusz, chcąc jak najprędzej znaleźć się w Goderville i wysłać Pawłowi tę sumę.

Tymczasem na gościńcu spotkała Rozalię, wracającą z targu. Służącej od razu nasunęły się pewne podejrzenia, a kiedy Janina wyznała jej prawdę, gdyż nie potrafiła już nic przed nią ukryć, tamta odstawiła koszyk, żeby móc swobodnie dać upust swemu oburzeniu.

Wziąwszy się pod boki zaczęła wykrzykiwać, a później, prawą ręką ujmując pod ramię swą panią a w lewą biorąc koszyk, ruszyła gniewnie w stronę domu.

Kiedy były już na miejscu, zażądała, żeby Janina oddała jej pieniądze. Ta wręczyła jej część, sześćset franków zachowując przy sobie. Lecz jej podstęp prędko został odkryty przez podejrzliwą służącą i musiała oddać jej resztę.

Rozalia zgodziła się jednak, żeby tę pozostałość postać młodemu człowiekowi.

Po kilku dniach przyszedł od niego list z podziękowaniem, „Oddałaś mi, kochana mateczko, ogromną przysługę; byliśmy w strasznej biedzie“.

Janina nie mogła jednak przyzwyczaić się do Batteville; zdawało jej się ciągle, że nie oddychała tu tak jak dawniej,

że jest jeszcze bardziej samotna, jeszcze bardziej opuszczona, jeszcze bardziej zgubiona. Odbywała długie przechadzki — dochodziła do wioski Verneuil, wracała przez Trois-Mares i ledwo znalazła się z powrotem w domu, znów zrywała się do wyjścia, jakby ominęła po drodze to miejsce, do którego pragnęła się udać.

Powtarzało się to co dzień, ku jej własnemu zdziwieniu. Wreszcie pewnego wieczoru wyrwało jej się zdanie, które wyjaśniło jej przyczynę trawiącego ją niepokoju. Siadając do kolacji, powiedziała:

— Och! jakże ja bym chciała zobaczyć morze!

To morza tak jej tu brakowało, jej potężnego sąsiada od lat dwudziestu pięciu, z jego słonym oddechem, wybuchami gniewu, grzmiącym głosem i porywistymi wiatrami, morza, które widywała każdego ranka ze swego okna w Peuples, które wdychała dniem i nocą, czuła obok siebie i pokochała niepostrzeżenie.

Również i Pogrom żył w ogromnym podnieceniu. Zaraz pierwszego wieczora po przybyciu zainstalował się w dolnej części kredensu kuchennego i nie sposób go było stamtąd usunąć. Spędzał tam całe dni prawie nieruchomo, odwracając się tylko od czasu do czasu z głuchym pomrukiem.

Lecz z nadejściem nocy podnosił się i włókł ku furtce ogrodu objając się o ściany domu. Po pewnym czasie wracał, siadał na tylnych łapach przed ciepłym jeszcze piecem i skoro tylko obie jego panie udały się na spoczynek, zaczynał wyć.

Wył tak przez całą noc żałośnie i smutnie, milknąc czasem na godzinę, by skarżyć się potem w sposób jeszcze bardziej rozdzierający.

Uwiązano go w budzie przed domem. Wył wtedy pod oknami. Ponieważ był zniedołężniały i bliski śmierci wzięto go z powrotem do kuchni.

Janina nie mogła usnąć słysząc, jak jej stary przyjaciel żali się i drapie pazurami, nie potrafiąc oswoić się z nowym miejscem, rozumiejąc, że nie jest już u siebie.

Nic nie było w stanie go uspokoić. Znieruchomiły w półnie przez cały dzień, jak gdyby jego przygasły wzrok i świadomość własnego niedołęstwa nie pozwalały mu poruszać się wtedy, kiedy żyją i poruszają się inne stworzenia, z zapadnięciem zmroku zaczynał krążyć bez wytchnienia, jakby ciemności, w których wszyscy stają się ślepi, dodawały mu odwagi.

Pewnego ranka znaleziono go nieżywego. Obie kobiety odechnęły z ulgą.

Nadchodziła zima; Janinę ogarnęła nieprzewyciężona beznadziejność. Nie był to ów ostry ból, jaki czasem przeszywa duszę, lecz smutek mroczny i ponury.

Nie miała żadnej rozrywki, która by ją wyrwała z tego odrętwienia. Nikt się nią nie zajmował. Droga biegnąca przed jej domem była prawie zawsze pusta. Od czasu do czasu przejeżdżała nią jakaś dwukółka, powożona przez ogorzałego mężczyznę w bluzie, którą wydymał wiatr, upodabniając ją do niebieskiego balonu, przesuwał się zwolna wózek lub ukazywała w oddali para wieśniaków, ledwo dostrzegalnych na horyzoncie, rosnących w miarę, jak się przybliżali, a potem zmniejszających się znowu, aż robili się podobni do owadów, przy końcu tej białej linii, wydłużającej się w nieskończoność, wznoszącej się i opadającej miękko.

Kiedy ziemia zazieleniła się z powrotem, mała dziewczynka w krótkiej spódniczce przechodziła codziennie koło bramy, prowadząc dwie chude krowy, które skubały trawę w rowach przydrożnych. Wieczorem wracała, z miną zawsze jednakoowo senną, co dziesięć minut posuwając się o krok za pasącymi się zwierzętami.

Janinie śniło się co noc, że jest w Peuples.

Znajdowała się tam, jak niegdyś, z ojcem i mateczką, a czasem nawet z ciocią Lizą. Zdawało jej się, że odżywają rzeczy zapomniane i skończone, że podtrzymuje panią Adelajdę, spacerującą po swojej alei. Budząc się — płakała.

Mysłała stale o Pawle pytając się w duchu:

— Co też on robi? Jaki jest teraz? Czy pamięta jeszcze o mnie?

Przechadzając się z wolna wyboistymi drogami pośród ferm, bezustannie powracała do tych dręczących ją spraw, lecz najdotkliwszy ból sprawiała jej nie dająca się ugasić zazdrość o nieznaną kobietę, która porwała jej syna. Jedyne ta nienawiść powstrzymywała ją od tego, żeby udać się do niego. Wydawało jej się, że widzi jego kochankę, witającą ją od progu pytaniem:

— A panią co tutaj sprowadza?

Jako matka buntowała się na myśl o możliwości takiego spotkania, a jej wyniosła duma kobiety nieskazitelnie czystej sprawiała, że tchórzliwa uległość ludzka wobec miłości cielesnej budziła w niej coraz większy gniew. Ludzkość cała wydawała jej się skalana, kiedy myślała o wszystkich tych brudnych sekretach zmysłów, o pieszczotach, które upadlają, o tajemnicy długotrwałych związków miłosnych.

Minęła wiosna i lato.

Jednak gdy znów nadeszła jesień — długie deszcze, poszarzałe niebo i ciemne chmury, ogarnęło ją takie znużenie życiem, że postanowiła podjąć próbę odzyskania swego Kurczątka.

Namiętność młodego człowieka musiała się już chyba wyčerpać.

Napisała do niego list pełen udręki.

„Moje drogie dziecko!

Błagam cię, abyś do mnie powrócił. Pomyśl, że jestem stara, chora i przez cały rok sama, ze służącą tylko. Mieszkam teraz w małym domku przy drodze. To bardzo smutne. Ale gdybyś był tu ze mną, wszystko byłoby inaczej. Nie mam na świecie nikogo, oprócz ciebie, a nie widziałam cię od siedmiu lat! Nie dowiesz się nigdy, ile wycierpiałam i jaką mi byłęś pociechą w mych cierpieniach. Byłeś moim życiem, moim snem, moją jedyną nadzieją, moją jedyną miłością — i opuściłeś mnie. Nikt mi ciebie nie zastąpi.

Och, wróć do mnie, moje Kurczątko, wróć, żeby mnie uścisnąć, wróć do starej matki, która wyciąga do ciebie zrozpaczone ramiona.

Janina“.

Po kilku dniach otrzymała odpowiedź.

„Kochana Mamusiu!

Chętnie przyjechałbym do ciebie, ale nie mam ani grosza. Przyślij mi więc trochę pieniędzy na drogę. Sam nosiłem się z zamiarem odwiedzenia cię, gdyż chciałem pomówić z tobą o pewnym projekcie, który umożliwiłby mi powrót do ciebie.

Bezinteresowność i przywiązanie tej, która mi towarzyszy i która nie odstępowała ode mnie w najcięższych chwilach mego życia, są bezgraniczne. Nie mogę już dłużej zwlekać z uznaniem publicznie praw, jakie zyskała sobie swą wierną miłością. Jest to zresztą osoba bardzo dobrze wychowana, jak sama będziesz miała możność się o tym przekonać. Jest bardzo wykształcona i dużo czyta. Nie wyobrażasz sobie nawet, czyż ona jest dla mnie. Byłbym potworem, gdybym nie okazał jej wdzięczności. Proszę cię więc, abyś mi pozwoliła ją poślubić. Wybaczysz mi moje młodzieńcze wybryki i zamieszkamy wszyscy razem u ciebie.

Gdybyś ją знаła, zgodziłabyś się od razu na to, o co cię proszę. Zapewniam cię, że jest to osoba pod każdym względem doskonała i bardzo dystyngowana. Pokochałabyś ją, jestem tego pewien. Co do mnie, to nie potrafiłbym żyć bez niej.

Oczekuję z niecierpliwością twej odpowiedzi, kochana Mamusiu, i oboje ściskamy cię serdecznie.

Twój syn
wicehrabia Paweł de Lamare“.

Dla Janiny był to cios ostateczny. Siedziała nieruchomo z listem na kolanach, domyślając się, że wszystko to jest dziełem tej przebiegłej dziewczyny, która nie pozwoliła Pawłowi ani razu odwiedzić matki, czekając, aż nadejdzie właściwy moment, kiedy ta, nie mogąc opierać się dłużej rozpaczliwej chęci uściskania swego dziecka, zmięknie i zgodzi się na wszystko.

Świadomość uporczywej miłości syna do tej istoty rozdzierała jej serce.

— On mnie nie kocha. On mnie nie kocha — powtarzała w myśli.

Weszła Rozalia. Janina wyjąkała:

— On się chce z nią ożenić.

— Och! przecież pani do tego nie dopuści! Pan Paweł miałby się żenić z taką łajdaczką!

Janina przybita, lecz pełna buntu, odpowiedziała:

— Co to, to nie, moje dziecko. Nigdy! A ponieważ on nie chce tu przyjechać, więc ja pojedę do niego i zobaczymy, która z nas zwycięży.

Natychmiast napisała do Pawła, żeby zawiadomić go o swym przyjeździe i umówić się z nim, gdyż nie chciała przestąpić progu domu, zamieszkiwanego przez tę ładacznice.

Następnie, czekając na odpowiedź, zaczęła szykować się do podróży. Rozalia pakowała do starej walizy bieliznę i drobiazgi swej pani. Lecz wkładając do niej suknię, niemodną już suknię ogrodową, wykrzyknęła:

— Ależ pani nie ma się nawet w co ubrać! Nie pozwolę, żeby pani jechała tak do Paryża! Wstyd byłby tylko, a paryskie damy patrzyłyby na panią jak na służącą.

Janina ustąpiła potulnie i obydwie udały się do Goderville, gdzie kupiły materiału w zieloną kratę, który powierzono miejscowej krawcowej. Następnie wstąpiły do notariusza, pana Roussel, który co rok jeździł na dwa tygodnie do stolicy, żeby zasięgnąć u niego informacji, gdyż Janina od dwudziestu ośmiu lat nie była w Paryżu.

Udzielił jej licznych wskazówek, jak należy przechodzić przez ulicę, żeby nie wpaść pod koła pojazdów, i jak zabezpieczyć się przed złodziejami — poradził jej, żeby zaszyła pieniądze w podszewkę, a w kieszeni miała tylko niezbędną sumę. Opowiadał jej szeroko o niedrogich restauracjach, wskazał dwie czy trzy, w których mogła się pokazać uczciwa kobieta, i polecił Hotel Normandzki, w którym on sam się zatrzymywał, niedaleko dworca kolei żelaznej. Mogła się tam na niego powołać.

Już od sześciu lat istniała pomiędzy Paryżem a Havrem owa kolej żelazna, lecz Janina, zaprzętnięta jedynie własnym nieszczęściem, nie widziała jeszcze tych maszyn parowych, budzących wrzenie w całej okolicy.

Jednak odpowiedź od Pawła nie nadchodziła.

Janina czekała tydzień, dwa tygodnie, wychodząc co dzień naprzeciw listonosza i zbliżając się do niego z drżeniem:

— Nie ma nic dla mnie, ojcze Malandain?

A tamten odpowiadał niezmiennie, głosem ochryłym od słońc jesiennych:

— Tym razem jeszcze nie, proszę pani.

To ta kobieta nie pozwalała na pewno Pawłowi napisać do niej.

Wobec tego Janina postanowiła jechać natychmiast. Chciała zabrać z sobą Rozalię, lecz służąca odmówiła, nie chcąc powiększać kosztów podróży.

Nie pozwoliła zresztą zabrać swej pani więcej niż trzysta franków:

— Jak pani zabraknie, to mi pani napisze, a ja pójdę do notariusza, żeby wysłał pani więcej, a tak, to wszystko poszłoby od razu do kieszeni pana Pawła.

Pewnego grudniowego ranka wsiadły obydwie do bryczki Dionizego Lecoq, który odwiózł je na dworzec.

Dowiedziawszy się najpierw, ile kosztuje bilet, a następnie kiedy wszystko było już załatwione i walizka nadana na bagaż, stanęły na peronie, spoglądając na szyny i usiłując zrozumieć, na czym polegała tajemnica kolei żelaznej, tak pochłonięte tą sprawą, że zapomniały o smutnej przyczynie podróży.

Wreszcie w oddali rozległ się gwizd. Odwróciły głowy i ujrzały jakąś czarną maszynę, coraz to większą w miarę, jak się przybliżała. Nadjechała ze straszliwym hałasem i minęła je, ciągnąc za sobą długi łańcuch małych domków na kółkach; jakiś urzędnik otworzył drzwi jednego z nich i Janina, uściskawszy z płaczem Rozalię, weszła do środka.

Rozalia, wzruszona, wołała:

— Do widzenia pani! Szczęśliwej podróży! Do prędkiego zobaczenia!

— Do widzenia, moje dziecko!

Gwizdek, i sznur wozów zaczął toczyć się najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż pomknął z szybkością przerażającą.

W przedziale, do którego weszła Janina, w dwóch kątach spało dwóch mężczyzn.

Patrzyła na uciekające do tyłu wsie, drzewa, fermy i miasteczka, oszołomiona jazdą, czując, że przenosi się do jakiegoś nowego świata, który różnił się całkowicie od jej własnego, od świata jej spokojnej młodości i monottonnych dni.

Nadchodził już wieczór, kiedy pociąg przyjechał do Paryża.

Janina oddała walizkę tragarzowi i szła za nim, biegnąc prawie w obawie, żeby nie stracić go z oczu, zalekniona, پوستurchiwana, z trudem przeciskając się przez ruchliwy tłum.

Kiedy znalazła się w hotelu, oświadczyła pośpiesznie:

— Pan Roussel powiedział mi, że mogę powołać się na niego zatrzymując się tutaj.

Siedząca za biurkiem właścicielka, potężna kobieta o poważnej twarzy, zapytała:

— A kto to taki, ten pan Roussel?

— Ależ to notariusz z Goderville, który zatrzymuje się tutaj co roku — odparła Janina ze zdumieniem.

— Może być. Nie znam go — oświadczyła gruba dama. — Czy chciała pani wynająć pokój?

— Tak, proszę pani.

Weszła na schody za chłopcem, który wziął jej bagaże.

Czuła, że serce ma ściśnięte. Usiadła przy stoliku i poprosiła o rosół i skrzydełko kurczęcia. Od rana nie miała nic w ustach.

Jadła smutnie przy nikłym świetle świecy, rozmyślając o wielu rzeczach, przypominając sobie swój pobyt w tym mieście po powrocie z podróży poślubnej, pierwsze objawy niemiłego usposobienia Juliana. Ale wtedy była młoda, pełna ufności i sił, a teraz czuła się stara, bezradna, zalekniona i słaba. Kiedy skończyła jeść, podeszła do okna i wyjrzała na

rojną ulicę. Miała ochotę wyjść, ale nie śmiała. Była pewna, że zabłądziłaby od razu. Położyła się i zgasiła światło.

Jednakże gwar, świadomość, że znajduje się w obcym mieście, i podniecenie podróżą nie pozwalały jej zasnąć. Mijały godziny. Zgiełk uliczny przycichał zwolna, lecz ją drażnił tylko ten niby-spoczynek wielkich miast. Przyzwyczajona była do ciszy i głębokiego snu pól, pogrążającego w bezruchu ludzi, zwierzęta i rośliny, a tymczasem tutaj wyczuwała, że wokół niej pulsuje jakieś utajone życie. Ledwo dosłyszalne głosy dobiegały jej uszu, jakby udało im się wśliznąć pomiędzy cegły murów. Czasem zaskrzypiała podłoga, zamknęły się jakieś drzwi, zadźwięczał dzwonek.

Koło drugiej w nocy, kiedy już usypiała, w sąsiednim pokoju krzyknęła nagle jakaś kobieta; Janina zerwała się i usiadła na łóżku; wydało jej się, że w chwilę potem rozległ się śmiech mężczyzny.

W miarę jak zbliżał się dzień, myśl o Pawle stawała się coraz bardziej nieustępliwa. Było jeszcze szaro, kiedy Janina wstała.

Paweł mieszkał na ulicy Sauvage, w najstarszej części miasta. Postanowiła pójść tam pieszo, stosując się do oszczędnościowych wskazówek Rozalii. Pogoda była ładna; zimne powietrze szczypało w twarz; przechodnie mijali ją szybkim krokiem śpiesząc się dokądś. Szła jak mogła najprędzej ulicą, przy końcu której miała skręcić na prawo, a potem na lewo. Doszedłszy do placu miała zapytać się o dalszą drogę. Nie znalazła tego placu i zwróciła się do jakiegoś piekarza, lecz informacje, jakich jej udzielił, brzmiały wręcz odmiennie. Ruszyła dalej, zabłądziła, zaczęła krążyć bezradnie po ulicach, dowiadywać się o drogę, aż do reszty straciła orientację.

Prerażona nie wiedziała już teraz, gdzie się znajduje, ani dokąd idzie. Miała zawołać dorożkę, kiedy nagle ujrzała Sekwanę i poszła jej brzegiem.

Po godzinie znalazła się na ulicy Sauvage. Była to mała, ciemna uliczka. Janina zatrzymała się przed jedną z bram tak wzruszona, że nie mogła zrobić ani kroku dalej.

Tu, w tym domu, jest jej Kurczątko.

Czuła, że drżą jej kolana i ręce. Wreszcie weszła, zagłębiła się w jakiś korytarz, zobaczyła budkę odźwiernego i zapytała, podając mu monetę:

— Czy mógłby pan pójść na górę i powiedzieć panu Pawłowi de Lamare, że pewna starsza dama, przyjaciółka jego matki, czeka na niego?

— On tu już nie mieszka, proszę pani — odparł odźwierny. Przeszył ją dreszcz.

— Ach! a... gdzie... gdzie on mieszka? — wyjąkała.

— Nie wiem.

Poczuła, że robi jej się słabo, jakby miała zemdleć, i przez chwilę nie mogła wydobyć ze siebie głosu. Opanowała się z wysiłkiem i szepnęła:

— A kiedy się wyprowadził?

Udzielił jej szczegółowych wyjaśnień:

— Będzie ze dwa tygodnie. Wyszli jednego wieczoru i już nie wrócili. Wszędzie naokoło mieli długi, więc pani sama rozumie, że nie zostawili adresu.

Przed oczyma Janiny zamigotały ogniste błyski, jakby tuż przed nią padł wystrzał. Lecz uporczywa myśl o Pawle, o tym, żeby go odnaleźć, kazała jej zachować pozorny spokój.

— Więc nie powiedział odchodząc?

— Ani słówka. Uciekli stąd, żeby nie płacić długów.

— Ale przysłał chyba kogoś po listy?

— Częściej nawet, niż jest po co. Kto tam do nich pisze! Nie dostawali i dziesięciu listów na rok. A akurat na dwa dni przedtem, jak się wyprowadzili, zaniósłem im jeden na górę.

Był to na pewno list od niej. Powiedziała szybko:

— Słuchajcie, jestem jego matką i przyjechałam tutaj, żeby go odszukać. Proszę, oto dziesięć franków. Jeżeli dowiecie się czegoś o nim, to dajcie mi znać, a dobrze wam zapłacę. Mieszkam w hotelu Normandzkim przy ulicy du Havre.

— Może pani na mnie liczyć — odpowiedział.

Umknęła stamtąd czym prędzej.

Szła przed siebie nie zastanawiając się, dokąd idzie. Spieszyła się, jakby miała do załatwienia jakąś ważną sprawę; przemykała pod ścianami domów, potrącana przez ludzi z paczkami w rękę; przechodziła na drugą stronę ulicy nie zważając na pojazdy, odprowadzana przekleństwami woźniców; potykała się na stopniach, których nie dostrzegała; biegła przed siebie z rozpaczą w duszy.

Nagle znalazła się w jakimś ogrodzie; poczuła się tak zmęczona, że usiadła na ławce. Siedziała na niej długo, sama nie wiedząc o tym, że łzy płyną jej po twarzy. Ludzie przystawali i przyglądali jej się. Przeniknął ją chłód, podniosła się więc i ruszyła chwiejnym krokiem, tak była przybita i słaba.

Miała ochotę wejść do restauracji, żeby się posilić, ale nie śmiała, bojąc się, że każdy wyczyta z jej twarzy cierpienie i wstydząc się, że nie potrafi go ukryć. Zatrzymywała się na chwilę przed drzwiami wejściowymi, zaglądała do środka i uciekała onieśmielona widokiem ludzi siedzących przy stolikach, mówiąc sobie: „Wejść do następnej“. Lecz przy następnej powtarzało się to samo.

Wreszcie kupiła w piekarni bułeczkę, okrąglą jak księżyc, i zaczęła ją jeść idąc. Miała ogromne pragnienie, ale ponieważ nie wiedziała, gdzie mogłaby się czegoś napić, więc zrezygnowała z tego.

Minęła jakąś bramę w kształcie łuku i znalazła się w innym ogrodzie, otoczonym arkadami. Poznała Pałac Królewski.

Rozgrzana słońcem i ruchem usiadła znów i spędziła tak koło dwóch godzin.

Park zapełniał się powoli. Elegancy panowie i piękne panie rozmawiali ze sobą, uśmiechali się, wymieniali ukłony. Otoczyli ją ludzie szczęśliwi i bogaci, których życie wypełniała zabawa i stroje.

Poczuła się nieswojo pośród tego tłumu osób z najlepszego towarzystwa i wstała, żeby stamtąd odejść, lecz nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby spotkać między nimi Pawła, i zaczęła krążyć tam i z powrotem po alejach, pokornie i śpiesznie, przyglądając się ukradkiem twarzom mężczyzn.

Ludzie odwracali się za nią i pokazywali ją sobie ze śmiechem. Zauważyła to i uciekła, pewna, że szydzą z jej wyglądu i z jej sukni w zieloną kratę, wybranej przez Rozalię i uszytej według jej wskazówek przez krawcową z Goderville.

Nie śmiała już teraz pytać przechodniów o drogę. Ostatecznie jednak udało jej się odnaleźć swój hotel.

Resztę dnia spędziła siedząc nieruchomo na krześle, w nogach łóżka. Na kolację zjadła, jak i poprzedniego dnia, trochę rosółu i kawałeczek mięsa. Potem położyła się spać, wykonując każdą czynność machinalnie, z przyzwyczajenia.

Następnego ranka udała się do prefektury policji, prosząc, żeby odszukano jej dziecko. Obiecano jej zająć się tą sprawą, nie robiąc jednak żadnych widoków.

I znów snuła się po ulicach w nadziei, że spotka syna. Pośród otaczającego ją ożywionego tłumu czuła się jeszcze bardziej samotna, jeszcze bardziej zgubiona i nieszczęśliwa niż pośród pustych pól.

Kiedy wróciła wieczorem do hotelu, powiedziano jej, że pytał się o nią jakiś człowiek, przysłany przez pana Pawła i, że nazajutrz przyjdzie on znowu. Fala krwi napłynęła jej do serca i przez całą noc nie zmrużyła oka. Może to był on sam? Tak, na pewno, chociaż nie byłaby go poznała z podanego jej rysopisu.

Koło dziewiątej rano ktoś zapukał do jej drzwi. Zawołała: — Proszę! — gotowa rzucić się z otwartymi ramionami na przywitanie.

Ukazał się jakiś nieznajomy. Usprawiedliwiał swe przybycie, wyjaśniając, co go sprowadza — dług Pawła, o którego spłacenie przyszedł się upomnieć — a ona ocierała palcem łzy, napływające jej do oczu, nie chcąc, żeby zauważył, że płacze.

Dowiedział się o jej przybyciu od stróża z ulicy Sauvage, a nie mogąc odnaleźć młodego człowieka, postanowił zwrócić się do matki. Podał jej kwit, który wzięła bezmyślnie. Przeczytała na nim cyfrę 90 franków, wyciągnęła sakiewkę i zapłaciła.

Tego dnia nie wychodziła z hotelu.

Nazajutrz zgłosili się inni wierzyciele. Wydała wszystkie pieniądze, jakie miała, zostawiając sobie koło dwudziestu franków i napisała do Rozalii, żeby zasięgnąć jej rady.

Całymi dniami błąkała się po mieście, czekając na odpowiedź, nie wiedząc, co robić, w jaki sposób zabić te niekończące się, ponure godziny, nie mając do kogo odezwać się czulszym słowem, ani z kim podzielić się swym cierpieniem. Chodziła ulicami bez celu, targana pragnieniem wyjazdu, powrotu do małego domku przy samotnej drodze.

Jeszcze parę dni temu wydawało jej się, że nie potrafi tam żyć, tak była przygnębiona i zboląa, a teraz czuła, że — przeciwnie — nie umiałaby już żyć gdzie indziej, że wrosła w tamtą monotonię i smutek.

Wreszcie pewnego wieczoru zastała w hotelu list i dwieście franków.

Rozalia pisała:

„Proszę pani, niech pani wraca jak najprędzej, bo ja już więcej pieniędzy nie wyślę. Co do pana Pawła, to ja sama pojedę do niego, jak otrzymamy od niego jakąś wiadomość.

Pozdrawiam Panią, służąca
Rozalia“.

W mroźny poranek, kiedy padał śnieg, Janina wyruszyła z powrotem do Batterville.

XIV

Od tej pory przestała wychodzić z domu. Wstawała co dzień o tej samej porze, wyglądała oknem, żeby się przekonać, czy jest pogoda, schodziła do jadalni i siadała naprzeciw kominka.

Spędzała tam całe dnie, nieruchoma, z oczyma utkwionymi w płonącym ogniu, pogrążona w żalosej zadumie i w rozpałmiętywaniu swych nieszczęść. Pokój ogarniały zwolna ciemności, a ona dorzucała tylko od czasu do czasu drew do kominka. Rozalia przynosiła lampę i wołała:

— Trzeba się trochę poruszać, proszę pani, bo znów nie będzie pani miała apetytu na kolację.

Nie mogła uwolnić się od dręczących myśli, a najmniejsze drobiazgi urastały w jej chorej głowie do miary wielkich wydarzeń.

Żyła przede wszystkim przeszłością, dawno minioną przeszłością, wydana na łup wspomnieniom z czasów młodości, ze swej podróży poślubnej na Korsykę. W świetle żarzących się głowni ukazywały jej się nagle zapomniane krajobrazy; każdy szczegół, każde najdrobniejsze wydarzenie, każda z napotykanych tam twarzy, wszystko to odżywało w jej pamięci. Widziała przed sobą głowę przewodnika, Jana Ravoli, a chwilami zdawało jej się, że słyszy jego głos.

Myślała również o słodkich latach dzieciństwa Pawła, kiedy to przesadzała z nim sałatę, klęcząc na tłustej ziemi obok cioci Lizy, rywalizując z nią o względy dziecka i walcząc o to, która z nich lepiej wykona poleczone sobie zadanie.

Wargi jej szeptały cicho:

— Moje Kurczątko, moje maleńkie Kurczątko — jakby miała go przed sobą.

Marzenia jej urywały się czasem na tym słowie i wówczas, wyciągniętym przed siebie palcem, usiłowała napisać je w powietrzu. Zwolna kreśliła litery, wyobrażając sobie, że widzi je w świetle ognia; a kiedy zdawało jej się, że się pomyliła, powracała do dużego K, ręką drżącą ze zmęczenia, starając się dociągnąć imię do końca. A potem zaczynała od nowa.

Znużona mieszała wreszcie litery, otrzymywała inne słowa rozdrażniając się do ostateczności.

Nabrała wszystkich przyzwyczajzeń ludzi żyjących samotnie. Każda najdrobniejsza zmiana wyprowadzała ją z równowagi.

Rozalia zmuszała ją często do spacerów, wyprowadzała na drogę; lecz po upływie kilkunastu minut Janina oświadczała:

— Nie mam już sił, moje dziecko — i siadała w rowie.

Wkrótce nabrała odrazy do jakiegokolwiek wysiłku i pozostawała w łóżku jak mogła najdłużej.

Od czasów dzieciństwa pozostawała była dotąd wierna przyzwyczajeniu zrywania się z łóżka natychmiast po wypiciu filiżanki białej kawy. Przywiązywała zresztą do tego napoju przesadną wagę i brak jego odczułaby dotkliwiej niż czegokolwiek innego. Każdego ranka oczekiwała przyjścia Rozalii z niecierpliwością trochę zmysłową i skoro tylko filiżanka znalazła się na szafce nocnej, Janina siadała na łóżku i wypijała łączywie jej zawartość. Następnie, odrzucała kołdrę i zaczynała się ubierać.

Stopniowo jednak przywykła do tego, że — odstawiwszy filiżankę na spodek — kładła się z powrotem i pogrążała w zadumie; z dnia na dzień przedłużała tę chwilę rozleniwienia, aż wreszcie Rozalia wracała z gniewem do pokoju i ubierała ją prawie siłą.

Nie miała już zresztą ani odrobiny własnej woli i ilekroć służąca prosiła ją o radę lub pytała o zdanie, odpowiadała:

— Rób, jak uważasz, moje dziecko.

Była przekonana, że los sprzyścił się przeciwko niej, i stała się fatalistką, jak ludzie Wschodu. Przyzwyczajona do tego, że wszystkie jej marzenia obracały się w niwecz, wszystkie nadzieje zawodziły, nie śmiała już teraz nic przedsiębrać, wahała się całymi dniami, zanim powzięła najbliższą decyzję, przekonana, że ta obróci się — jak zawsze — przeciwko niej.

Powtarzała stale:

— Już ja nigdy nie miałam szczęścia w życiu — na co Rozalia wykrzykiwała:

— A co by pani powiedziała, gdyby pani musiała pracować na chleb, wstawać co dzień o szóstej rano i iść do roboty? Wiele jest kobiet, które zmuszone są do tego, a jak się zestarzeją i nie mają już sił, to umierają z głodu.

— Ale pomyśl, że ja jestem zupełnie sama, że syn mnie opuścił — odpowiadała Janina.

Rozalia wpadała wtedy w gniew:

— No to i co! A matki, których synowie są w wojsku albo wyjechali do Ameryki?

Ameryka była dla niej jakąś nieokreśloną krainą, do której ludzie udają się, żeby zdobyć fortunę i z której już nie powracają.

— Zawsze musi nadejść taka chwila — ciągnęła — kiedy trzeba się rozstać, bo młodzi nie są stworzeni na to, żeby żyć razem ze starymi.

— A co by pani dopiero powiedziała, gdyby tak pan Paweł umarł? — kończyła surowo.

Janina nie znajdowała na to żadnej odpowiedzi.

Z nadejściem wiosny, kiedy powietrze stało się bardziej łagodne, odzyskała trochę sił, lecz ten nawrót energii posłużył jej tylko do tego, żeby jeszcze głębiej pograżyć się w ponurych myślach.

Pewnego ranka poszła na strych, chcąc tam czegoś poszukać, i przypadkiem tworzyła skrzynkę, pełną starych kalendarzy, zachowanych wiejskim zwyczajem.

Wydało jej się, że odnalazła swą przeszłość i ogarnęło ją dziwne wzruszenie na widok tych kwadratowych kartoników.

Zniosła je na dół. Były rozmaitej wielkości — duże i małe. Zaczęła układać je na stole, według lat. I nagle odnalazła ten pierwszy, przywieziony przez nią do Peuples.

Przyglądała mu się długo, przypatrywała się dniom, wykreślonym przez nią tego ranka, kiedy wyjeżdżała z Rouen, nazajutrz po opuszczeniu klasztoru. I zapłakała. Zapłakała gorzkimi, powolnymi łzami staruszki, przed którą rozpostarło się oto na stole całe jej żałosne życie.

I przyszła jej do głowy pewna myśl, która wkrótce zamieniła się w straszliwą obsesję. Postanowiła przypomnieć sobie, dzień po dniu, co robiła od tamtej pory.

Poprzypinała do ścian, do gobelinów, wszystkie poźółkłe kartony i spędzała całe godziny to przed jednym, to przed drugim z nich, zadając sobie pytanie:

— Co zdarzyło się wtedy, tego miesiąca?

Zaznaczyła kreskami pamiętne daty swej historii i udawało jej się czasem odtworzyć w całości niektóre miesiące, grupując, łącząc ze sobą wszystkie drobne fakty poprzedzające któreś z tych ważnych wydarzeń lub następujące po nim.

Dzięki ogromnemu skupieniu uwagi, wysiłkom pamięci i napięciu woli zdołała wskrzesić dwa pierwsze lata pobytu w Peuples; wspomnienia, im bardziej odległe, z tym większą nasuwały jej się łatwością i plastyką.

Lecz następne lata zdawały gubić się we mgle, płatać ze sobą i gmatwać; na próżno wysilała myśl ku Minionemu, niejednokrotnie nie potrafiła nawet uświadomić sobie, czy to w tym kalendarzu, nad którym pochylała się akurat, należało szukać danego wspomnienia.

Chodziła od jednego do drugiego wokół pokoju, na którego ścianach, niby stacje Męki Pańskiej, wisiały te obrazy minionych dni. Nagle zatrzymywała się przed którymś z nich, przysuwała sobie krzesło i aż do nocy pozostawała na nim, nieruchoma, zapatrzona w kalendarz, oddana poszukiwaniom.

Tymczasem, kiedy uspione soki obudziły się, rozgrzane słońcem, zboże zaczęło kielkować na polach, drzewa okryły się

zielenią, a jabłonie, podobne do różowych kul, napelniły wonią całą dolinę, Janinę ogarnęło ogromne podniecenie.

Nie mogła usiedzieć na miejscu; po kilkanaście razy dziennie wychodziła z domu i wracała, zapuszczając się czasem na dalekie spacery pośród ferm i popadając w gorączkowe uniesienia, pełne żalu.

Widok stokrotki ukrytej w kępce trawy, promienia słonecznego ślizgającego się po liściach, kałuży, w której odbijało się niebo, poruszał ją do głębi, wzruszał i rozczulał budząc w niej uczucia, jakich doznawała niegdyś, jakby echo tego, co przeżywała jako młoda dziewczyna, kiedy błądząc wśród pól oddawała się marzeniom.

To samo drżenie, ta sama słodycz i ten sam niepokojący urok pierwszych pogodnych dni przenikały ją wówczas, gdy żyła jeszcze w oczekiwaniu przyszłości. Odczuwała je i teraz, kiedy przyszłość była już dla niej zamknięta. Rozkoszowała się nimi, lecz i cierpiała jednocześnie, jak gdyby nieśmiertelna radość odradzającej się natury przenikając jej wyschniętą skórę, wyziębłą krew i przygnębioną duszę, potrafiła obudzić w niej jedynie słaby i bolesny odzew.

Zdawało jej się również, że coś zmieniło się na okół niej. Słońce nie grzało już tak silnie, jak za dni jej młodości, niebo utraciło coś ze swego błękitu, a trawa ze swej zieleni; kwiaty, bledsze i mniej wonne, nie odurzały jej swym zapachem tak, jak dawniej.

Zdarzały się jednak dni, kiedy ogarniała ją taka błogość, że na nowo oddawała się marzeniom, nadziei i oczekiwaniu; bo czyż można, mimo okrucieństw losu, oprzeć się nadziei kiedy na świecie jest pięknie?

Potrafiła iść przed siebie całymi godzinami, smagana wewnętrznym niepokojem. A czasem zatrzymywała się nagle, siadała przy drodze i popadała w smutną zadumę. Dlaczego nie była kochana tak, jak bywają kochane inne kobiety? Dlaczego nie danym jej było zaznać choćby tylko prostej radości życia, wolnego od wstrząsów?

Czasem znów zapominała na chwilę, że jest stara, że pozostało jej już tylko kilka lat ponurych i samotnych, że całe jej życie jest poza nią i — jak niegdyś, kiedy miała lat szesnaście, snuła projekty drogie jej sercu, roiła o czarownej przyszłości. Twarde poczucie rzeczywistości wyrывało ją z tych marzeń; podnosiła się obolała, jakby przygnieciona nagłym ciężarem, i z wolna ruszała ku domowi, szepcząc:

— Och, stara wariatko, stara wariatko!

Rozalia napominała ją teraz co chwila:

— Siedziałyby pani lepiej spokojnie, zamiast się tak kręcić.

— Cóż chcesz, jestem teraz jak Pogrom niedługo przed śmiercią, — odpowiadała smutnie Janina.

Pewnego ranka służąca weszła do jej pokoju wcześniej niż zwykle i stawiając kawę na szafce nocnej powiedziała:

— Niech pani pije szybko. Dionizy czeka na nas przed bramą. Pojedziemy do Peuples, bo mam tam coś do załatwienia.

Janinę ogarnęło takie wzruszenie, że o mało nie zemdlą; ubierała się drżąc z wrażenia, obezwładniona myślą, iż ma zobaczyć swój ukochany dom.

Nad światem rozpościerało się promienne niebo; ogarnięty wesołością konik puszczał się od czasu do czasu galopem. Kiedy wjechali na teren gminy d'Étouvent, Janina poczuła, że coraz trudniej jej oddychać, a kiedy ujrzała bramę z jej czerwonymi filarami z cegły, szepnęła mimo woli dwa czy trzy razy:

— Och. — jak na widok czegoś wstrząsającego.

Zatrzymano się u Couillardów, a kiedy Rozalia poszła z synem załatwiać sprawy, dla których przyjechała, dzierżawcy zaproponowali Janinie, żeby korzystając z nieobecności właścicieli odwiedziła pałac, i dali jej klucze.

Udała się tam sama i kiedy znalazła się przed starym domostwem od strony morza, zatrzymała się, żeby mu się przyjrzeć. Na zewnątrz nic się nie zmieniło. Po wyblakłych murach obszernej budowli błędziły tego dnia uśmiechy słońca. Wszystkie okiennice były pozamykane.

Jakaś zeschnięta gałązka upadła jej na suknię; podniosła oczy: wiatr przyniósł ją od platanu. Zbliżyła się do grubego drzewa o korze gładkiej i jasnej i pogłaskała je jak zwierzę. Stąpając po trawie potrąciła nogą o kawałek zbutwiałego drzewa; był to szczątek ławki, na której siadywała tak często z najbliższymi, ławki, którą postawiono w dniu pierwszej wizyty Juliana.

Weszła na ganek, z trudem przekreśliła w zamku klucz, pokryty rdzą, i pchnęła ciężkie drzwi, które ustąpiły niechętnie.

Kiedy znalazła się w środku, niemal że biegiem skierowała się do swego pokoju. Obity był jasną tapetą i nie poznała go w pierwszej chwili, lecz gdy otworzyła okno, zadrżała, wstrząśnięta do głębi widokiem ukochanego krajobrazu, gaju, wierzów, wydm i morza, usianego brunatnymi żaglami, które zdawały się znieruchomiałe w oddali.

Zaczęła krążyć po tym wielkim, opustoszałym domu. Odnajdywała znajome plamy na ścianach. Zatrzymała się przed dziurką, wydrążoną czubkiem laski przez barona, który lubił, przechodząc tędy, udawać, że się fechtuje — przypominało mu to czasy młodości.

W pokoju mateczki znalazła, wpiętą w ciemnym kącie koło łóżka, cienką szpilkę ze złotą główką, którą sama tu niegdyś zostawiła (przypomniła to sobie teraz dokładnie), a potem szukała jej bezskutecznie przez długie lata. Nikt jej nie dojrzał. Wzięła ją jak bezcenną relikwię i ucałowała.

Zaglądała wszędzie, oddana poszukiwaniom, odnajdując na tapetach, których nie zmieniono do tej pory, ślady niemal nieodróżnialne, przypominając sobie owe dziwaczne figury, w jakie układają się często w naszej wyobraźni desenie tkanin, żyłki marmurów i cienie na suficie, pożółkłym ze starości.

Przesuwała się bezszelestnie, sama w olbrzymim pałacu, pełnym milczenia, wędrując po nim jak po cmentarzu. Pogrzebane tu było całe jej życie.

Zeszła do salonu. Zamknięte okiennice nie dopuszczały światła i przez chwilę nie mogła nic rozróżnić, w miarę jednak, jak wzrok jej przyzwyczajał się do ciemności, coraz wyraźniej do-

strzegą tapety z przechadzającymi się po nich ptakami. Dwa fotele stały przy kominku, jakby jeszcze przed chwilą ktoś na nich siedział. Poczula, jak przenika ją znajoma woń—łagodny, nieokreślony zapach starych pokoi, łatwy jednak do rozpoznania, gdyż każdy z nich ma swój własny, podobnie jak żywe istoty — otaczając ją wspomnieniami, ożywiając obrazy, zastygłe w jej pamięci. Dysząc upajała się tym oddechem przeszłości, nie odrywając wzroku od dwóch foteli. I nagle wydało jej się, że widzi — ulegając halucynacji zobaczyła, tak, jak widywała ich niegdyś — ojca i matkę, grzejących nogi przy kominku.

Cofnęła się przerażona, uderzyła plecami o drzwi, chwyciła się ich, żeby nie upaść, lecz w dalszym ciągu nie spuszczała oczu z foteli.

Widzenie znikło.

Przez chwilę stała jeszcze oszołomiona, a kiedy odzyskała przytomność umysłu, chciała uciekać bojąc się, że ogarnia ją szaleństwo. Wzrok jej padł wtedy przypadkiem na futrynę, o którą się opierała, i zobaczyła drabinkę Kurczątka.

Nieznaczne kreski wznosiły się jedna nad drugą w nierównych odstępach, a wycięte scyzorykiem cyfry wskazywały wiek i wzrost jej syna. Poznawała duże pismo barona, drobniejsze swoje własne i trochę niepewne cioci Lizy. I wydało jej się, że jej mały synek sprzed lat stoi przed nią i przykłada swoją jasnowłosą główkę do drzwi, żeby dać się zmierzyć.

Baron woła:

— Janinko, urósł o centymetr!

W nagłym porywie szalonej miłości zaczęła całować futrynę.

Lecz ze dworu dobiegł ją głos Rozalii:

— Proszę pani, proszę pani, śniadanie czeka!

Wyszła, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Nie rozumiała, co do niej mówiono. Jadła, co jej podawano, słuchała rozmowy, nie zdając sobie sprawy z jej treści, odpowiadała dzierżawczyńiom, dopytującym się o jej zdrowie, pozwalała się całować i sama całowała podsuwane jej policzki, wsiadła do dwukółki.

Kiedy wysoki dach pałacu zniknął za drzewami, serce jej rozdarł straszliwy ból. Poczwała, że na zawsze już rozstaje się ze swym domem.

Wrócili do Batteville.

Pod drzwiami zauważono coś białego. Był to list, wetknięty tam przez listonosza podczas jej nieobecności. Poznała natychmiast pismo Pawła i otworzyła kopertę drżąc z lęku.

„Kochana Mamusiu!

Nie pisałem do ciebie wcześniej, gdyż sam wybierałem się stale do Batterville i nie chciałem, żebyś niepotrzebnie męczyła się podróżą do Paryża. Tymczasem spotkało mnie wielkie nieszczęście i znajduję się w sytuacji bez wyjścia. Żona moja urodziła przed trzema dniami córeczkę, lecz sama jest umierająca. Nie mam ani grosza. Nie wiem, co robić z dzieckiem, stróżka karmi je smoczkiem, lecz boję się, że i ono też długo nie pożyje. Czy nie mogłabyś się nim zaopiekować? Zupełnie nie wiem, co robić, a nie mam pieniędzy, żeby wziąć do niego mamkę. Odpisz mi odwrotną pocztą.

Kochający cię syn,
Paweł“.

Janina osunęła się na krzesło i ledwo starczyło jej sił, żeby zawołać Rozalię. Kiedy tamta przyszła, raz jeszcze przeczytały wspólnie list, po czym zapadło między nimi długie milczenie.

— No cóż, pojedę po małą — odezwała się wreszcie Rozalia. — Nie można jej przecież tak zostawić.

— Jedź, moje dziecko — odparła Janina.

I znów zamilkły. Po chwili służąca podjęła:

— Niech pani włoży kapelusz, pójdziemy do Goderville, do notariusza. Jeżeli tamta ma umrzeć, to trzeba, żeby się pan Paweł z nią ożenił, ze względu na małą.

Bez słowa, Janina włożyła kapelusz. Głęboka radość zalewała jej serce, zła radość, którą za wszelką cenę pragnęła ukryć, jedna z owych godnych potępienia radości, rumieńcem okry-

wających czoło, lecz rozkosznym dreszczem przenikających mroki duszy: kochanka jej syna była umierająca.

Notariusz udzielił służącej szczegółowych wskazówek, powtarzając je na jej prośbę po kilka razy. Kiedy była pewna, że nie popełni omyłki, oświadczyła:

— Niech się pani o nic nie boi, już ja się wszystkim zajmę. I tej samej nocy pojechała do Paryża.

Janina spędziła dwa dni w takim zamęcie myśli, że nie zdolna była nad niczym się zastanowić. Trzeciego dnia rano otrzymała parę słów od Rozalii, która zawiadamiała ją o swym przyjeździe wieczornym pociągiem. To było wszystko.

Koło trzeciej po południu kazała zaprząć do bryczki, którą sąsiad zawiózł ją na dworzec do Bateville, gdzie miała czekać na służącą.

Stała na peronie obejmując wzrokiem prostą linię szyn, zbiegających się ze sobą na horyzoncie. Od czasu do czasu spoglądała na zegar. Jeszcze dziesięć minut — jeszcze pięć minut — jeszcze dwie minuty — już. Lecz daleka droga była pusta. Nagle dostrzegła jakąś białą plamę, kłęb dymu, a później, pod nim, jakiś czarny punkt, który powiększał się, powiększał, zbliżając się z ogromną szybkością. Wielka maszyna, zwalniając biegu, przejechała sapiąc obok Janiny, która wpatrywała się w drzwiczki wagonów. Niektóre z nich otwierały się — wysiadali pasażerowie: gospodarze w bluzach, gospodynie z koszykami, mieszkańcy miasteczek w kapeluszach. Wreszcie ukazała się Rozalia, niosąc w ramionach jakiś tłumoczek.

Janina chciała podejść ku niej, lecz nogi uginały się pod nią i bała się, że upadnie. Dostrzegłszy ją służąca skierowała się w jej stronę z właściwym jej wyrazem spokoju na twarzy i powiedziała:

— Dzień dobry pani, kłopotu miałam dużo, ale już jestem z powrotem.

— No i jak tam? — wyjąkała Janina.

— Umarła tej nocy — odpowiedziała Rozalia. — Wzięli ślub, a tu jest mała.

I wyciągnęła ku niej dziecko, niewidoczne pod przykryciem.

Janina wzięła je machinalnie i wyszły z dworca, po czym wsiadły do bryczki.

— Pan Paweł przyjedzie po pogrzebie — podjęła Rozalia. — Pewnie jutro, o tej samej porze.

— Paweł... — szepnęła Janina i umilkła.

Słońce chyliło się na skraj nieboskłonu, zatapiając w jasności zieloną równinę, złocącą się tu i ówdzie kwitnącym rzepakiem i płonąca czerwienią maków. Bezmierny spokój unosił się nad ziemią, w której krążyły rozbudzone soki. Bryczka jechała szybko, a woźnica cmokał językiem, popędzając konia.

Janina spoglądała przed siebie, na niebo, po którym śmigaly jaskółki, jak snopy rakiet, opadające półkoliście. Nagle, poprzez suknie okrywające jej nogi przeniknęło ją łagodne ciepło młodego życia, pogrążonego we śnie na jej kolanach.

Ogarnęło ją ogromne wzruszenie. Gwałtownym ruchem odkryła twarzyczkę dziecka, którego jeszcze nie widziała: córki swego syna. Kiedy padło na nią światło, kruche stworzonko otworzyło niebieskie oczy i poruszyło ustami, a Janina zaczęła tulić je gwałtownie i obsypywać pocałunkami, unosząc w ramionach.

Lecz Rozalia — rada w głębi duszy — powstrzymała ją, zrzędząc:

— Niech no pani da spokój, bo jeszcze się rozplacze.

A po chwili dorzuciła odpowiadając zapewne własnym myśłom:

— Życie, widzi pani, nie jest nigdy takie dobre ani takie złe, jak człowiek myśli.

K o n i e c

wających czoło, lecz rozkosznym dreszczem przenikających mroki duszy: kochanka jej syna była umierająca.

Notariusz udzielił służącej szczegółowych wskazówek, powtarzając je na jej prośbę po kilka razy. Kiedy była pewna, że nie popełni omyłki, oświadczyła:

— Niech się pani o nic nie boi, już ja się wszystkim zajmę. I tej samej nocy pojechała do Paryża.

Janina spędziła dwa dni w takim zamięcie myśli, że nie zdolna była nad niczym się zastanowić. Trzeciego dnia rano otrzymała parę słów od Rozalii, która zawiadamiała ją o swym przyjeździe wieczornym pociągiem. To było wszystko.

Koło trzeciej po południu kazała zaprząć do bryczki, którą sąsiad zawiózł ją na dworzec do Bateville, gdzie miała czekać na służącą.

Stała na peronie obejmując wzrokiem prostą linię szyn, zbiegających się ze sobą na horyzoncie. Od czasu do czasu spoglądała na zegar. Jeszcze dziesięć minut — jeszcze pięć minut — jeszcze dwie minuty — już. Lecz daleka droga była pusta. Nagle dostrzegła jakąś białą plamę, kłęb dymu, a później, pod nim, jakiś czarny punkt, który powiększał się, powiększał, zbliżając się z ogromną szybkością. Wielka maszyna, zwalniając biegu, przejechała sapiąc obok Janiny, która wpatrywała się w drzwiczki wagonów. Niektóre z nich otwierały się — wysiadali pasażerowie: gospodarze w bluzach, gospodynie z koszykami, mieszkańcy miasteczek w kapeluszach. Wreszcie ukazała się Rozalia, niosąc w ramionach jakiś tłumoczek.

Janina chciała podejść ku niej, lecz nogi uginały się pod nią i bała się, że upadnie. Dostrzegłszy ją służąca skierowała się w jej stronę z właściwym jej wyrazem spokoju na twarzy i powiedziała:

— Dzień dobry pani, kłopotu miałam dużo, ale już jestem z powrotem.

— No i jak tam? — wyjąkała Janina.

— Umarła tej nocy — odpowiedziała Rozalia. — Wzięli ślub, a tu jest mała.

I wyciągnęła ku niej dziecko, niewidoczne pod przykryciem.

Janina wzięła je machinalnie i wyszły z dworca, po czym wsiadły do bryczki.

— Pan Paweł przyjedzie po pogrzebie — podjęła Rozalia. — Pewnie jutro, o tej samej porze.

— Paweł... — szepnęła Janina i umilkła.

Słońce chyliło się na skraj nieboskłonu, zatapiając w jasności zieloną równinę, zlocącą się tu i ówdzie kwitnącym rzepakiem i płonącą czerwienią maków. Bezmierny spokój unosił się nad ziemią, w której krążyły rozbudzone soki. Bryczka jechała szybko, a woźnica cmokał językiem, popędzając konia.

Janina spoglądała przed siebie, na niebo, po którym śmigwały jaskółki, jak snopy rakiet, opadające półkuliście. Nagle poprzez suknie okrywające jej nogi

pło młodego życia, pogrążonego we
Ogarnęło ją ogromne wzruszenie
kryła twarzyczkę dziecka, którego
swego syna. Kiedy padło na nią
otworzyło niebieskie oczy i poruszy
tulić je gwałtownie i obsypywać p
mionach.

Lecz Rozalia — rada w głębi d
zrzędząc:

— Niech no pani da spokój, bo je

A po chwili dorzuciła odpowiad
ślom:

— Życie, widzi pani, nie jest ni
złe, jak człowiek myśli.

K o n i e



Biblioteka Główna UMK



300040255904



6. 1077/50